

NIE MA PRZEBACZ
Rozkwit kultury
unieważniania

SIĘ ZASZCZEPI
Dlaczego to trwa
tak długo

WINNI
Polacy
w długach

HANS KÜNG
Teolog
niewyparzony

OBRÓŃCY JAJ
Sekretne życie
dinozaurów

MOWA DŁONI
Linie życia,
opuszki i odciski

Kraków 18 kwietnia 2021 nr 16 (3745)

cena 9 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

AGNIESZKA HOLLAND

Kobiety samotne

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl



Choroba duszy i ciała

W Polsce z chorobą Parkinsona żyje około stu tysięcy osób. Nie można ich wyleczyć, ale leczenie objawowe pozwala im żyć godnie.

„Ta choroba nie zna ani rozejmu, ani chwilowego zawieszenia broni, ani chwili ciszy przed salwą, ani odliczania kroków przed pojedynkiem. Nawet trudno mieć pretensje, w końcu choroba nie dżentelmen – nie umie się zachować. Ale jak się ten parkinson zachowuje, to przechodził wszelkie pojęcie. Swawolny Dyzio o instynkcie seryjnego mordercy?” – pisał w dziennikach o własnych doświadczeniach z tą chorobą Jerzy Pilch.

Wojciech Machajek, wiceprezes Fundacji Chorób Mózgu, tłumaczy: – Parkinson jest chorobą ciała i duszy. Atakuje wszystkie mięśnie (w tym mięśnie twarzy), ale też rodzi depresję, lęki i omamy. Chorzy w zaawansowanym stadium rozmawiają niekiedy z osobami, których nie ma. To choroba wieloobjawowa. Ma wpływ na mowę (ta staje się niewyraźna, cicha), na problemy z przełykaniem, z chodzeniem (niestabilność, trudności z kroczeniem), pojawia się, choć nie zawsze, drżenie dłoni.

ŻYĆ GODNIE

– Tej choroby, jak na razie, nie da się całkowicie wyleczyć – kontynuuje Machajek. – Nie można jej zatrzymać ani spowolnić przebiegu. Można ją leczyć jedynie objawowo. Przy prawidłowym leczeniu chory może żyć godnie, samemu się ubrać, samodzielnie zjeść, wybrać się na spacer, niekiedy uczestniczyć w życiu kulturalnym. W Polsce co piąty chory jest w zaawansowanym stadium.

– Chorzy mogą być leczeni w kilku ośrodkach: w Gdańsku, Warszawie, Katowicach, Lublinie, Łodzi, Wrocławiu, Poznaniu, Szczecinie, Krakowie. Zabiegamy o to, aby w niedalekiej przyszłości były to też ośrodki w Gryficach, Sandomierzu, Gliwicach i Sosnowcu – dodaje Machajek.

– Fundacja Parkinsona powstała dziewięć lat temu, niedawno zmieniła nazwę na Fundację Chorób Mózgu. I poszerzyła działalność – wyjaśnia jej wiceprezes. – Aby rozpocząć proces leczenia parkinsona, trzeba pacjenta szybko i prawidłowo zdiagnozować. Zajmują się tym lekarze specjaliści. W Polsce jest ich jedynie stu. Dlaczego tak niewiele? Może dlatego, że ciężko jest walczyć z chorobą nieuleczalną. Lekarz może tu jedynie ulżyć w cierpieniu.

– A zgłaszają się coraz młodszy chorzy – dodaje. – To mit, że to jedynie choroba starszych. Dzwonią do mnie, do naszej fundacji, nawet czterdziestolatki.

– Od momentu zdiagnozowania niezbędna jest nieustanna rehabilitacja, nawet trzy razy w tygodniu. Rehabilitanci muszą wiedzieć, jak ćwiczyć z chorymi, którym twardnieją mięśnie. Dzieciść zajęć rehabilitacyjnych na pół roku refundowanych przez NFZ to stanowczo za mało – wyjaśnia wiceprezes fundacji i dodaje: – Są trzy metody leczenia zaawansowanej choroby Parkinsona: DBS, czyli głęboka stymulacja mózgu za pomocą wszczepionych

elektrod (do takiego leczenia włączanych jest rocznie ok. trzystu osób w Polsce); duodopa, czyli dojelitowe wlewy lewodopy z karbidopą (pompa, która wprowadza leki bezpośrednio do jelita; terapia dostępna w Polsce od czterech lat, obecnie korzysta z niej jedynie ponad sto osób); i apomorfina, czyli podskórne wlewy lewodopy (też z pomocą pompy, terapia dostępna w Polsce od trzech lat, obecnie leczonych jest nią tylko ok. pięćdziesięciu osób w kraju). Polska jest jedynym w Europie państwem, w którym istnieją dwuletnie okresy refundacyjne. Pacjenci nie wyobrażają sobie braku dostępu do którejkolwiek z tych metod leczenia. Co roku drżymy w obawie, czy refundacje zostaną odnowione. Teraz czekamy na decyzję Ministerstwa Zdrowia, czy zostanie odnowiona refundacja dla jednej z terapii infuzyjnych – lewodopy z karbidopą.

– Trzy lata temu złożyliśmy w Ministerstwie Zdrowia projekt Koordynowanej Opieki Zdrowotnej. Nikt z Ministerstwa, jak dotychczas, do sprawy się nie odniósł – podsumowuje Machajek.

POTRZEBA DOBREJ WOLI

– W programie Koordynowanej Opieki Zdrowotnej były postulaty systemowych rozwiązań reformujących opiekę nad chorymi na chorobę Parkinsona. Jesteśmy gotowi do rozmów z Ministerstwem – zapewnia **prof. Jarosław Sławek, prezes zarządu Polskiego Towarzystwa Neurologicznego, ordynator Oddziału Neurologii w Szpitalu im. św. Wojciecha w Gdańsku.** – Zawarliśmy w tym programie pomysł powołania centrów, które koordynowałyby pracę wielu lekarzy specjalistów. Aby leczyć osoby z chorobą Parkinsona, potrzeba bowiem współpracy lekarzy rodzinnych, neurologów, neurochirurgów, psychologów i rehabilitantów. Teraz nie mamy nawet dedykowanych tym chorym centrów rehabilitacji – dodaje.

– Centra powinny szybko kwalifikować chorych do leczenia, a potem prowadzić pacjenta w trakcie całej terapii. Tam też mogłyby odbywać się szkolenia. Czy Ministerstwo nie mogłoby wprowadzić np. w dwóch czy trzech ośrodkach w kraju programu pilotażowego? – pyta prof. Sławek. – Program Koordynowanej Opieki Zdrowotnej był przecież konsultowany z Narodowym Funduszem Zdrowia, lekarzami i chorymi. Nie powinno być tak, że chory ze skierowaniem na leczenie do ośrodka czeka rok. © GRZEGORZ NUREK

Z POMOCĄ



Masz więcej pytań związanych z chorobą Parkinsona? Zadzwoń lub napisz:

tel. **570-110-311**

adres mailowy:
fundacjachorobmozgu@gmail.com

KS. ADAM

Boniecki: Unieważnianie

POMNIK WINSTONA CHURCHILLA W LONDYNIE zostaje oblany farbą i rozpoczyna się publiczna debata o jego usunięciu. Bo jakiegokolwiek byłoby historyczne zasługi premiera Churchilla, wypomniano mu rasistowskie i antysemickie poglądy. W Bristolu obalono pomnik Edwarda Colstona, który na przełomie XVII i XVIII w. zbił fortunę na handlu niewolnikami. Później fundował szkoły, przytulki dla ubogich, kościoły i szpitale, był jednym z największych benefaktorów miasta. Ale przecież na jego statkach wywieziono z Afryki 80 tysięcy niewolników.

Dariusz Rosiak w tekście pt. „Nie ma przebaczyć” nie pisze o pomnikach – pisze o „unieważnianych” słowach, książkach i autorach. Nie przychodzi nam to jeszcze łatwo, choć już się mówi o unieważnieniu niektórych książek, np. „W pustyni i w puszczy” Henryka Sienkiewicza!

Artykuł Dariusza Rosiaka jest o nas. Czy nie za bardzo lubimy unieważniać? Wyznam, że „kultura unieważniania” budzi u mnie *déjà vu*. Bo tocząca się obecnie wojna o to, „kogo wygumkować z historii i teraźniejszości”, przypomina mi wydarzenia sprzed lat, np. gdy na granicy skonfiskowano mi książki, m.in. podarowaną przez autora „Ostatnią kampanię konną. Działania jazdy polskiej przeciw armii konnej Budiennego” Kornela Krzeczunowicza. „Unieważniono” Krzeczunowicza, bitwę z armią Budiennego i konia. Od „unieważnień” był Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk (od 1981 r. Główny Urząd Kontroli Publikacji i Widowisk) – państwowa cenzura. „Zapis na osobę” unieważniał nazwisko. Ale kiedy w „Tygodniku” ktoś cytował Miłosza (był na niego zapis), wystarczyło zamiast „Miłosz” cytaty podpisać „Poeta” (przez duże P), by przeszedł.

Czy Kościół nie unieważniał? Owszem, mieliśmy „Index librorum prohibitorum” (indeks ksiąg zakazanych), z takimi



nazwiskami jak Galileusz, Immanuel Kant, Kartezjusz, Mikołaj Kopernik, Monteskiusz, Andrzej Frycz Modrzewski, Wolter, Victor Hugo. Ostatnie wydanie (z roku 1948) zawierało 4126 dzieł. Owszem, to kościelne „unieważnienie” miało skutek odwrotny, bo sam indeks przyciągał uwagę ku inkryminowanym autorom, i można było uzyskać pozwolenie władz kościelnych na ich czytanie. Dość, że 14 czerwca 1966 r. Kongregacja Nauki Wiary ogłosiła, iż czytanie książek zakazanych nie pociąga za sobą kar kościelnych.

A co z postaciami niegdyś stawianymi na piedestał, których myślenie dziś jest nie do przyjęcia? Np. ze św. Bernardem z Clairvaux (1090–1153). Kanonizowanym w roku 1174, w 1830 r. ogłoszonym doktorem Kościoła. Miał on ogromny wpływ na życie Kościoła i zaangażował się w organizowanie II wyprawy krzyżowej. W apelu do świata chrześcijańskiego wzywał do udziału w wyprawie, „żeby te pogańskie ludy albo zupełnie wyniszczyć, albo w sposób definitywny doprowadzić do chrztu”. Pogańskimi ludami byli „żyjący za Łabą Słowianie i inni poganie żyjący na północy”. Św. Bernarda nie unieważniono, Pius XII w roku 1953 wydał ku jego czci encyklikę. Jego stosunek do „pogańskich ludów” tłumaczy się mentalnością epoki i słabym rozeznanie politycznym. Listy i wszystkie jego pisma teologiczne są dostępne. Owszem, unieważniono za to krucjatę: w Encyklopedii Katolickiej, w haśle poświęconym Bernardowi, tę sprawę po prostu pominięto.

Unieważnianie bywało kiedyś przemocą zwycięzców, którzy przywłaszczali sobie przywilej pisania historii na nowo. Czym jest jednak dziś, w czasach, kiedy – głównie dzięki mediom społecznościowym – domagają się jej rewizji ci, którzy dotąd byli w niej unieważnieni? Od unieważniania nie zniknie przecież – jakkolwiek by była – historia, przemoc ani niewygodni nam ludzie. © P



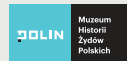
Pokażmy, że pamiętamy!

19 kwietnia mija kolejna rocznica powstania w getcie warszawskim.

Dla upamiętnienia tych wydarzeń do tego wydania „Tygodnika” dołączamy naklejki – żonkile, symbol tej rocznicy.

Ks. Adam Boniecki jest ambasadorem akcji Żonkile, organizowanej przez Muzeum POLIN, a „Tygodnik” towarzyszy jej od wielu lat.

Obszerny dodatek poświęcony powstaniu znajdziecie na:
powszech.net/pamietamy





26 Ostatnia przeszkoda do celu

ROZMOWA Z PIOTREM IKONOWICZEM,
DZIAŁACZEM SPOŁECZNYM:

Ludzie zadłużają się często nie z lenistwa albo niezaradności. Tylko dlatego, że bardzo, ale to bardzo chcą być klasą średnią.

34 Niezależny KS. ELIGIUSZ PIOTROWSKI

*Hans Küng
kochał Kościół.
Bez wzajemności.*



29 Wszystkie imiona Margaret

ANNA PIWOWARSKA

*– Tacy jak ja są tu
ciągle wyjątkiem
– mówi Margaret
Amaka Ohia-
Nowak. – I o to nie
mogę mieć pretensji.
Pretensje mam wtedy,
gdy ktoś odmawia mi
polskości.
Bo dla niektórych
czarna Polka
to dysonans.*

48 Białorusi

nie opuszczą
ROZMOWA Z IGOREM
BANCEREM,
BIAŁORUSKIM
MUZYKIEM
I OPOZYCJONISTĄ:

*Za to, że gram
w zespole
punkowym
i działam na scenie
niezależnej,
jestem
na czarnej liście.*



64 Kobiety samotne

ROZMOWA Z AGNIESZKĄ HOLLAND, REŻYSERKĄ:

*W III RP ludzie, którzy znaleźli się za burtą transformacji,
nie mieli się do kogo zwrócić. Do momentu powstania Radia
Maryja. Nagle okazało się, że tam mogą szukać pocieszenia.*



78 Księgi dłoni

MACIEJ TOPOLSKI

*Niepokoi nas wszystko,
co nieuchwytnie. Chwytny
się jak tonący brzytwy.
Chwytny sensy, nie
chwytny chemii albo
całek. Jakie doświadczenie
stoi u źródła tej metafory,
tak elementarnej,
że wszyscy ją chwytną?*

6 Upiory wojny
WOJCIECH KONOŃCZUK

7-11 Obraz tygodnia

20-21 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
PIOTR SIKORA

■ ■ **KRAJ**

22 Pandemiczne pole walki
MAŁGORZATA SOLECKA:
Czy przegramy szczepionkowy wyścig?

26 Ostatnia przeszkoda do celu
ROZMOWA Z PIOTREM IKONOWICZEM, DZIAŁACZEM SPOŁECZNYM

29 Wszystkie imiona Margaret
ANNA PIWOWARSKA

■ ■ **WIARA**

34 Niezależny
KS. ELIGIUSZ PIOTROWSKI

38 Ekspertka od kłamstwa
ANNA GOLUS: *W ważnej komisji zasiada osoba, która notorycznie dopuszczała się plagiatów*

40 Z żywota matki do żywota wiecznego
DAWID GOSPODAREK:
Chrzest wewnętrzniczy – dzisiaj praktyka ta dziwi

■ ■ **ŚWIAT**

44 Kwiaty przynoszą nadzieję
PATRYCJA BUKALSKA
Z WIELKIEJ BRYTANII:
W czasie epidemii na Wyspach Brytyjskich przybyło kilka milionów ogrodników

48 Białorusi nie opuszczą
ROZMOWA Z IGOREM BANCEREM, BIAŁORUSKIM MUZYKIEM I OPOZYCYJONISTĄ

TEMAT TYGODNIKA



12 Nie ma przebaczenia

DARIUSZ ROSIAK

Zawstydzanie, piętnowanie i, ostatecznie, unieważnianie – to techniki, których ofiarą padają uczestnicy debaty publicznej.

15 W górę życie, w dół śmierć

ROZMOWA Z PROF. RYSZARDEM KOZIOŁKIEM, LITERATUROZNAWCĄ:

Niepokoï to, że instytucje publiczne zaczynają się wsłuchiwać w opinie z portali społecznościowych. Tymczasem demokracja wymaga debaty także z tymi, którzy nie są „przyjaciółmi”.

■ **FELIETONY** ■

33 JACEK PODSIADŁO **43** WOJCIECH BONOWICZ
58 HANNA KRALL **76** JAN KLATA **77** PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCEWICZ **82** BARTOSZ MINKIEWICZ

OKŁADKA: AGNIESZKA HOLLAND
FOTOGRAFIA: Jakub Włodek / AGENCJA GAZETA
Redaktor prowadzący: MAREK RABIJ

50 Marne 25 sekund

KAMIL CAŁUS:
Nad stolicą Rumunii wisi groźba trzęsienia ziemi

■ ■ **HISTORIA**

53 Ratowanie kroplówką
ROZMOWA Z MICHAŁEM LASZCZKOWSKIM, PREZESEM FUNDACJI DZIEDZICTWA KULTUROWEGO

■ ■ **NAUKA**

60 Rodzinne życie dinozaurów
MARTA ALICJA TRZECIAK:
Ich świat nie był bezpiecznym miejscem dla gatunków o małych rozmiarach

■ ■ **KULTURA**

64 Kobiety samotne
ROZMOWA Z AGNIESZKĄ HOLLAND, REŻYSERKĄ

68 Głęboka cisza, głęboki czas
KAJETAN PROCHYRA:
Państwo Adamsowie opuścili już Alaskę

71 Pełne zanurzenie
ROZMOWA Z MACIEJĄ PŁAZĄ, PISARZEM: *Dziś chasydyzm uważa się za ultrakonserwatywny odłam judaizmu, ale kiedyś miał potencjał wywrotowy i traktowany był przez tradycyjny judaizm niemal jak herezja*

74 Mamy to
ANITA PIOTROWSKA
o filmie „Czarny niedźwiedź” Lawrence’a Michaela Levine’a

76 Tryptyk
LEKTOR o książce Andrzeja Stanisława Kowalczyka „Felice. Milena. Dora”

■ ■ **ZMYŚŁY**

78 Księgi dłoni
MACIEJ TOPOLSKI

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ **Strona świata**

Za sprawą statku monstrem, który pod koniec marca zatkał swoim cielskiem Kanał Sueski, świat przypomniał sobie o pomysłach na alternatywne szlaki handlowe – pisze **WOJCIECH JAGIELSKI** tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata

➔ **Punkt zwrotny [Podkast Powszechny]**

Gdy już się wie, że wszystko może zniknąć w ułamku sekundy, to właściwie wiele nam już nie grozi – mówi aktorka **EWA BŁASZCZYK**.
Słuchaj na powszech.net/podkast



f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ y YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY



UPIORY WOJNY

Przerzut rosyjskich wojsk nad granicę z Ukrainą
przypomniiał światu o konflikcie w Donbasie.
Jednak wojenna eskalacja na pełną skalę jest mało prawdopodobna.

WOJCIECH KONOŃCZUK

NAPIĘCIE WZROSŁO OD KOŃCA MARCA, GDY ukraińscy wojskowi zaczęli ostrzegać, że Rosja w szybkim tempie rozmieszcza dodatkowe siły przy granicy z Ukrainą. W mediach pojawiły się liczne obrazy rosyjskich eszelonów ze sprzętem wojskowym, a władze w Kijowie zaczęły alarmować, że Moskwa przygotowuje prowokację zbrojną. Reakcje najważniejszych stolic zachodnich pokazują rosnące zaniepokojenie możliwością eskalacji konfliktu rosyjsko-ukraińskiego, trwającego już siedem lat – od wiosny 2014 r. W odpowiedzi Rosja stwierdziła, że na swoim terytorium ma prawo robić, co jej

się podoba, oskarżając zarazem stronę ukraińską o „działanie piarowskie”.

Spróbujmy na chłodno wyjaśnić, co się dzieje. Eksperci wojskowi zwracają uwagę, że siły rosyjskie już wcześniej rozmieszczone na stałe wokół granicy z Ukrainą (liczą niemało, bo 150 tys. żołnierzy) wystarczyłyby w zupełności do rozpoczęcia działań zbrojnych naruszających obecne *status quo*. Jednocześnie przerzucone w ostatnich tygodniach ponad 20 tys. dodatkowych żołnierzy to zbyt mało, aby mówić, że Kreml przygotowuje się do działań zbrojnych na wielką skalę, a tym bardziej do inwazji na Ukrainę. Tyle suche fakty.

*Rosyjscy żołnierze
ćwiczą na poligonie
na przykładzie Opuk.
Okupowany Krym,
24 marca 2021 r.*

Źródeł obecnego napięcia trzeba szukać w pogłębiającym się impasie w negocjacjach rosyjsko-ukraińskich. Moskwa straciła ostatnie złudzenia, że uda jej się przekonać prezydenta Wołodymyra Zełenskigo do poważnych ustępstw w Donbasie. W efekcie doszło do zerwania trwającego od lipca 2020 r. zawieszenia broni, nasilenia incydentów zbrojnych i rosnącej na nowo liczby ofiar. Z kolei Kijów po wielokroć demonstrował rozczarowanie obecnym formatem rozmów i zmierza do jego zmiany (postulując m.in., aby do negocjacji włączyły się Stany Zjednoczone). Ponadto w lutym władze ukraińskie nałożyły sankcje na Wiktora Medwedczuka, lidera największej prorosyjskiej partii na Ukrainie i przyjaciela Władimira Putina; zablokowano też kontrolowane przez niego kanały telewizyjne. Krok ten zaostriżył atmosferę.

Czemu zatem mają służyć demonstracyjne ruchy wojsk rosyjskich? Kreml wykorzystuje zakorzenione na Zachodzie obawy przed wybuchem „wielkiej wojny”, próbując zarazem zdyskredytować Kijów i obwinąć go za obecną sytuację. Pokazuje też, że każda próba rozstrzygnięcia przez Ukrainę sytuacji w Donbasie środkami wojskowymi nie pozostanie bez odpowiedzi Rosji, która – przypomnijmy – od 2014 r. przekonuje, że... nie jest stroną tego konfliktu. O ile nie jest wykluczone, że Moskwa spróbuje doprowadzić do prowokacji zbrojnych czy nawet wrócić do działań wojskowych na ograniczoną skalę, o tyle obecne poczynania rosyjskie wpisują się też w ramy operacji psychologicznej.

Paradoksalnie, z obecnej sytuacji pewne zyski polityczne wyciągają też władze w Kijowie. Poza patriotyczną mobilizacją społeczeństwa, przyciągają bowiem uwagę Zachodu: prezydent Biden wreszcie znalazł czas, aby zadzwonić do prezydenta Zełenskigo. Ukraina liczy na zwiększone wsparcie Zachodu i zaktywizowała na nowo zabiegi o członkostwo w NATO.

Jest oczywiste, że klucz do rozwiązania konfliktu donbaskiego leży w Moskwie, która od początku używa go jako narzędzia wpływu zarówno na Kijów, jak i na Zachód. I tym razem Kreml wysłał sygnał: jeśli się nie dogadamy, to dalej będziemy was straszyć wojną, a wy nigdy nie będziecie mieć pewności, że nie blefujemy. ©

Termin ważności Jarosława Gowina

KAROLINA LEWICKA



WICEPREMIER OD GOSPODARKI KOLEJNY raz znalazł się na rozdrożu. Między nim a Jarosławem Kaczyńskim nie ma chemii (od zablokowania „wyborów kopertowych”) ani zaufania (po próbie rozbicia Porozumienia, którą podjął Adam Bielan z inspiracji prezesa PiS). Gowin ma zakaz wstępu do TVP i jest atakowany przez media prorządowe – tygodnik „Sieci” podejrzewa, że „szuka pretekstu, by się usadowić poza koalicją”. To pewne, że w 2023 r. nie będzie na listach PiS-u miejsca dla Porozumienia. Trzeba szukać nowej drogi, ale ostrożnie.

Porozumienie to polityczny plankton; nie istnieje sondaż, który dawałby ugrupowaniu szansę sforsowania progu wyborczego; dotychczasowe wyniki ciąży raczej ku zeru. Przedwczesne opuszczenie rządowej łajby może się skończyć odpływem działaczy, dla których obecne synekury więcej ważą niż partyjna lojalność. Porozumieniu w oczy zagrażałaby bieda, bo budżetową subwencję bierze w całości i zgodnie z prawem PiS. Gowina wciąż kusi opozycja, ale nie dla jego potencjału w ewentualnych wyborach, a wyłącznie dla pozabawienia Kaczyńskiego sejmowej większości.

Najbliżej jest wicepremierowi do ludowców. Gowin już zapowiedział, że rozważa

stworzenie nowej koalicji centroprawicowej. Niewykluczone, że z PSL-em. Korzyść może być tutaj obopólna, bo po wyrzuceniu posłów Pawła Kukiza Koalicja Polska jest „koalicją” niemal wyłącznie z nazwy – nowy podmiot polityczny bardzo się jej przyda. Rozmawiano intensywnie – najpierw wiosną zeszłego roku, kiedy rozważano scenariusz rządu technicznego, a ostatnio w grudniu. Ostatecznie jednak spełzło na niczym. Teraz ludowcy sądzą, że do ewakuacji Gowina ze Zjednoczonej Prawicy dojdzie dopiero na ostatniej prostej, ok. pół roku przed elekcją. Władysław Kosiniak-Kamysz już zapowiedział, że „wiecznie czekać nie będziemy”.

Plan na najdłuższe z możliwych trwanie w rządzie też ma słabe punkty. Gowin zostaje na lodzie, gdyby doszło do przyspieszonych wyborów. Wówczas jego pozycja negocjacyjna jest żadna, może tylko z pocałowaniem ręki wziąć to, co ludowcy lub Szymon Hołownia raczą mu dać. Poza tym nie wiadomo, jak długo Gowin będzie w stanie bronić integralności swojego ugrupowania. Kaczyński może mu posłać kolejnych puczystów, takich jak Bielan, a pojedynczych posłów już usiłuje przeciągać na swoją stronę opozycja. ©

Autorka jest dziennikarką radia Tok FM.

Szczepionki i zakrzepy

EUROPEJSKA AGENCJA LEKÓW (EMA) przedstawiła nowe rekomendacje w związku ze zgłaszanymi przez kilka państw powikłaniami po szczepieniu na COVID-19 preparatem firmy AstraZeneca. „Szczepionka jest bezpieczna i skuteczna” – powiedziała Emer Cooke, szefowa EMA. W raporcie Agencji czytamy, że korzyści, jakie niesie, zdecydowanie przewyższają ryzyko.

Na początku marca w Austrii wstrzymano podawanie jednej partii szczepionki po tym, jak u dwóch osób pojawiła się zakrzepica. Kolejne kraje kaskadowo ograniczały szczepienia brytyjskim preparatem, gdy podobne przypadki zgłosiły m.in. Niemcy i Norwegia. Były to rzadko występujące zakrzepy w zatokach żylnych mózgu i zakrzepica żył brzusznych, połączone ze spadkiem płytek krwi odpowiedzialnych za krzepnięcie. Łącznie zaobserwowano 222 przypadki na ponad 34 miliony dawek szczepionki.

Po analizie 86 przypadków, z czego 18 okazało się śmiertelnych, EMA zdecydowała, by dopisać zakrzepicę do listy rzadkich powikłań. Choć większość chorych to kobiety przed 60. rokiem życia, nie udało się określić żadnych czynników zwiększających ryzyko. Podejrzewa się, że szczepionka powoduje reakcję immunologiczną podobną do małopłytkowości poheparynowej. Wówczas podanie heparyny skutkuje powstaniem przeciwciał łączących płytki krwi w konglomeraty, które zatykają naczynia żyłne.

W sondażu YouGov, przeprowadzonym w kilku europejskich państwach w połowie marca, większość pytanym uważała szczepionkę za niepewną. Być może zmiana nazwy (teraz jest to Vaxzevria) i komunikat EMA zmieni to nastawienie. Agencja bierze również pod lupę szczepionkę firmy Johnson & Johnson. W USA zanotowano do tej pory 4 przypadki nietypowych zakrzepów.

© BARTOSZ KABAŁA

DR TADEUSZ URBAN

Szanuję ciebie, szanuj mnie

MACIEJ MÜLLER: Czy podczas pandemii zjawisko hejtu wobec lekarzy się nasiliło?

DR TADEUSZ URBAN: Zdecydowanie. Do antyszczepionkowców dołączyli koronasceptycy i zwolennicy teorii spiskowych. Problem pogłębiają wprowadzone w związku z pandemią ograniczenia odwiedzin pacjentów: nieraz dochodzi do konfrontacyjnych rozmów. Po tym, jak dostaliśmy informację z Uniwersyteckiego Centrum Klinicznego w Katowicach, że pacjent opluł rejestratorkę, zdecydowaliśmy się rozpocząć – wspólnie ze Śląskim Uniwersytem Medycznym, samorządem pielęgniarów i położnych, ratownikami i farmaceutami – kampanię informacyjną. Jej elementem są plakietki dla medyków z hasłem „Szanuję ciebie, szanuj mnie!”.

Jakie formy agresji zgłaszają lekarze?

Np. pogróżki dotyczące ich samych lub ich rodzin. Obelgi i przekleństwa. Pewien pacjent rzucił się na lekarza w izbie przyjęć, doszło do szarpaniny, w wyniku której zostały wyważone drzwi. Do tego dochodzi hejt w sieci. Po śmierci prezydenta Adamowicza miała zostać ograniczona liczba publikowanych w internecie wpisów propagujących przemoc i nienawiść. Tak się nie stało.

Jakiej pomocy udziela samorząd?

Apelujemy do lekarzy, by każdy przejaw agresji zgłaszali do Zespołu Radców Prawnych i Rzecznika Praw Lekarzy. Nasi radcy prowadzili np. sprawę pani doktor, która doznała obrażeń podczas udzielania pomocy w ramach pogotowia ratunkowego, grożono jej także śmiercią. Mężczyznę, który wtedy pchnął ją na ścianę i pobił, skazano na rok bezwzględnego więzienia. Często jednak lekarze nie chcą wstępować na ścieżkę sądową. ©PW



DR N. MED. TADEUSZ URBAN jest prezesem Okręgowej Rady Lekarskiej w Katowicach.

KRAJ W SKRÓCIE

POKAZ

W 11. rocznicę katastrofy smoleńskiej TVP wyemitowała film przygotowany przez pracującą pod wodzą Antoniego Macierewicza komisję zajmującą się badaniem przyczyn tragedii. Spośród rozlicznych teorii zamachowych, które to ciało prezentowało w trakcie minionych lat, tym razem postawiono na wybuch w lewym skrzydle i na pokładzie samolotu. Novum było włączenie do filmu zapisu dźwiękowego ostatnich sekund przed katastrofą na pokładzie – czyli krzyku ofiar.



PRZEMISŁAW WIERZCHOWSKI / REPORTER

POKAZÓWKA

Setki policjantów ochraniały uczestników oficjalnych obchodów rocznicy katastrofy smoleńskiej. Nieopodal warszawskiego pl. Piłsudskiego odbył się antypisowski protest, w trakcie którego 6 osób zatrzymano.

TWARZ

Prezes NBP Adam Glapiński poinformował, że jesienią do obiegu wejdzie kolekcjonerski banknot 20 zł z wizerunkiem Lecha Kaczyńskiego i hasłem „Warto być Polakiem”.

POTWARZ

Czasami Polakiem być trudno. Zatrudniona w Trybunale Konstytucyjnym na posadzie sędziego Krystyna Pawłowicz ujawniła na Twitterze dane szkoły, w której – zgodnie z wolą rodziców – rada pedagogiczna podjęła uchwałę o zwracaniu się do transpłciowego dziecka zmienionym imieniem. Po fali wywołanego tym oburzenia Pawłowicz skasowała wpis.

Na emeryturę już nie jak najszybciej

MAREK RABIJ



ILE ZGROMADZISZ, TYLE W UPROSZCZENIU BĘDZIESZ MIEĆ na starość do dyspozycji. To założenie (...) miało zachęcać Polaków do dłuższej aktywności zawodowej – tymi słowami prof. Agnieszka Chłoń-Domińczak opisywała przed rokiem na tych łamach ideę przewodnią reformy emerytalnej z 1999 r. I od razu zaznaczała, że brak zaufania do rządu sprawia, iż większość Polaków, zamiast ciuć jak najdłużej składki, wybiera się na emeryturę natychmiast po przekroczeniu uprawniającego do niej wieku.

Najnowsze dane zaprezentowane przez ZUS świadczą jednak o tym, że polscy seniorzy wolą – lub muszą – pracować coraz dłużej. W 2017 r. jedynie 4 proc. nowych emerytów stanowiły osoby, które pracowały dłużej niż rok po osiągnięciu wieku emerytalnego. W 2020 r. było ich już 12,7 proc.

Za wydłużeniem aktywności zawodowej seniorów kryje się przede wszystkim sytuacja na polskim rynku pracy, który w ostatnich latach cierpiał na niedostatek kandydatów. Sami pracownicy również dostrzegli korzyści płynące z przełożenia emerytury: od 2015 r. blisko czterokrotnie spadła liczba emerytów pobierających świadczenia poniżej 1200 zł. ©PW

Prawo do rodziny

USTĘPUJĄCY rzecznik praw obywatelskich upomina się o dzieci z pieczy zastępczej. Adam Bodnar napisał do Ministerstwa Rodziny i Polityki Społecznej m.in. w sprawie niedoboru rodzin zastępczych, ich fatalnych warunków pracy czy umieszczania – wbrew prawu – małych dzieci w instytucjach. Ministerstwo odpowiada: trwają prace nad zmianą prawa. Ale resort nie ujawnia, w jakim kierunku mają iść korekty ani kiedy nowelizacja nastąpi.

– Pandemiczny rok został, niestety, w dużej mierze stracony – uważa Joanna Luberadзка-Gruca, ekspertka Koalicji na Rzecz Rodzinnej Opieki Zastępczej. – Słabo działały sądy rodzinne, organizowano znacznie mniej szkoleń dla nowych kandydatów na rodziców zastępczych, pozwolono też przyjmować do placówek dzieci ponad normalny liczbowy stan. Jeśli państwo nie da wkrótce silnego impulsu do zmian, ta stagnacja może się okazać zjawiskiem trwałym. ©PW



FILIPPO MONTEFORTE / AFP / EAST NEWS

RESTAURATORZY, przedsiębiorcy i właściciele małych firm protestują w miniony wtorek, 6 kwietnia 2021 r., przed włoskim parlamentem na Piazza Montecitorio w Rzymie przeciwko restrykcjom związanym z COVID-19. Deklarują, że w najbliższych dniach otworzą drzwi swoich lokali, bo dla nich to „kwestia przetrwania”. Tymczasem rząd informuje, że krzywa zakażeń nad Tybrem osiągnęła już szczyt, i obiecuje, że maj będzie miesiącem odmrażania gospodarki. ©P ©M

Zielona bomba

POD KONIEC MARCA Komisja Europejska ogłosiła plan działania w kwestii rolnictwa ekologicznego – to część strategii „Od pola do stołu”, będącej żywnościową odnogą Zielonego Ładu. Najważniejszym celem planu jest objęcie za dziewięć lat 25 proc. obszarów rolnych uprawami mogącymi kwalifikować się jako ekologiczne.

To poważne wyzwanie – dziś tylko Austria, Estonia i Szwecja spełniają lub są blisko tego celu, a potentat rolny wspólnoty, czyli Francja, jest na poziomie ok. 8 proc., podobnie jak Niemcy. Polska ze swoimi 3,5 proc. jest w ogonie stawki (tuż za Holandią), a dynamika ostatnich lat pokazuje wręcz spadek udziału tych upraw w naszym kraju.

Plan jest wsparty obietnicą znacznych inwestycji – nawet ponad 50 mld euro – ale zważywszy na problemy z konwersją upraw, a potem ich dalszym utrzymaniem przy takim poziomie cen, który byłby do przyjęcia dla konsumentów, może się to okazać daleko niewystarczające. Siedzimy więc na tykającej zielonej bombie – i strategia rolna powinna, być może, stać się znacznie ważniejszym niż dotąd problemem politycznym. ©P ©PB

Owdowiała królowa nie abdykuje



YUII MOK / AFP / EAST NEWS

ZBRZYDZONY NIECO przez popularny serial „The Crown” obraz Filipa, od 1947 r. męża księżniczki, a potem królowej Elżbiety II, łagodzi pośmiertne wspomnienia. W odniesieniu do książąt lepiej uważać ze słowem „poświęcenie”, ale on faktycznie nie miał łatwego startu. Odejście matki do klasztoru, wygnanie z Grecji, zmiana tożsamości – gdyby tylko nie metka uprzywilejowanego arystokraty, wiele jego przywar tłumaczylibyśmy jak nasze, traumami dzieciństwa.

Trumnę z ciałem przewiezie na miejsce pochówku land rover. W maszynach – także samolotach i okrętach Royal Navy, w której służył od II wojny światowej – czuł się najlepiej. Najmniej wiadomo o najważniejszej, także państwowej roli księcia Filipa: powiernika królowej. Ale nawet pozbawiona najbliższego, Elżbieta II nie ma w planach abdykacji. Pierwszy w historii brytyjskiej monarchii i od prawie stulecia w Europie Platynowy Jubileusz – 70. rocznica wstąpienia na tron – planowany jest dla niej na niedzielę 6 lutego 2022 r. ©P ©ZYM

Ulice Belfastu

PATRYCJA BUKALSKA
Z ANGLII



KOLEJNA, JUŻ 23. ROCZNICA Podpisania Porozumienia Wielkopiątkowego, które w 1998 r. zakończyło konflikt w Irlandii Północnej, upłynęła w cieniu zamieszek. Od końca marca w Belfaście i kilku innych północnoirlandzkich miastach dochodziło do starć między lojalistami (zwolennikami pozostania regionu w Zjednoczonym Królestwie), nacjonalistami (pragnącymi połączenia go z Republiką Irlandii) i policją. Uczestnicy starć, wśród nich nawet 12- i 14-latkowie, używali butelek zapalających, petard i kamieni, a policja armatek wodnych (po raz pierwszy od lat).

Za iskrę, która doprowadziła do wybuchu, uważa się decyzję prokuratury, by nie stawiać zarzutów uczestnikom pogrzebu dawnego członka Irlandzkiej Armii Republikańskiej – masowa uroczystość odbyła się z naruszeniem reżimu sanitarnego. Ale frustracja lojalistów narastała od dawna: w ich odczuciu zostali poświęceni przez rząd w Londynie dla umowy brexitowej (chodzi o granicę celną na Morzu Irlandzkim, która oddziela dziś Irlandię Północną od reszty Wielkiej Brytanii).

Tak, jak się obawiano, brexit obudził dawne demony. Lokalne władze Irlandii Północnej mogą potęgować przemoc (czynią to zgodnie protestanci i katolicy), policja może interweniować, ale za decyzje podjęte w związku z brexitem odpowiedzialne są rząd w Londynie oraz UE. To one muszą znaleźć sposób, by rozwiązać „irlandzki węzeł”. ©P



DZIENNIKARZE I AUTORZY

„TYGODNIKA” co tydzień goszczą w programie „Światopogląd” Agnieszki Lichnerowicz w Radiu TOK FM. Stuchaj od wtorku do piątku o godz. 15.00. Zapraszamy!
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń |
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin |
94,9 FM Kielce www.tokfm.pl

Amicus Plato

EDWARD AUGUSTYN



WIZYTA PAPIEŻA U KARD. ANGELA BECCIU BYŁA nie mniej zaskakująca, jak ogłoszona pół roku temu decyzja o jego dymisji. We wrześniu Franciszek w trakcie kilkuminutowej rozmowy zdjął swego najbliższego współpracownika z urzędu i pozbawił praw kardynalskich, tłumacząc, że stracił do niego zaufanie. W Wielki Czwartek poszedł do jego mieszkania, gdzie wspólnie odprawili mszę Wieczery Pańskiej (z tego powodu papież zrezygnował z publicznej celebracji nabożeństwa).

Czy to pierwszy krok do rehabilitacji byłego prefekta kongregacji i substytutu w Sekretariacie Stanu? A może przyznanie się papieża do błędu? Niekoniecznie. Raczej powinniśmy niespodziewaną i utrzymywaną w sekrecie wizytę (poinformował o niej brat kardynała, służby prasowe Watykanu milczą) traktować jako wyraz życzliwości i gest chrześcijańskiego pojednania. A także dowód, że Franciszek potrafi oddzielać osobiste sympatie i prywatne relacje od spraw zawodowych – jego przyjaźń nie chroni nikogo przed odpowiedzialnością. „Platon mi przyjacielem, ale większą przyjaciółką prawda”. To wciąż rzadka cecha. Poprzednim papieżem jej brakowało. © P

Dom przy niebezpiecznej drodze

STOWARZYSZENIE „Dom Wschodni – Domus Orientalis” rozpoczyna na peryferiach Tunisu budowę domu dla migrantów z Afryki do Europy. Celem twórców domu jest pomoc ludziom, którzy nie widzą dla siebie przyszłości w krajach ojczystych, a chcąc przedostać się do Europy, padają często ofiarą gangów przemytników.

Jak podkreśla prezes stowarzyszenia, ks. Przemysław Szewczyk, w powstającym domu migranci będą mogli uzyskać pomoc, która umożliwi im bezpieczniejszą i legalną podróż – lub da szansę zdobycia umiejętności pozwalających na powrót do domu. Będzie to oczywiście pomoc materialna – żywność, schronienie, opieka medyczna. Chodzi jednak także o wsparcie psychologiczne i prawne, a także o stworzenie bezpiecznej przestrzeni spotkania i wymiany kulturowej. Zamiarem budowniczych domu jest też organizowanie kursów formacyjno-rozwojowych.

Podstawowe założenie jest niezwykle, choć powinno być oczywiste: na niebezpiecznej drodze potrzebne jest miejsce, w którym można podjąć w wolny sposób decyzję: idę dalej czy wracam.

© P PIOTR SIKORA

KOŚCIOŁ W SKRÓCIE

PAPIEŻ W JĘZYKU MIGOWYM
W Watykanie ruszył projekt „Nikt nie jest wykluczony”, oferujący osobom niedosłyszącym na kanale YouTube tłumaczenie na język migowy audyencji generalnych i przemówień na „Anioł Pański”. Na zdjęciu s. Veronica Donatello, zajmująca się niepełnosprawnymi z ramienia włoskiego episkopatu, tłumaczy na język migowy ogłoszenie w watykańskim Biurze Prasowym rozpoczęcia projektu.



VATICAN NEWS

SZCZEPIONKA W RAMADANIE
Szczepienia nie naruszają ramadanu – o fatwach tej treści poinformował Mouhanad Khorchide z Centrum Islamskiej Teologii na Uniwersytecie w Münster w Niemczech. W tym roku ramadan rozpoczął się 13 kwietnia i potrwa do 12 maja. W okresie tym od świtu do zachodu stołca pobożni muzułmanie powstrzymują się od jedzenia, picia, palenia i seksu.

KORZENIE CHRZEŚCJAŃSTWA
Kongregacja ds. Edukacji Katolickiej zatwierdziła studia licencjackie z zakresu judaizmu i relacji chrześcijańsko-żydowskich w Papieskim Uniwersytecie Gregoriańskim. Jak powiedział Radiu Watykańskiemu koordynator tych studiów ks. Etienne Vetö, Watykan uznał tym samym, że poznanie judaizmu stanowi integralną część chrześcijańskiej wiary i teologii, a dialog z judaizmem jest jednym z aspektów życia chrześcijańskiego.

Niemcy: mniej pieniędzy z podatku kościelnego

EPIDEMIA SPRAWIA, że wielkie Kościoły w Niemczech, katolicki i ewangelicki, odnotowały w 2020 r. spadek wpływów z podatku kościelnego (*Kirchensteuer*), sięgający łącznie 800 mln euro – szacuje Instytut Niemieckiej Gospodarki. Dane na temat *Kirchensteuer* za rok poprzedni Kościoły podają zwykle w połowie roku następnego, ale jeśli te szacunki się potwierdzą, byłby to duży spadek: o 6 proc. w stosunku do 2019 r.

Podatek kościelny, obowiązkowy dla członków obu Kościołów, jest powiązany z podatkiem dochodowym (zależnie od regionu, wynosi 8-9 proc. od wysokości tego podatku; statystyczny chrześcijanin płaci rocznie 300 euro). Za sprawą epidemii podatki dochodowe płacone przez obywateli są mniejsze, automatycznie spadł więc też *Kirchensteuer*. Ponieważ budżety diecezji i parafii – obejmujące również działalność charytatywną, w Niemczech silnie rozwiniętą – pochodzą głównie z *Kirchensteuer*, może to oznaczać konieczność cięć lub sięgnięcia do rezerw. Instytut Niemieckiej Gospodarki ocenia, że sytuacja polepszy się w drugiej połowie 2021 r., o ile nastąpi ożywienie koniunktury.

© P WP / FAZ, ARD, DR

Kara za narażanie ludzi

PROCEDURĘ KANONICZNĄ usunięcia z urzędu wszczął arcybiskup Paryża Michel Aupetit wobec proboszcza parafii Saint-Eugène Sainte-Cécile. Powodem decyzji było nieprzestrzeganie zasad sanitarnych obowiązujących w walce z pandemią podczas Wigilii Paschalnej, która w tej parafii sprawowana była w rycie trydenckim. Na zamieszczonym na YouTube filmie widać kapłanów bez masek podających hostię bezpośrednio do ust. Wierni, z których wielu to osoby starsze, nie zachowują dystansu. Tuż po świętach diecezja paryska stwierdziła, że „jest zdumiona oczywistym nieprzestrzeganiem podstawowych instrukcji dotyczących dystansu i noszenia masek”, mimo regularnego ich przypomniania.

Katolicki dziennik „La Croix” nazwał Saint-Eugène Sainte-Cécile „jedną z najbardziej tradycjonalistycznych parafii w Paryżu”.

© P ASK

KULTURA W SKRÓCIE

NORWID

Z BRAĆMI QUAY

Premierę miał krótkometrażowy film Braci Quay poświęcony Cyprianowi Kamilowi Norwidowi. Produkcja zrealizowana z okazji 200. rocznicy urodzin poety dostępna jest w mediach społecznościowych Instytutu Książki oraz na YouTube.

KOREA NAD WISŁĄ

Pierwszy w Polsce przegląd koreańskiej animacji odbędzie się pod koniec kwietnia na platformie mojeekino.pl. W programie krótkie i długie metraże, laureaci festiwalu w Cannes, najważniejsi twórcy współczesnej kinematografii.

ORLIK W HOLANDII

Polska animacja także ma się nieźle – „Jestem tutaj” Julii Orlik zdobyła nagrodę w kategorii Best Student Short na festiwalu Kaboom w Holandii. Reżyserką oraz autorką scenariusza jest studentka łódzkiej Filmówki. Jej film był już wielokrotnie nagradzany na świecie, otrzymał także specjalne wyróżnienie Krakowskiego Festiwalu Filmowego.

DUSZEJKO

NA KRÓTKIEJ LIŚCIE

Z szansę na holenderskie laury ma teraz Olga Tokarczuk, której powieść „Prowadź swój pług przez kości umarłych” nominowano do Europese Literatuurprijs – nagrody przyznawanej dla najlepszej powieści europejskiej przetłumaczonej na niderlandzki. Autorami przekładu są Charlotte Pothuizen i Dirk Zijlstra.

ŚWIĘTOSŁAWA
W STANACH

Na angielski przetłumaczono natomiast powieść Elżbiety Cherezińskiej „Harda”. Jeszcze w grudniu – jak przypomina wydawca – Oprah Winfrey umieściła książkę na liście najbardziej oczekiwanych powieści historycznych.



KHALED DESOUKI / AFP / EAST NEWS

RUINY „ZŁOTEGO MIASTA” sprzed 3,4 tys. lat odkryta w pobliżu starożytnych Teb ekspedycja kierowana przez egiptologa Zahiego Hawassa. Pod piaskami pustyni świetnie zachowały się ściany domów, warsztatów oraz pałaców faraonów i świątyń – z pomieszczeniami wypełnionymi przedmiotami życia codziennego. Zdaniem odkrywców, był to największy ośrodek administracyjny w czasach panowania Amenhotepa III, a jego poszukiwania trwały od lat. Wykopiska rozpoczęły się we wrześniu 2020 r. – i jak dotąd objęły wyłącznie południową część miasta. © P ŁK

Ukryta modrość
kapusty


DELMK / ADOBE STOCK

NIEBIESKI BARWNIK

SPOŻYWCZY najtrudniej pozyskać z naturalnych źródeł, zwłaszcza jadalnych. „Naturalny” to dziś w marketingu magiczne słowo, otrzymanie go stało się

więc „świętym graalem” przemysłu spożywczego. Właśnie z czerwonej kapusty wyizolował go zespół Pameli R. Denish z Uniwersytetu Kalifornijskiego.

Choć wydaje się to banalne każdemu, kto barwił pisanki, uzyskanie stabilnego barwnika w sensownej ilości i właściwym odcieniu zajęło im aż dekadę. Otóż kolor kapuście nadają antocyjany – a to rodzina przeszło 300 związków, w większości dających czerwienie i purpurę. W środowisku zasadowym stają się niebieskie, ale gdy zmieni się pH – czar pryska. Antocyjanów o pożądanym, cyjanowym odcieniu jest w kapuście mniej niż 5 proc. Ale można w nie zmienić inne antocyjany – przy pomocy enzymów.

By znaleźć ten właściwy, naukowcy zweryfikowali miliony enzymów, korzystając z symulacji komputerowych i modeli 3D cząsteczek. Efekt: wydajna metoda pozyskiwania naturalnego barwnika nadającego lodom i słodyczom kolor, który występuje w żywności najrzadziej.

Tyle w temacie naturalności.

© P MICHAŁ KUŹMIŃSKI

Moment mionów

AMERYKAŃSKI OŚRODEK FERMILAB ogłosił wyniki pierwszej fazy eksperymentu „Muon g–2”, które czynią wyłom w obecnej wiedzy o fundamentalnych składnikach świata, zawartej w tzw. modelu standardowym fizyki cząstek elementarnych. Teoria ta, sformułowana ponad 40 lat temu, nie tylko przewidywała istnienie nowych cząstek (na czele ze słynnym bozonem Higgsa), ale pozwala też obliczać niektóre charakteryzujące je parametry liczbowe z ogromną dokładnością. Nowe pomiary dotyczą właśnie jednego z nich – tzw. momentu magnetycznego mionu – który okazuje się o jedną czteromilionową procenta (!) większy, niż ma to wynikać z teorii.

Jeśli rezultat się utrzyma, będzie to pierwszy sygnał „nowej fizyki” wykraczającej poza model standardowy, który mimo swoich zasług jest przez teoretyków uważany za niekompletny i prowizoryczny. Radość może być jednak przedwczesna – równo z doniesieniami Fermilabu w „Nature” ukazały się wyniki obliczeń przeprowadzonych inną metodą, które są zgodne z eksperymentem. Być może więc to nie sam model standardowy jest błędny, a jedynie stosowane dotąd w jego ramach metody obliczeniowe.

© TOMASZ MILLER



NIE MA PRZEBACZ

Zawstydzanie, piętnowanie i, ostatecznie, unieważnienie – to techniki, których ofiarami padają uczestnicy wojny wszystkich ze wszystkimi, wypełniającej debatę publiczną w Polsce i większości krajów Zachodu.

DARIUSZ ROSIAK

OBRZAFRYKI: RASIZM W »JĄDRZE ciemności« Conrada – to tytuł wykładu, który w 1975 r. na Uniwersytecie Massachusetts wygłosił nigeryjski pisarz Chinua Achebe, przez krytyków nazywany „ojcem literatury afrykańskiej”. Oskarżył w nim Josepha Conrada o powielanie rasistowskich stereotypów; o to, że w jego najsłynniejszej książce Afrykanie są pozbawieni osobowości, języka – nie mają imion, nie mówią, nie odczuwają emocji – pozostają wyłącznie symboliczną „antytezą Europy, a zatem cywilizacji”.

Achebe nie twierdził, że pisarz był rasistą, ale że jego książka, której zresztą nie odmawiał wartości artystycznej, powieli szkodliwy stereotyp czarnego człowieka. „Conrad ma problem z Murzynami (*niggers*). Jego nadmierne zamięłowanie do tego słowa powinno zainteresować psychoanalityków” – mówił.

Wykład wywołał ogromne emocje nie tylko wśród (białych) krytyków literackich. Był on w istocie politycznym wezwaniem skierowanym do ludzi Zachodu, by opisując świat brali pod uwagę wrażliwość narodów nieeuropejskich. obrońcy Conrada uznali, że Achebe popełnia błąd wyciągając utwór ze społecznego i historycznego kontekstu oraz oceniając go przy użyciu kryteriów współczesności. Samo słowo *nigger* w czasach Conrada znaczyło co innego – było znacznie mniej obraźliwe

niż w 1975 r., nie mówiąc o czasach współczesnych. Nigeryjski pisarz odpowiadał, że nikomu nie zakazuje podziwu dla „Jądra ciemności”, domaga się natomiast, by jego odczytanie książki zostało potraktowane równie poważnie jak inne.

Te sylaby nie istnieją

Mija ponad czterdzieści lat. W 2019 r. dziennikarz „New York Timesa” Donald McNeil wyjeżdża do Peru z grupą uczniów szkół średnich na obóz naukowy. W trakcie podróży dochodzi do wymiany zdań między nim a jedną z uczennic, w której używa „słowa na »n«” (tak w nieobrazliwej wersji angielskiego określa się obecnie to słowo) jako przykładu terminu rasistowskiego, którym pod żadnym pozorem nie wolno się posługiwać.

Oburzeni rodzice żądają od redakcji „New York Timesa” ukarania dziennikarza. Początkowo wydawca postanawia dać reporterowi drugą szansę, zwłaszcza że właśnie zaczyna się pandemia COVID-19, a McNeil, specjalista od wirusów i epidemii, jest głównym autorem dziennika piszącym na ten temat świetne teksty. Sprawa jednak wraca po tym, gdy portal „Daily Beast” publikuje o niej kolejny artykuł. Nie zawiera on nowych oskarżeń, ale stu pięćdziesięciu oburzonych pracowników „New York Timesa” pisze list otwarty domagając się wyjaśnienia sprawy. Sam McNeil podaje powody użycia słowa na „n”, a przy okazji bezwarunkowo przeprosza: „Początkowo myślałem, że kontekst, w którym użyłem tego brzydkiego słowa, →

Pomnik Winstona Churchilla zabezpieczony przed ewentualnym wandalizmem ze strony demonstrantów, Londyn, czerwiec 2020 r.

→ może mnie bronić. Teraz wiem, że nie może”. Kaja się przed uczniami i współpracownikami, których „zraniła moja błędna ocena sytuacji”. I wylatuje z redakcji. „Nie tolerujemy rasistowskiego języka bez względu na intencje osoby, która go używa” – tłumaczy wydawca Joseph Kahn.

Donald McNeil nie stracił pracy za obrażenie kogokolwiek (nie użył słowa na „n” w odniesieniu do rozmówcy ani żadnej osoby trzeciej) ani za złe intencje, które mogły towarzyszyć wypowiedzianiu tego słowa (intencje miał dobre – chciał poinstruować młodzież, jakiego słowa nie należy używać), tylko za wydanie z siebie dwusylabowego dźwięku, który obecnie nie ma prawa istnieć w języku angielskim. Wygląda na to, że pewne słowa albo frazy stają się złem nie ze względu na krzywdę, którą powodują, albo nikczemne myśli towarzyszące wypowiadającemu je, ale ze względu na to, że wytwarzają obiektywne zło – coś tak jak zaklęcia Harry’ego Pottera albo rzucanie uroku przez czarownicę.

Redaktor ostateczny

Zestawiam dwie sprawy, które dzieli wiele lat, aby pokazać, jak uprawniona i potrzebna dyskusja na temat ciągle zmieniających się sposobów opisu rzeczywistości może ulec głębokiej degeneracji i stać się groteskowym zaprzeczeniem samej siebie, pseudoreligijnym wyrazem ideowego chaosu i zagrażającym wolności atakiem na ludzi reprezentujących postawy niezgodne z wytycznymi intelektualnej, liberalnej i wąskiej, za to dysponującej dużymi wpływami medialnymi elity Zachodu – oraz jej rewolucyjno-bojowniczej szpicy.

Kultura unieważniania (*cancel culture*), której ofiarą padł McNeil oraz kilkoro jego kolegów i koleżanek z „New York Timesa” (gazeta ta stała się ostatnio jednym z ważniejszych centrów unieważniania ludzi w Ameryce), nie jest już abstrakcyjną teorią myślową uprawianą pokątnie na uniwersytetach, tylko praktyką stosowaną przez tzw. bojowników o sprawiedliwość społeczną (*social justice warriors*). Zwalane są pomniki ludzi traktowanych do niedawna jak autorytety, wycofywane z list lektur książki uznawane nie tylko za rasistowskie czy seksistowskie, ale wymagające od uczniów konfrontacji z wrażliwością innych czasów („Zabić drozda” Harper Lee), kwestionowane jest miejsce w kulturze pisarzy

Kultura unieważniania
i polityka tożsamościowa
stosowane są
przez lewicę i prawicę,
lecz etykieta polityczna
**nie narusza potencjału zła,
które ze sobą niosą.**

(J.K. Rowling), wykładowców (Steven Pinker), artystów (Nick Cave) czy dziennikarzy (Piers Morgan), którzy wykazują odchylenia od ustalanej na bieżąco i ciągle zmienianej ortodoksji w dziedzinach, które najbardziej ożywiają front wojny kulturowej: rasy, seksualności, tożsamości płciowej, instytucji społecznych, klasowości, historii, religii. *Shaming* (zawstydzanie), *calling out* (piętnowanie) i ostatecznie unieważnienie – to techniki, których ofiarą padają często nieświadomi uczestnicy wojny wszystkich ze wszystkimi wypełniającej dziś debatę publiczną w większości krajów Zachodu.

Linia frontu jest płynna, a wszyscy uczestnicy debaty muszą mieć się na baczności, bo w każdej chwili ich myśli mogą zostać uznane za niesłuszne, a wypowiedziane przez nich słowa mogą kogoś obrazić, co stanowi podstawę do unieważnienia. Wojna o to, kogo wygumkować z historii i teraźniejszości, toczy się na ulicy, w gazetach i telewizji, w salach wykładowych uniwersytetów, ale przede wszystkim w mediach zwanych dla zmyłki społecznościami. Twitter, Facebook i Instagram są właściwie stworzone po to – z tego czerpią swoją popularność i zyski – by wynosić na piedestał i niszczyć ludzi w mgnieniu oka i bez wyraźnej przyczyny.

Liczą się prawa tłumu, często zresztą adoptowane przez media tradycyjne. Bari Weiss, inna unieważniona redaktorka „New York Timesa”, pisała w swoim liście pożegnalnym do świata, który opuszczała: „Twitter stał się ostatecznym redaktorem. Zasady etyczne i normy tej platformy zostały przyjęte przez moją gazetę, a ona sama staje się coraz bardziej przestrzenią performansu. Tematy dobierane i realizowane w taki sposób, by zadowolić wąską grupę odbiorców, a nie po to, by pozwolić zainteresowanym czytelnikom poczytać o świecie i wyciągać własne wnioski. (...)

Teraz historia stała się jeszcze jedną ulotną rzeczą formowaną tak, by spełnić wymagania z góry ustalonej opowieści”.

W imieniu poniżanych

Krytycy krytyki kultury unieważniania powiedzą zapewne, że wszystko to, co zostało napisane powyżej, jest błędną interpretacją zjawiska. Nie dlatego, że nie istnieją przykłady „gumkowania” niesłusznych dzieł i ludzi albo przekreślania karier osób, które odważyły się podważyć jedną z prawd politycznopoprawnej ortodoksji. Owszem, istnieją, czasem niektórych lewicowych aktywistów ponoszą emocje.

Jednak, po pierwsze, są to pojedyncze przykłady działań opartych na żarliwym dążeniu do sprawiedliwości społecznej – a zatem z gruntu usprawiedliwionych. Po drugie, te drobne anegdotyczne ciekawostki nie zmieniają zasadniczego faktu: prawdziwa kultura unieważniania to bowiem historia całej cywilizacji zachodniej. Znajdziemy w niej niezliczone przykłady prześladowania ludzi, którzy występowali przeciwko niesprawiedliwości i niszczeniu słabszych, za co trafiali na stosy, pod ścianę albo do cel. I nikt ich nie bronił. Fundament cywilizacji Zachodu zbudowano na tak niehumanitarnych przejawach dyskryminacji jak rasizm, niewolnictwo, patriarchy, prześladowanie mniejszości seksualnych. Przez wieki ofiary tych plag nie miały głosu, a dziś, gdy ktoś wystąpi w ich imieniu, prawicowe jaczajki trąbią o rzekomym łamaniu wolności słowa.

Jest więc – brzmi dalej wytłumaczenie – dokładnie na odwrót: to, co wrogowie wolności nazywają „kulturą unieważniania”, to przejaw nareszcie odzyskanej podmiotowości słabszych i poniżonych. To, co prawnicy nazywają kneblowaniem inaczej myślących, to w istocie przejaw prawdziwej wolności słowa, dzięki której ofiary (ustami rzeczników) mogą wypowiedzieć się w głównym nurcie debaty publicznej. W ich imieniu występuje awangarda intelektualno-rewolucyjna, ludzie (zwykle młodzi) nieobarczeni bagażem tradycji, odrzucający ją jako wymysł patriarchalno-rasistowsko-seksistowskiej cywilizacji przemocy, w której żyjemy.

Rekonstrukcja kultury staje się naturalnym wyrazem dążenia do sprawiedliwego wyrównania terenu, przemalowania obrazu, który przez wieki nie odzwierciedlał rzeczywistego stanu świata i kondycji ludzkiej. To dlatego niektóre

pomniki muszą upaść, niektóre książki trzeba wycofać z lektur, a inne z druku, niektóre słowa trzeba zlikwidować. Wymiana elit (zwalnianie z pracy), weryfikacja autorytetów, rekonstrukcja języka – to naturalne procesy, a nie żadna nagonka na inaczej myślących.

Polowanie na rasistów

Jak każda rewolucja – a kultura unieważniania jest nurtem rewolucyjnym – potrzeba wywracania świata do góry nogami przedstawiana jest jako ruch nonkonformistyczny, przejaw buntu wobec myśli dominującej w społeczeństwie. Pozory mylą – to, co w jednym środowisku i kontekście społecznym jest buntem, w innym bywa przejawem przystosowania. I tak jest w przypadku kultury unieważniania, która w ciągu zaledwie kilku lat z akademickiego kuriozum praktykowanego w Stanach Zjednoczonych stała się częścią medialnego mainstreamu liberalnego Zachodu i ulubionym sportem postępowej części ludzkości. Obrona *status quo* i ataki na zwolenników gumkowania opresyjnych treści i ludzi przedstawiane są natomiast jako przejawy wsteczności myślowego i dziaderskiego uwiadu.

Aspekt pokoleniowy ma ogromne znaczenie. W głównym nurcie tego pędu stanęli młodzi, uznający, że słowa nie tylko mogą wywoływać przemoc, ale same w sobie są przemocą. Amerykański psycholog społeczny Jonathan Haidt uważa, że ten proces zaczął się nasilać na amerykańskich uniwersytetach około 2014 r., kiedy „studenci zaczęli traktować idee nie tylko jako »słuszne« czy »błędne«, ale jako niebezpieczne”, czyli stanowiące zagrożenie dla komfortu życiowego osób, które się z nimi zetkną.

W 2015 r. Haidt wraz z Gregiem Lukianoffem opublikowali w magazynie „The Atlantic” głośny tekst „Coddling of the American Mind” (słowo *coddling* oznacza rozpieszczanie, ale także duszenie na wolnym ogniu, w którym opisują ten proces. To wtedy pojawiły się pojęcia takie jak *safe spaces* (strefy bezpieczeństwa), czyli przestrzenie wyodrębnione dla przedstawicieli grup uznawanych za potencjalne ofiary przemocy – kobiet, czarnych, osób LGBT, muzułmanów; *microaggression* (mikroprzemoc), czyli słowa albo drobne czyny, które bez względu na intencje autora należy traktować jak akty przemocy; *trigger warnings* (alerty wywoławcze), czyli niezbędne ostrzeżenia, które

W środowisku, w którym
liczy się zasięg i klikalność,
**wystarczy, że użyjesz
nieodpowiedniego słowa,**
bez względu na kontekst,
jesteś stracony
i nie ma przebaczenia.

nauczyciele powinni stosować w przypadku, gdy książka zawiera opisy przemocy na tle rasistowskim albo np. sceny gwałtu. Dzięki ostrzeżeniu szczególnie wrażliwi studenci mogą uniknąć czytania książek, które narażają ich na traumę, np. „Wszystko rozpada się” Chinui Achebe (tak, on też został uznany za potencjalne zagrożenie dla młodzieży) czy choćby „Wielkiego Gatsby” F. Scotta Fitzgeralda.

Haidt zwraca uwagę na zjawisko, które nazywa „ekonomią prestiżu”. Kolejne młode pokolenia na Zachodzie są coraz bardziej tolerancyjne i coraz mniej konkurencyjne. Jednocześnie w każdym młodym pokoleniu ważny jest prestiż w grupie rówieśniczej. Kiedyś popularność gwarantował np. talent do sportu, ale dziś chwalenie się przewagami w tej dziedzinie może zostać odebrane jako protekcjonalne i obraźliwe wobec osób niewysportowanych. W zamierzonych czasach napiętniejsza dziewczyna w klasie była jednocześnie najpopularniejsza (przynajmniej wśród chłopców), dziś obnoszenie się z urodą to jak stąpanie po polu minowym – każdy krok grozi wybuchem usprawiedliwionego żalu osoby mniej urodziwej. Chłopcom też odradza się obnoszenie z ekstazą, bo karą może być etykieta szowinistycznej świni.

W dzisiejszych czasach, twierdzi Haidt, wyszukiwanie i piętnowanie osób wykazujących przejawy rasizmu, seksizmu, dyskryminacji osób LGBT albo lekceważenia słusznych dążeń do prawa o decydowaniu, jakim zaimkiem określać daną osobę, to dla wielu młodych ludzi szansa na zdobycie popularności i prestiżu właśnie – czym więcej rasistów znajdziesz i napiętnujesz, tym szybciej rośnie twoja pozycja w grupie.

Haidt opisuje w kategoriach badawczych zjawisko, które zna każdy użytkownik mediów społecznościowych.

W środowisku, w którym liczy się zasięg i klikalność, zasadą staje się dostrzeganie w drugim najgorszych cech i najgorszych intencji. Wystarczy, że użyjesz nieodpowiedniego słowa, bez względu na kontekst i treść twojej wypowiedzi jesteś stracony i nie ma przebaczenia.

Lęk przed unieważnieniem

Ludzie dzielą się tu więc na grupy konstruowane przez opozycje: rasistów i antyrasistów, tolerancyjnych i nienawistników, otwartych i tych z ciemnogrodu. Nie ma niuansowania doświadczenia, dostrzegania specyfiki życia jednostki, sprzeczności wyborów życiowych. Wobec żadnej z grup, które przez wieki podlegały opresji, nie wolno stosować generalizacji. Wolno natomiast i należy wobec jednej: białych heteroseksualnych mężczyzn od wieku średniego wzwyż. Tylko oni stanowią jednolitą magmę, w której pływa wszelkie zło na ziemi.

Biali nie przeżyli doświadczenia czarnych, więc nie mają prawa o nich mówić. Biali heteroseksualiści nie wiedzą, co to znaczy cierpieć prześladowania jako geje, a zatem nie mają prawa wypowiadać się na tematy, które dotyczą grup nienormalnych. Powoli dochodzimy do tego, że heteroseksualiści nie mają prawa grać gejów w filmach, a osoba biała tłumaczyć wiersza czarnej poetki laureatki. Co więcej, biali heteroseksualni mężczyźni – jako z definicji członkowie grupy uprzywilejowanej oraz prześladowanej innych – muszą udowodnić, że nie są rasistami, seksistami, homofobami albo islamofobami.

Co nas prowadzi z powrotem do konformizmu „kultury unieważniania”. Jak zwraca uwagę znany (czarny) amerykański lingwista John McWhorter, ludzie zastraszeni gotowi są do wielu poświęceń, np. do zawieszenia racjonalnego myślenia, tylko po to, by udowodnić, że nie są winni myśli i zachowań, o które ich się oskarża. Przyjmują więc treści, na które nie ma dowodów i w które nie wierzą, po to, by nie stać się ofiarą „unieważnienia”. W nagrodę mogą występować w roli oświeconej awangardy rewolucji społecznej.

Zaniechanie krytycznej obserwacji świata jest tu szczególnie istotne. Na przykład – twierdzi McWhorter – czarni, generalnie rzecz biorąc, mają dobre wyczucie rytmu. Jest to oczywiste dla każdego, kto był w Afryce, zwłaszcza zachodniej. Powyższe stwierdzenie, mimo że oparte na pragmatycznym oglądzie

→ świata i ludzi, jest jednak niedopuszczalne, bo nie należy mówić, że cokolwiek łączy czarnych – poza tym, że nie nawiądzi ich wszystkich amerykańska policja, a biali uważają ich za gorszych od siebie. Wbrew niezliczonym artykułom głoszącym tezę o tym, że George Floyd został zabity dlatego, że był czarny, nie jest to oczywiste. Jednak zadawanie pytań w tej kwestii pociąga za sobą oskarżenia o rasizm, podobnie jak kwestionowanie istnienia czegoś, co w USA powszechnie nazywa się „instytucjonalnym rasizmem”.

McWhorter jest jednym z najbardziej aktywnych afroamerykańskich intelektualistów protestujących przeciwko infantylizowaniu czarnych, dehumanizowaniu ich poprzez traktowanie jak istoty wymagające specjalnej troski. Otwarcie konfrontuje rodaków z faktami, o których biali często boją się pisać w obawie przed „unieważnieniem”.

Zdaniem McWhortera, kultura unieważniania ma też charakter religijny, bo nie opiera się na faktach empirycznych. Z tego McWhorter wyciąga ważny wniosek: ponieważ jest to religia, nie wolno na jej fundamencie budować programów politycznych i społecznych obejmujących ogół ludzi.

Szkoda róż

Już widzę niedowierzanie w oczach niektórych czytelników. O czym on pisze? Żyjemy w kraju, w którym prawdziwymi problemami społecznymi są rasizm, antysemityzm, dyskryminacja osób LGBT czy niepełnosprawnych. Od lat trwa w Polsce proces przepisywania historii w myśl wytycznych polityków i podejmowane są próby unieważniania postaci kultury (np. Zygmunta Baumana), które nie pasują do obrazu Polski promowanej przez obecne władze. Od 2015 r. rząd prowadzi politykę wymiany elit, prostowania historii, niszczenia mediów, co składa się na wielowymiarowy projekt rekonstrukcji kulturowej Polski.

Nawet jeśli wśród obrońców osób dyskryminowanych i pogardzanych znajdują się hunwejbini sprawiedliwości społecznej przesadzający z ideowym żarem, to co z tego? Nawet jeśli na Zachodzie ktoś przesadzi z oskarżeniami Polaków o antysemityzm i jaskiniowy nacjonalizm, to przeżyjemy – przecież i tak mamy

swoje za uszami – najpierw rozbrojmy własne bomby, potem zajmiemy się resztą. Tyle terenu zostało do nadrobienia w pogoni za postępowym światem liberalnego Zachodu, nie ma co ronić łez nad krzywdą kogoś niesłusznie obwinianego o rasizm, seksizm czy patriotyzm. Nie szkoda róż, gdy płonie las...

To jest sensowny argument, tylko nie w obronie kultury unieważniania; raczej wskazujący, że nie ma ona jednej barwy politycznej – nie musi pochodzić ze środowisk lewicowych. Wskazują na to przykłady Polski, Węgier czy Rosji. Kultura unieważniania i polityka tożsamościowa stosowane są przez lewicę i prawicę, lecz etykieta polityczna nie narusza potencjału zła, które ze sobą niosą.

To zagrożenie dotyczy nie tylko sfery społecznej. Redukowanie ludzi do roli ideologicznych awatarów to przede wszystkim ruch upupiania ludzi, którzy przypadkiem znaleźli się w grupie uznanej przez „słusznie myślących” za godną wsparcia, współczucia i wyzwolenia. Wymyślone kilka dekad temu na amerykańskich uniwersytetach redukowanie ludzi do kategorii grupowych (czarny, biały, Azjata, gej, transseksualista, muzułmanin itd.) jest poniżające, paternalistyczne i pozbawione sensu. Ogranicza opis doświadczenia ludzkiego i ludzkich aspiracji do walki politycznej toczzonej w ramach tych grup i między nimi. Złe emocje – nienawiść, zawiść, zazdrość – zaczynają wypierać ciekawość doświadczenia innych i szukanie sfer dobra wspólnego.

Być może ten aspekt kultury unieważniania i całej polityki tożsamościowej jest najważniejszy – zmieniają one kulturę w jatkę, w której ścierają się ze sobą różne fundamentalizmy. Fundamentalizm nie jest bowiem stanem umysłu zarezerwowanym dla terrorystów samobójców. Dotyczy on każdego, kto z wygody, ze strachu albo z konformizmu unieważnia istnienie innych poglądów, postaw życiowych. A na koniec – innych ludzi.

© DARIUSZ ROSIAK

AUTOR jest dziennikarzem radiowym, prasowym i reportażystą. Twórca i główny prowadzący „Raportu o stanie świata”. Dziennikarz Roku 2020 w konkursie Grand Press. Stale współpracuje z „Tygodnikiem”.

W górę życie, w dół śmierć

PROF. RYSZARD KOZIOŁEK,
LITERATUROZNAWCA:

„Czyszczenie” własnych poglądów, swoista operacja higieniczna na nich wydają mi się szalenie niebezpieczne dla przyszłości demokracji.

MARCIN ŻYŁA: Skąd się wzięła kultura unieważniania?

RYSZARD KOZIOŁEK: Podobne do niej praktyki kulturowe są stare jak świat. Wiążą się przede wszystkim z działaniami władzy, która cenzuruje, uprawia politykę historyczną, interweniuje w obraz przeszłości i teraźniejszości. Celem jest homogeniczność, unieważnienie elementów, które zakłócają założony, projektowany kształt świata.

Tyle że władza robi to z premedytacją. A w kulturze unieważniania internetowy tłum dokonuje szybkiego linczu.

Nie tylko – także udziela aprobaty i pochwały. W szerszym sensie to proces przekształcania sfery publicznej, w której może wybrzmieć głos pojedynczego obywatela. Ważnym momentem były nardziny opinii publicznej. Alexis de Tocqueville, pisząc o jej roli w Ameryce, zwracał uwagę na zjawisko widoczne także w dzisiejszej kulturze unieważniania. Mianowicie, że opinia publiczna wywołuje postawy konformistyczne i lękowe, które rodzą się z obawy przed tym, jak zostaniemy ocenieni. A w konsekwencji – pozbawieni szacunku czy zaufania.

Nowość polega na tym, że teraz wszystko dzieje się w sieci?

Tak, internet zmienił wiele, jeśli nie wszystko, w dostępie obywatela do głosu publicznego. Każdy ma nie tylko swoje 15 minut sławy, jak prorokował Andy Warhol, ale i bezkres wirtualnej przestrzeni oraz czasu dla swoich komunikatów. Siła połączonych w sieci głosów wy-

wołuje zdarzenia społeczne – manifestacje, strajki, decyzje rządowe i biznesowe.

A jednak nagłość i afektywność tych głosów, zwłaszcza zaś bezwzględność sądów, niepokoją mnie. Najbardziej to, że opinie wyrażane na portalach społecznościowych przejmują instytucje publiczne – szkoła, uniwersytet, media. Zaczynają się wsłuchiwać w zbiorowość internetową. Tymczasem demokracja wymaga życia i debatowania razem z tymi, którzy nie są w mojej grupie „przyjaciół”. Jeśli napiszę na Twitterze: „W pustyni i w puszczy» powinno być czytane przez nastolatków”, jedni uznają mnie za kryptorastisę lub „prawaka” i „unieważnią” mój sąd, inni zaś powiedzą, że bronię tradycyjnych wartości, i go „polubią”. Ale to ma niewiele wspólnego ze sporem merytorycznym.

W kulturze unieważniania chodzi też o wpływ na tych, którzy dotąd sami byli wpływowi.

I którzy byli poza zasięgiem głosu zwykłego obywatela. Teraz może on wydać opinię na temat niemądrych lub nagan-nych wypowiedzi i zachowań polityków, artystów lub celebrytów. Podlegają oni pewnego rodzaju kontroli społecznej. Owszem, często niesprawiedliwej czy sztydycznej. Ale jeśli ktoś wprowadza się do internetu ze swoim życiem zawodowym i prywatnym, a do tego mocny jest politycznie i ekonomicznie, pośrednio daje przyzwolenie na publiczną ocenę swojego wizerunku.

W lipcu 2020 r. w amerykańskim „Harper’s Magazine” ukazał się list otwarty krytykujący kulturę unieważniania i przypominający, że warunkiem sprawiedliwości jest wolna wymiana poglądów. Podpisało go kilkudziesięciu wpływowych intelektualistów. Ich z kolei krytykowano właśnie przy pomocy tego argumentu: są bogaci i uprzywilejowani, powinni więc podlegać surowemu osądowi. To naprawdę sprawiedliwe?

Słowo „sprawiedliwość” jest tu kluczowe. Widzę w tym pragnienie natychmiastowego wymierzenia kary temu, kto nie spełnia standardów „naszej” grupy. Stają się te działania wyrazem swoistej sprawiedliwości ludowej, która sama, bez dochodzenia i sądów, wymierza karę lub ulaskawia. Jest w internetowym unieważnieniu coś, co czasem przypomina



„Aleja Graffiti” w Toronto, czerwiec 2020 r.

lincz – nie ma w nim szansy na odkupienie. Internet nie wybacza, co najwyżej zapomina. Skumulowane tweety stają się siłą, która wpływa na zachowanie potężnych instytucji.

Przywołany tu list wyrasta z protestu przeciw polityce Trumpa i jest inspirowany ruchem Black Lives Matter. Co ważne, sygnatariusze zwracają się przede wszystkim do „swojej”, liberalnej strony, podkreślając, że jej surowość wobec siebie samej jest równie bezwzględna, jak wobec ideowych adwersarzy. I powoduje zanik rzeczywistej debaty, w zamian za dopasowywanie się do poglądów większości. Zgadzam się z tym. „Czyszczenie” własnych poglądów, swoista operacja higieniczna na nich wydają mi się szalenie niebezpieczne dla przyszłości demokracji.

Jak to działa?

W cenzurze PRL-u funkcjonował tzw. zapis na nazwisko – w mediach nie mogły pojawić się nazwiska niemiłe władzy. Próbuąc ominąć zakaz, Kołakowskiego nazywano „Filozofem”, a Miłosza „Poetą”. Dziś też mamy zapisy na określone słowa, z tym, że to określona społeczność internetowa, a nie władza, ustala te zapisy. Niektóre są słuszne, bo dotyczą słów stygmatyzujących lub obelżywych, niosących pamięć krzywd wyrażonych tym, którzy są nimi nazywani.

Ale słowa, nawet te „złe”, nie służą wyłącznie nazywaniu. Są częścią historii języka, literatury, historii. Zamiast unie-

ważniania słów lub ludzi, którzy je wypowiadają, należy pracować nad budowaniem świadomości znaczenia i działania słów, które zawsze będą słyszane lub czytane przez dzieci i młodzież. Gdzie trafią słowa lub całe teksty wykluczone ze słownika danej społeczności, ze szkoły lub debaty akademickiej? Najprawdopodobniej nie znikną, będą rozkwitać w innej, obcej „nam” bańce.

Ta bezwzględność egzekwowania słownika jest czymś, co dla mnie jako filologa stanowi niebezpieczeństwo. Czuję wręcz, że ktoś czyści mój słownik, jak u Orwella, kiedy zmienia się treść gazet i książek z przeszłości.

Jakich słów i obrazów to dotyczy?

Sam zaczynam się obawiać, czy powinienem użyć w tej rozmowie, nawet na prawach cytatu, obraźliwych nazw wspólnot rasowych czy etnicznych – słów na „m” albo na „c”. To tak właśnie działa. Ale chyba chodzi mi o to, żeby osiągnąć stan świadomości, kiedy wypowiedzianie tych słów jest trudniejsze, obciążone.

Na przykład?

U Sienkiewicza o chłopach ukraińskich mówi się „czerń”, co było popularną nazwą tej grupy społecznej między XVI a XVIII wiekiem, nie tylko w polszczyźnie. Mogę sobie wyobrazić, że ukraiński student na moich zajęciach powie: „Nie chcę czytać »Ogniem i mieczem«, ponieważ bohater, z którym łączy mnie rodowód etniczny, jest

→ przedstawiony w tak pogardliwy sposób, że lektura jest dla mnie bolesna”.

I co wtedy?

Nie wolno mi tego zlekceważyć. Tym bardziej że czytając „Potop” jako luteranin nie miałem lekko, bo chciałem być z Kordeckim na wałach Częstochowy, a moja religijna tożsamość umieszczała mnie w okopach ze Szwedami śpiewającymi „psie psalmy”.

Niemniej oczekiwanie, żeby ze spisów lektur zniknęło wszystko, co sprawia nam przykrość, jest brnięciem w ślepą uliczkę kolejnych „zapisów”. Pozbawiamy się w ten sposób zrozumienia, skąd się ten ból wziął. Jeśli wypreparujemy świat oczyszczony z elementów krzywdzących czy bolesnych, nie damy sobie szansy na zbudowanie aparatu krytycznego przeciw takim słowom i obrazom.

Kiedy staje przed nami ktoś, kto mówi: „mnie to boli” – jak zareagować?

Przede wszystkim należy przyjąć jego perspektywę lektury oraz skłonić do tego innych uczniów czy studentów. Do tego służą nam wyobrażenia, rozum i empatia. Po drugie, pokazać uczestnikom rozmowy, że to jest napisane, a nie rzeczywiste, i że może być napisane inaczej. Jak? Jak chcemy? Jak być powinno? Dlaczego tak?

Obecność tego ukraińskiego studenta czyni dla mnie widzialną tę sferę opowieści, której wcześniej nie brałem pod uwagę albo traktowałem jako zwykły element konwencji. Dzięki jego krytyce nie mogę już czytać tych scen niewinności. Samo pozbawienie nas niewinności używania tych słów już jest wielką lekcją wiedzy o funkcjach mowy.

Jak jednak sprawić, żeby opór wobec tego, co boli, nie skutkował podejrzliwością czy hipokryzją – i nie blokował prawdziwej rozmowy?

Trzeba opuścić poziom tweetu, wpisu czy jednozdaniowego komentarza. A przede wszystkim grupę ludzi podobnych do mnie. To wielka wartość edukacji. Klasa szkolna w szkole publicznej to przeciwieństwo grupy na portalu społecznościowym. Nie tylko jeśli chodzi o zróżnicowanie poglądów, rodzin, płci, mowy czy możliwości, ale ze względu na sposób rozmowy z samym sobą. Oczekujemy tu wiedzy, dobrej mowy, argumen-

tacji. Tymczasem mam wrażenie, że opinie w mediach cyfrowych przypominają znak kciukiem w rzymskim amfiteatrze – w górę życie, w dół śmierć.

Tylko że nie zlikwidujemy mediów społecznościowych.

Chodzi o to, żeby nie stały się modelem demokratycznej debaty, ale jej inspiracją lub stymulacją. To, czego się obawiam, to ujednolicanie poglądów i postaw w ramach tej samej grupy komunikacyjnej. Tymczasem ulica, sklep, kawiarnia, klasa szkolna są miejscem mieszania się ludzi z różnych grup. Oni muszą ze sobą pokojowo żyć. Gdzie mają się w tym ćwiczyć? Na pewno nie przez wymianę lapidarnych wpisów.

Chodzi o to, żeby media społecznościowe nie stały się modelem demokratycznej debaty, ale jej inspiracją lub stymulacją.

Znowu poproszę o przykład.

Ktoś pisze na Facebooku: „W Święta byłem na mszy”. Pojawiają się komentarze w rodzaju: „Jak możesz należeć do instytucji pełnej pedofilów?”. Ktoś inny oświadcza: „Piszę pracę z młodego Marksa”. Reakcje? Lewak, komunista itp. Kiedy jednak te dwie osoby spotykają się na zajęciach, muszą rozmawiać inaczej. Nie tylko rzeczowo argumentować swoje sądy i oceny, ale muszą czuć się bezpiecznie.

To jest moje zadanie jako nauczyciela, ale też zadanie instytucji publicznych w zdrowej demokracji – stworzyć warunki bezpiecznej, otwartej i merytorycznej debaty. Tymczasem obserwujemy raczej eskalację radykalności i bezwzględne profilowanie światopoglądowe lub polityczne uczestników niemal każdego sporu. Zanim go rozpoczniemy, przebiegamy się w barwy plemienne zwiastujące nasze przekonania. Kształcenie zdalne umożliwiło to choćby przez awatary umieszczane na profilach zamiast naszych twa-

rzy. Dyskusja na temat znaku Strajku Kobiet w przestrzeni akademickich platform edukacyjnych to jeden z przykładów przemian debaty publicznej.

Emotikon, znak, mem czy wznesiony kciuk nie wystarczą?

To skrót, rodzaj identyfikacji plemiennej, niczym zawołanie w „Księdze dzungli”: „Ja i ty jesteśmy jednej krwi”. Zadaniem nauczyciela jest przeprowadzenie uczniów i studentów przez ten proces: od hasła, krzyku, emblematu, ikonicznej manifestacji do narracji na temat świata i siebie, czyli do mowy i rozmowy, które potrzebują innego miejsca, więcej czasu, a przede wszystkim zakładają fizyczną obecność w przestrzeni sporu.

Jesienne protesty były też momentem, kiedy zaczęto mówić „nie ma przebaczenia”. Trwa wojna, wszelkie półśrodki należy odłożyć na bok, będą ofiary.

Rozumiem gniew sprawiedliwy, który rodzi się w obliczu bezradności, lekceważenia i pogardy. Ale ta erupcja, eksplozja tłumionych emocji i energia muszą zostać opracowane, przetworzone w coś trwałego. Inaczej pozostaną wyłącznie negacją.

Bertolt Brecht powiedział kiedyś o wizerunkach masek ukazujących gniewne duchy, że pokazują zmęczone istoty, ponieważ nikt nie jest w stanie trwać długo w takim stanie. Jestem reakcyjnym pozytywistą, wierzę w edukację, nie w rewolucję. Jeśli już, to w rewolucyjną edukację. Nie ma w niej miejsca na unieważnianie, ale na naprawianie i ulepszanie wspólnego życia ze sobą. To, że komuś damy „ban”, niewiele rozwiązuje. Co dalej? Co z tym zablokowanym głosem się dzieje? Jak zadośćuczynić skrzywdzonym, ale też niesłusznie oskarżonym? Tym już internet się nie zajmuje.

A czy samo pojawienie się tego zjawiska nie było znakiem, że inne sposoby walki o społeczną tolerancję, inkluzywność wspólnoty były po prostu nieskuteczne?

W Polsce nie zdążyliśmy przerobić charakterystycznego dla późnych demokracji Zachodu etapu politycznej poprawności. Nigdy nie było u nas powszechnego zobowiązania do powściągliwości wypowiedzi i zachowań publicznych, które choć prawnie dozwolone, są społecznie nietolerowane, ponieważ naruszają godność

grup lub jednostek. Dyskurs internetowy rozwiązał ten problem w obrębie przestrzeni plemiennych – baniek czy „stref komfortu”. Ale rzeczywiste życie nie polega na izolacji i funkcjonowaniu w grupach podobnych, bliźniaczych jednostek, lecz na byciu razem ze swoimi odmiennościami. I za tym najbardziej tęsknię w czasie epidemii.

Siła wymazywania jest jednak potworna. I dosięga życia w realu.

To prawda. Dziś już mało kto będzie z przyjemnością lub w ogóle oglądał Billa Cosby'ego i jego sielski serial rodzinny, podobnie jak seriale i filmy z Kevinem Spacey. Sprawiedliwość internetu okazuje się często bardziej bezwzględna niż ta systemowa. Nie ma od niej odwołania, odkupienia win; jest niemiłosierna. Nie byłoby bez niej wprawdzie np. sprawy Harveya Weinstaina, co oznacza, że nawet najpotężniejsi i najbogatsi muszą się z głosem internetu liczyć chwilami bardziej niż z sądami powszechnymi. Ale przecież nie chcielibyśmy, aby opinia użytkowników portali zastąpiła sądy.

W liście z „Harper's Magazine” znajduje się fragment, który dobrze ilustruje to niebezpieczeństwo: „Ograniczanie debaty, czy to przez represyjny rząd, czy nietolerancyjne społeczeństwo, niechybnie uderza w tych, którzy nie dysponują władzą, i odbiera ludziom możliwość uczestniczenia w demokracji. Najlepszym sposobem na pokonanie złych idei jest prześwietlanie ich, argumentowanie, a nie uciszanie ich czy ignorowanie”.



BARTEK BARCZYK DLA „TP”

PROF. RYSZARD KOZIOŁEK jest rektorem Uniwersytetu Śląskiego, laureatem Nagrody Literackiej Gdynia za esej „Ciężka Sienkiewiczza”. Ostatnio opublikował „Wiele tytułów”, stale współpracuje z „Tygodnikiem Powszechnym”.

Jest jeszcze jeden element, który odkryła przed nami kultura unieważniania: obniżył się próg naszej wrażliwości. Wiemy więcej o uczuciach innych, większą mamy śmiałość mówić o własnych.

Więcej: staliśmy się moralnymi zakładnikami tej wiedzy. Nie możemy już twierdzić, że nie wiemy, co robią innym nasze wypowiedzi. Jednostki i grupy komunikują nam to i oczekują zmiany sposobu mówienia o nich i do nich. O ich płci, rasie, przekonaniach, moralności. Które roszczenia należy uwzględnić, kto ma o tym decydować, jak możliwe jest współistnienie przy rosnących różnicach? Jak żyć razem, kiedy wszyscy do-

magają się uznania dla swej odmienności? To jest nowa polityczność uświadomiona nam przez internet, który po raz pierwszy w dziejach świata dał publiczny głos każdemu.

Usuwanie i unieważnianie głosów, które nam nie pasują, to zaprzeczenie procesu powszechnej emancypacji. Zgoda na mówienie wszystkiego i w każdej postaci owocuje właśnie skłonnością do wykluczania głosów, które obrażają lub krzywdzą. Dlatego tak istotne wydaje mi się połączenie świata cyfrowego z realnym. Patrząc, jak internet umożliwia wgląd w skrywane tajemnice potężnych instytucji i wpływowych ludzi – #metoo, nadużycia seksualne w Kościele, przemoc i upokarzanie w środowiskach artystycznych – widzi się, że ten proces interwencji będzie postępował i prawdopodobnie obejmie wszystkie sfery życia publicznego. Ale to nie mogą być akty sprawiedliwości czy rewanzu za krzywdy, lecz interwencje sygnalistów.

Czyli jedyne możliwe?

Czasem tak. Ale jeśli taka interwencja nie zostanie przejęta i wprowadzona do rzeczywistej rozmowy, edukacji, polityki – pozostanie albo krótkotrwałą erupcją gniewu bez konsekwencji, albo krzywdą bez zadośćuczynienia i możliwości odkupienia. Czyli ostatecznie czymś, co z impulsu sprawiedliwości zmieni się w głęboką niesprawiedliwość. Albo wyładuje się w spazmie gniewu, po którym pozostaną tylko kac i melancholia.

© P Rozmawiał MARCIN ŻYŁA

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Piotr Sikora, Artur Spornik (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc,
Michał Okoński, Marek Rąbiń,
Mariusz Sepiolo, Krzysztof Story,
Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Marcin Żyła,
Wojciech Pięciak (kierownik),
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,
Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoredakcja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński,
Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka,
Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin,
Sylvia Frotow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska,
Maja Kuczyńska (kierownik), Mateusz Gawron,
Marta Filiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna
Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Jan Kłata, Andrzej Stasiuk,
Jacek Podsiadło, Dorota Masłowska, Zuzanna Radzik,
Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Hanna Krall

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz,
Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska,
s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska,
Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek,
Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík,
ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka,
Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz,
Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozłowska,
Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław
Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski,
Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja,
Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocur, Magdalena
Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech,
Olaf Osica, o. Wacław Osajca, Jacek Podsiadło,
Karolina Przewrocka-Adert, Jakub Puchalski,
Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak,
Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Stawek,
Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław
Stróżewski, Marcelina Szmer-Brysz

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes),
Maja Kuczyńska (wiceprezesa)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków,
ul. Wiślna 12, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

MAŁGORZATA

Kordowicz: *Synowie Eliszewy*



ÓSMY DZIEŃ INAUGURACJI PRZENOŚNEJ ŚWIĄTYNI. Dobiegł końca tydzień, w którym Mojżesz pełnił obowiązki arcykapłana: w montowanym każdego dnia na nowo Przybytku sam składał ofiary, ubierał w szaty liturgiczne oraz namaszczał brata i bratanków. Odtąd funkcje kapłańskie będą sprawować już oni, choć w niepełnym składzie, albowiem inauguracja nie odbywa się bez ofiar. Dwaj starsi synowie Aarona i Eliszewy, Nadab i Abihu, spalają kadzidło na ogniu, który nie pochodzi z ołtarza. Ginią na miejscu. Na czym polega ich przewina, jeśli nie na użyciu „obcego ognia”? W Kpł 10, 9 znajdujemy skierowane do kapłanów pouczenie, by nie zaglądali do kieliszka przed pełnieniem służby. Ten wers następuje bezpośrednio po opisie incydentu z Nadabem i Abihu, co komentatorzy uznają za nieprzypadkowe. Czyżby – wchodząc do Przybytku – mieli w czubie? Tę lukę w biblijnej narracji wypełnia cała feeria midraszy.

Większość zarzutów dotyczy kultu: Nadab i Abihu spełniają posługę, nie obmywszy wcześniej rąk i nóg lub w niepełnym rynsztunku (bez wierzchnich szat). Składają ofiarę, co do której nie zostali poinstruowani, bądź wchodzi do świętego świętych. Drugi trop to brak szacunku dla starszych: podejmują decyzje prawne w obecności swojego nauczyciela Mojżesza, ewentualnie zastanawiają się na głos albo w myślach: „Kiedy tych dwóch starców (Mojżesz i Aaron) dokona żywota, byśmy mogli dojść do władzy?”. Inny przykład młodzieńczej buty: nie mają żon, bo wychodzą z następującego założenia: „Nasz stryj (Mojżesz) jest królem, nasz wuj (Nachszon syn Aminadaba, brat ich matki) dowodzi szczepem, nasz ojciec jest arcykapłanem, my jego zastępcami. Czy są jakieś kobiety godne tego, by zostać naszymi żonami?”. I jeszcze: w ordynarny sposób syca swoje oczy widokiem Bożej wizji (Wj 24, 11).

A gdyby spojrzeć na ich śmierć z innej perspektywy? Z Kpł 16, 1 dowiadujemy się, że umierają, zbliżywszy się do Boga. Może podchodzą zbyt blisko? Ósmego dnia inauguracji Mojżesz mówi bratu, by zbliżył się do ołtarza (9, 7) i złożył cielca jako ofiarę przebłagalną za siebie samego. Według midraszu ołtarz jawi się Aaronowi jako złoty cielec – niechybna materializacja jego wyrzutów sumienia – i dlatego potrzebuje zachęty, by się zbliżyć. Jest też teoria biblijnego arcykomentatora: śmierć dwóch synów to kara za udział Aarona w powstaniu złotego bożka.

Nadab i Abihu „spłoneli”, a jednak pozostały po nich zwłoki. Czy umarli od Bożego pocałunku, jak to się przydarza doskonale sprawiedliwym? Był to wszak dzień ósmy, a ósemka symbolizuje transcendencję, przekroczenie praw natury. Z naszej ograniczonej perspektywy myślimy o śmierci niewinnych dzieci. W ósmym dniu Aaron milczy (10, 3). ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Kości i ciało Jezusa*



ŚMIERĆ JEZUSA, JAK KAŻDEGO CZŁOWIEKA, zawsze powoduje najdelikatniej mówiąc zamieszanie. Świadczą o tym niedające się uzgodnić opisy wydarzeń związanych z Jego aresztowaniem, procesem, sądem, egzekucją i zmartwychwstaniem. W obu wie przed „zgorzeniem maluczkich” wolimy o tym nie mówić, a nawet nie myśleć. Tymczasem te różnice też są dobrą nowiną, ostrzegają przed dosłownym, wtłoczonym w możliwości poznawcze naszych rozumów rozumieniem tych wydarzeń. Zmartwychwstanie nie jest przecież, jak chcą tego sprzedawcy kartek świątecznych, powrotem Jezusa do stanu sprzed śmierci, ale jak mówi Karl Rahner: „radikalnym przeobrażeniem całego człowieka”. Słowem: Jezus zmartwychwstał jest tym samym historycznym Jezusem, ale nie takim samym, gdyż niepodlegającym już prawom tego świata, prawom czasu i przestrzeni.

Gdy wieczorem owego pierwszego dnia tygodnia, za zamkniętymi drzwiami, apostołowie rozmawiali o potwornościach ostatnich kilkudziesięciu godzin, Jezus „stał pośród nich i powiedział: »Pokój wam!«. Zatrwożeni i przestraszeni sądzili, że widzą ducha. Lecz On im powiedział: »Czemu jesteście zmieszani i czemu wątpliwości budzą się w waszych sercach? Spójrzcie na moje ręce i nogi! To Ja jestem! Dotknijcie Mnie i przekonajcie się. Duch bowiem nie ma ciała ani kości, a widzicie, że Ja mam«. Gdy to powiedział, pokazał im ręce i nogi. Lecz gdy oni z radości jeszcze nie wierzyli i byli pełni zdumienia, zapytał ich: »Macie tu coś do jedzenia?«. Oni podali Mu kawałek pieczonej ryby. A On wziął i przy nich zjadł. Potem rzekł: »Oto moje słowa, które powiedziałem do was, gdy byłem jeszcze z wami: Musi wypełnić się wszystko, co jest napisane o Mnie w Prawie Mojżesza, u Proroków i w Psalmach«. Wtedy rozjaśnił im umysł, aby rozumieli Pisma”.

Jezus dotrzymuje słowa i nie przestaje pojawiać się pośród tych, którzy wzorem apostołów zaufali Mu i uwierzyli Jego słowu, Jego prawdzie. Żyje, bo to oznacza: zmartwychwstał. Nie stał się jednak duchem, nadal ma swoje „ciało i kości”. Co więcej, Paweł Apostoł mówi: „Wy jesteście Ciałem Chrystusa, a każdy z was jest Jego częścią”.

Pamiętając o Piotrze i Judzie Iskariocie, jak też o tych kilku osobach, które wytrwały przy Jezusie „aż do ostatka”, trzeba zapytać: po czym poznamy, że rzeczywiście znamy Jezusa, że On jest z nami? Odpowiedź daje Jan Apostoł: „Kto mówi, że Go zna, a nie przestrzega Jego przykazań, jest kłamcą i nie ma w nim prawdy. Kto natomiast zachowuje Jego słowa, w tym naprawdę miłość Boża jest doskonała – po tym rozpoznajemy, że jesteśmy w Nim. Kto mówi, że trwa w Nim, powinien tak żyć, jak On żył”. Nie odsyłajmy Jezusa do krainy duchów, On chce żyć z nami w realnym świecie. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:

Popatrz na nas!

Nie uznajemy tego,
co się nam zdarza,
za ciężkie, bolesne czy nie
do zniesienia.
Rozumiemy,
że wszystko to, co ludzkie,
zwycięża się cnotami,
które są w nas.

PRZYPISYWANE
ANTONIEMU WIELKIEMU



Z niewzruszonym umysłem
skażę klęskę
na gorycz porażki.

ŚANTIDEWA



FRAGMENT „DZIEJÓW Apostolskich”: „Gdy Piotr i Jan wchodzili do świątyni na modlitwę o godzinie dziewiątej, wnoszono właśnie pewnego człowieka, chromego od urodzenia (...), aby wchodzących do świątyni prosił o jałmużnę (...). Piotr powiedział: »Spójrz na nas! (...) Nie mam srebra ani złota, ale co mam, to ci daję: W imię Jezusa Chrystusa Nazarejczyka, chodź!«. I ująwszy go za prawą rękę, podniósł go” (Dz 3, 1-7).

Piotr i Jan – to obraz całej wspólnoty Kościoła. Piotr jest figurą kościelnego urzędu; Jan – „uczeń, którego Jezus kochał” – obrazem charyzmatu. Idą razem, gdyż ewangelizacja nigdy nie jest dziełem indywidualnym; podmiotem ewangelizacji jest zawsze cały Kościół. Wspólnota. Powie ktoś jednak: w całym opisanym wydarzeniu aktywny jest wyłącznie Piotr, Jan „nie robi nic”.

Tak się może wydawać. Zapewne jednak nie bez powodu – i nie z grzeczności jedynie wobec Jana – Piotr mówi do chromego: „Spójrz na nas” (a nie: „na mnie”). Dlaczego? Progiem ewangelizacji jest świadectwo – to refren nauczania ostatnich papieży: świadectwo jest – od strony odbiorcy – tym, co można „zobaczyć”; nie tym, co można „usłyszeć”. Przed „kazaniem” idzie „ukazanie”. Nasz tekst pokazuje, że nie chodzi jedynie o świadectwo dawane Ewangelią przez każdą i każdego z nas osobno; chodzi również (a może nawet przede wszystkim) o świadectwo da-

wane przez nas razem – świadectwo prawdziwej wspólnoty miłości. To ono dopiero sprawia, że Kościół Chrystusowy staje się w świecie obecny i – w konsekwencji – skuteczny.

Z wielkim zdecydowaniem pisze na ten temat ks. Franciszek Blachnicki: „Duch Święty obecny we wszystkich członkach Kościoła tworzy z niego niewidzialną jedność. Ta jedność musi się stać widzialna, musi się ukazać w znaku. I dopiero wtedy, kiedy ta niewidzialna jedność ukaże się w widzialnym znaku, Kościół stanie się sakramentem, znakiem widzialnym niewidzialnej rzeczywistości (...). Wtedy, kiedy grupa chrześcijan posiadających Ducha Świętego ukaże się światu jako zrealizowana jedność, braterska wspólnota, jako grupa ludzi, którzy się miłują, którzy wzajemnie sobie pomagają, służą (...). Kościół albo istnieje w zrealizowanej braterskiej wspólnocie, albo w ogóle jest w świecie nieobecny”.

Bez wspólnego świadectwa (albo lepiej: bez świadectwa wspólnoty) ewangelizacja nie ma prawa się wydarzyć. I to jest teza mocno skrutująca nasze polskie idee i działania pastoralne. Piotr – niby samodzielnie działający – potrzebuje Jana jeszcze dla innego powodu. Otóż, w tradycji egzegezy duchowej identyfikowano Jana również jako figurę zapowiadającą w Kościele życie zakonne – a więc ludzi modlitwy.

Podejmować „działania” ewangelizacyjne bez pewności towarzyszenia i wsparcia ludzi modlitwy – oznacza szerzyć „idee” i „poglądy”, w które samemu się... nie wierzy. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (18 – 25 IV)

3. niedziela wielkanocna: Dz 3, 13-15. 17-19;

Ps 4; 1 J 2, 1-5; Łk 24, 35-48;

Poniedziałek: Dz 6, 8-15; Ps 119;

J 6, 22-29;

Wtorek: Dz 7, 51 – 8, 1a; Ps 31; J 6, 30-35;

Środa: Dz 8, 1b-8; Ps 66; J 6, 35-40;

Czwartek: Dz 8, 26-40; Ps 66; J 6, 44-51;

Piątek, uroczystość św. Wojciecha:

Dz 1, 3-8; Ps 126; Flp 1, 20c-30; J 12, 24-26;

Sobota: Dz 9, 31-42; Ps 116B; J 6, 55. 60-69;

4. niedziela wielkanocna:

Dz 4, 8-12; Ps 118; 1 J 3, 1-2; J 10, 11-18.

Wybrał PIOTR SIKORA

PANDEMICZNE POLE WALKI

W drugi kwartał szczepień Unia Europejska wchodzi w atmosferze chaosu i niepewności. Ale czy rzeczywiście z kretesem przegrywamy szczepionkowy wyścig?

MAŁGORZATA SOLECKA

UNIA ZAWIODŁA PODCZAS NEGOCJOWANIA kontraktów na zakup szczepionek, a Polska za to płaci – przekonuje wyznawców prezes PiS Jarosław Kaczyński. Na spotkaniu z klubami „Gazety Polskiej” wicepremier mówił przed Wielkanocą: „Błędy, które popełniono przy zawieraniu umów, wołają o pomstę do nieba. Płacimy za to, bo przecież zaszczepionych mogło być dzisiaj w Polsce dużo więcej”.

Naprawdę? Dokonywane przez rząd Mateusza Morawieckiego zakupy pandemiczne – żeby przypomnieć tylko zakupy środków ochrony indywidualnej w Chinach, które przyleciały największym transportowym samolotem świata, i okazały się w dużej mierze bezużytecznym szmelcem, czy zakup respiratorów zleceny handlarzowi bronią (Ministerstwo Zdrowia walczy cały czas o odzyskanie pieniędzy) – każą opatrzyć to prezesowe „mogło być” potężnym znakiem zapytania. Mogłoby być albo nie.

Pożar w fabryce

Według danych portalu Our World in Data (6 kwietnia) w Polsce przynajmniej jedną dawkę szczepionki otrzymało 12,1 proc. mieszkańców. Średnia dla UE jest o cały punkt procentowy wyższa. Jesteśmy na ostatnim miejscu wśród dużych państw UE – wyprzedziły nas, i to wyraźnie, Niemcy (12,6 proc.). Francja z wynikiem 13,7 proc. z unijnego ma-

rudera stała się pod względem tempa szczepień jednym z liderów, zostawiając za sobą Włochy (13,2 proc.) i Hiszpanię (13,1 proc.). Najlepiej ze szczepieniami radzą sobie Malta (ponad 36 proc.) i Węgry, które jako jedyny kraj UE (na razie) dopuściły do użytku szczepionki rosyjską i chińską (łącznie te dwa preparaty podano niemal połowie zaszczepionych pierwszą dawką Węgrów).

13,1 proc. populacji UE zaszczepionej przynajmniej jedną dawką nie pozostawia złudzeń: Unia Europejska ma ze szczepieniami przeciw COVID-19 problem. Albo raczej – cały zestaw problemów. Na pewno w procesie negocjacji nie zadbano o wystarczające gwarancje ze strony producentów. Na pewno transparentność umów pozostawia wiele do życzenia. Na pewno UE zbyt długo zwlekała z decyzją o wspólnych zakupach. Ale sytuacja jest o wiele bardziej złożona, by perturbacje ze szczepieniami – te na szczeblu unijnym i te na szczeblu poszczególnych państw – tłumaczyć wyłącznie popełnionymi błędami. Bo szczepienia są wyzwaniem globalnym, proces szczepień jest zadaniem realizowanym przez poszczególne rządy, którego przebieg od Unii niemal nie zależy, a produkcja szczepionek ciągle jeszcze nie weszła na najwyższe obroty. To wszystko zaś łączy wspólny mianownik: szczepienia to nowe, pandemiczne pole walki, bynajmniej nie o szcze-



pionki. Stawką są wpływy i ustalenie nowego światowego ładu.

Na to, jak przebiegają szczepienia, nie tylko w Unii Europejskiej, ale globalnie, oddziałują więc incydenty, których w żaden sposób nie dało się przewidzieć – jak choćby pożar największej na świecie fabryki szczepionek w Indiach czy pomyłka przy produkcji szczepionek Johnson & Johnson, skutkująca koniecznością utylizacji kilkunastu milionów dawek. Oddziałują też takie zjawiska, które z całą pewnością były do przewidzenia, choć nikt nie potrafił zawczasu ocenić ich rozmiarów – jak kampania dezinformacji na temat szczepień i poszczególnych preparatów.

Tania Zenka

W pierwszej fazie procesu szczepień na celowniku znalazła się zwłaszcza szcze-



ADAM CHEŁSTOWSKI / FORUM

Szpital tymczasowy na Stadionie Narodowym w Warszawie, marzec 2021 r.

pionka oksfordzka (AstraZeneca). Po części z winy producenta, któremu – przede wszystkim w wymiarze komunikacji – można zarzucić naprawdę wiele. Ale trudno oprzeć się wrażeniu, że problemy zostały rozdmuchane do granic możliwości – i raczej trudno zakładać, że nie maczały w tym palców cyberspecsłużby, być może rosyjskie. Chiny bowiem ze swoimi szczepionkami wydają się trzymać z dala od rynku UE, zadowolając się przyczółkiem na Bałkanach (Serbia, europejski kontynentalny lider pod względem tempa szczepień, kupuje szczepionki także w Rosji i Chinach). Celem Chin, poza rynkami azjatyckimi, zdecydowanie jest bowiem Afryka. Zwłaszcza w tym kontekście inicjatywa prezydenta Andrzeja Dudy sprzed kilku tygodni, by zadzwonić do chińskiego przywódcy z pytaniem o możliwość zakupu szcze-

pionek, wprawiła w osłupienie nie tylko unijnych (w tym chyba też polskich) dyplomatów, ale, jak się wydaje, również Pekin.

Wracając do problemów AstrZeneki, na których korzystają inni producenci: szczepionka znalazła się pod pręgierzem opinii publicznej przede wszystkim ze względu na przypadki choroby zakrzepowo-zatorowej, a decyzje kolejnych państw – przy twardym i jednoznacznym stanowisku Europejskiej Agencji Leków (EMA), podkreślającym pozytywny profil preparatu, jego wysoką skuteczność w zapobieganiu ciężkiemu przebiegowi COVID-19 i niskie (choć nie zerowe) zagrożenie poważnymi skutkami ubocznymi – sprawiły, że tak w Polsce, jak też w innych krajach europejskich duża część obywateli szczepionką popularnie nad Wisłą zwaną „Astrą Zenką” szczepić się

nie chce. Jak na ironię, to AstraZeneca ma, na początku drugiego kwartału, ciągle największe problemy z dotrzymaniem terminowości i przede wszystkim wielkości dostaw. Połączenie tych dwóch elementów – stosunkowo niskiej chęci do szczepienia i ciągle szwankującej podaży, ma zabójczy efekt dla krajowych programów szczepień w tych krajach, które – przede wszystkim ze względu na cenę – postawiły głównie na zakup tego preparatu.

Cień Sputnika

Bo w świecie idealnym, gdy Unia Europejska decydowała o zakupie szczepionek, ich podział między kraje członkowskie odpowiadałby wyłącznie wielkości populacji. Nie żyjemy jednak w świecie idealnym: jesienią 2020 r. każdy z rządów określał, jakie preparaty i w jakich ilościach chce kupić. Jedynym ograniczeniem →

→ był maksymalny, przypadający na dany kraj, wolumen dawek (liczony proporcjonalnie do wielkości populacji). UE zamówiła wystarczająco dużo dawek każdego preparatu, by kraje członkowskie mogły zbudować swoje portfolio zamówień, a gdy pierwsza tura została zakończona, pozostałe „na stole” dawki mogły kupić już niemal z wolnej ręki pozostałe kraje.

Polska np. zrezygnowała w czasie tych pierwszych zakupów z dużej części dawek Moderny. Ale i tak rząd Mateusza Morawieckiego zachował się rozsądnie, mocno dywersyfikując zamówienie (i jeszcze wzmacniając tę dywersyfikację dodatkowym zamówieniem na szczepionki Pfizer/BioNTech); kilka krajów, przede wszystkim mniej zamożnych, postawiło w pierwszym rozdaniu na produkt firmy AstraZeneca. To dlatego w tej chwili, gdy do podziału pojawiło się 10 mln dodatkowych dawek Pfizera (miały dotrzeć w trzecim kwartale, będą dostępne w drugim), Bruksela zaproponowała program pożyczkowy, którego beneficjentami są Bułgaria, Chorwacja, Estonia, Łotwa i Słowacja – to one najbardziej cierpią z powodu zawirowań ze szczepionką Astrazeneki i otrzymają, w formie pożyczki, dodatkowe dawki szczepionki Pfizera. Polska również jest po stronie „pożyczkodawców” – 241 tysięcy dawek wróci do nas w trzecim kwartale. Nie wszystkim krajom była w smak ta operacja – na przełomie marca i kwietnia rząd Austrii groził Komisji Europejskiej zablokowaniem zakupu 100 mln dodatkowych dawek Pfizera, jeśli w wiosennej puli kraj nie dostanie większej liczby dawek – i to w sytuacji, gdy Austria nie ma większego problemu ani z tempem szczepień, ani z pandemią. Rząd w Wiedniu dąży też do zakupu rosyjskiej szczepionki – takiego kroku nie wykluczyły zresztą również Niemcy.

Tymczasem w Czechach i na Słowacji Sputnik V, analizowany cały czas przez EMA, już zdążył wywołać kryzysy polityczne: w Bratysławie doszło do dymisji premiera, po tym jak podjął decyzję o zakupie rosyjskiego preparatu, w Czechach prezydent odwołał czwartego już w czasie pandemii ministra zdrowia – bo opierał się zakupowi Sputnika. *Nota bene* słowacki Państwowy Instytut Leków po tygodniu badania dostarczonej 1 kwietnia szczepionki ogłosił, że preparat różni się w znaczący sposób od tego, który został wcześniej opisany w prestiżowym czasopiśmie „The Lan-

Decyzja o wspólnych zakupach szczepionek przez UE zapobiegła „szczepionkowemu nacjonalizmowi” w łonie samej Unii.

cet”. A ten artykuł był punktem wyjścia do podejmowania przez poszczególne kraje decyzji o ewentualnym zakupie rosyjskiej szczepionki.

Za Oceanem

W drugi kwartał szczepień Unia Europejska wchodzi nie tylko w atmosferze chaosu i niepewności, ale też w dużym poczuciu przegranej. Ale czy rzeczywiście z kretesem przegrywamy szczepionkowy wyścig? Gdy spojrzeć na liczbę zużytych dawek w przeliczeniu na stu mieszkańców poszczególnych kontynentów, nie ma wątpliwości, że hegemonem jest USA (31,7). Joe Biden obiecał Amerykanom sto milionów szczepień w ciągu stu pierwszych dni prezydentury, po czym zrealizował cel w nieco ponad 50 dni – i nie spoczął na laurach. Szczepienia stały się absolutnym politycznym priorytetem, a Biden nie zezwala na wywożenie – poza pewnymi wyjątkami – z kraju nawet tych szczepionek (AstraZeneca), których FDA jeszcze nie dopuściła do użytku.

Kanada – jeden z najlepszych pod względem jakości życia krajów świata, bogaty i ze świetnym systemem ochrony zdrowia – ma wskaźnik niemal dwa razy niższy (niecałe 18). Niższy... niż Europa (18), niższy niż Unia Europejska (18,5). Unia, dominująca na kontynencie europejskim, zajmuje wyraźne drugie miejsce w świecie, jeśli chodzi o poziom już wykorzystanych szczepionek. Jeśli uwzględnić, że USA SARS-CoV-2 powalił na kolana (największa liczba przypadków, największa liczba zgonów, drastyczny spadek średniej oczekiwanej długości życia), trudno się dziwić, że zaangażowana do kampanii szczepień armia traktuje szczepienia jak broń masowego rażenia, wycelowaną w śmiertelnego, choć niewidocznego wroga. Jeśli czegoś można Stanom Zjednoczonym zazdrościć, to tej profesjonalnej determinacji. Oraz uprzywilejowanego dostępu do szczepionek.

Skarżąc się na problemy z dostępnością, obywatele UE i ich liderzy ciężko grzeszą lub – trzymając się świeckiej retoryki – zachowują się nieprzyzwoicie. Gdy papież Franciszek nawoływał w orędziu wielkanocnym do przewyciężenia opóźnień w dystrybucji szczepionek, z pewnością nie miał na myśli problemów mieszkańców UE ze zmniejszonymi, nawet o kilkadziesiąt procent, czy opóźnionymi o tydzień lub dwa, dostawami dawek.

Nacjonalizm szczepionkowy

Ameryka Południowa – 10, ale z ogromnymi nierównościami między poszczególnymi krajami. Azja – 6,7. Afryka – 0,92. Gdzieś między Afryką a Azją – ze wskaźnikiem 3,35 – jest też Australia, choć to akurat efekt strategii i ogólnej sytuacji pandemicznej, odmiennej od reszty świata, ze względu na możliwość pełnej i skutecznej izolacji. „W duchu internationalizmu szczepionek wzywam całą wspólnotę międzynarodową do wspólnego zaangażowania, by przewyciężyć opóźnienia w ich dystrybucji oraz ułatwić dzielenie się nimi, zwłaszcza z krajami najuboższymi” – apelował Franciszek w Wielkanoc, mając przed oczami m.in. brazylijskie fawele, pustoszone przez kolejne uderzenia wirusa.

O tym samym – o konieczności zapewnienia równego dostępu – mówią zarówno polityczni przywódcy (np. Ursula von der Leyen: „Nikt z nas nie będzie bezpieczny, dopóki wszyscy nie będą bezpieczni”), jak i naukowcy. „Wczesne zamówienia szczepionek przez Stany Zjednoczone i zakupy przez inne kraje o wysokich zasobach opierały się na założeniu, że każdy kraj będzie ponosił wyłączną odpowiedzialność za swoją populację. Taki nacjonalizm szczepionkowy utrwała długą historię potężnych krajów zabezpieczających szczepionki i terapie kosztem krajów mniej zamożnych; jest krótkowzroczny, nieskuteczny i zabójczy. Tymczasem bogate kraje mają strategiczny interes we wspieraniu globalnych szczepień, zwłaszcza w krajach, które będą potrzebowały więcej wsparcia w celu zapewnienia dostaw. Nieskoordynowana mozaika odporności może zaostrić problem »ucieczki« nowych wariantów wirusa, które mogłyby zmniejszyć skuteczność szczepionek” – przestrzegali na początku kwietnia „New England Journal of Medicine”.

Nie ma żadnych wątpliwości, że decyzja o wspólnych zakupach szczepionek przez UE zapobiegła owemu „szczepionkowemu nacjonalizmowi” w łonie samej Wspólnoty. Dziś Unia, jako całość, szczepionkowy nacjonalizm zarzuca Wielkiej Brytanii, z goryczą obserwując tempo szczepień na Wyspach. W alternatywnej (na szczęście) rzeczywistości takie wzajemne pretensje żywiłyby kraje wschodniej i środkowej Unii wobec sytych krajów starej UE. Tylko Jarosław Kaczyński potrafi w jednej wypowiedzi lajać unijne struktury i twierdzić, że nikt nie narzuci nam – w domyśle krajom UE, w szczególności Polsce – rosyjskiej szczepionki.

Gdyby nie wspólne zakupy, jeszcze więcej krajów unijnych niż obecnie usilnie zabiegałoby na Kremlu o dostęp do Sputnika V.

Cel główny

Tak, Unii Europejskiej po trzech miesiącach szczepień nie udało się osiągnąć żadnego z dwóch postawionych celów: zaszczepienia 80 proc. osób powyżej 80. roku życia (ten cel do końca marca

osiągnęło tylko pięć krajów: Malta, Irlandia, Szwecja, Finlandia i Portugalia) ani zaszczepienia 80 proc. pracowników ochrony zdrowia przynajmniej jedną dawką (Estonia, Węgry, Rumunia, Hiszpania – ale dane nie są kompletne). Polska ze szczepieniami seniorów poradziła sobie kiepsko – niecałe 49 proc. (!). Danych o zaszczepieniu pracowników ochrony zdrowia nie przekazaliśmy. Może to i lepiej, biorąc pod uwagę, jak dynamicznie się zmieniały w czasie ich składowe (w lutym rząd informował o zaszczepieniu ponad 90 proc. lekarzy, po kilku tygodniach „okazało się”, że zaszczepiona nie była nawet połowa).

Najczęściej jako powód opóźnień w szczepieniach politycy wskazują opóźnienia w realizacji harmonogramów dostaw. Powodów jest jednak więcej. Po pierwsze, tylko nieliczne kraje wykorzystują na bieżąco wszystkie dostępne w danej chwili szczepionki. Liderem jest Litwa, która według raportu Politico z początku kwietnia praktycznie nie gromadzi zapasów. Zapasy nieprzekraczające 10 proc. otrzymanych dawek mają jeszcze Esto-

nia i Dania. Polska znajduje się w grupie kilku państw trzymających w odwodzie między 10 a 15 proc. dawek (już dawno zarzucono, na szczęście, początkowy pomysł mrożenia połowy dostaw w magazynach). Ale już np. Niemcy przetrzymują w chłodniach co piątą dostępną dla nich dawkę, a Holandia i Bułgaria – co trzecią.

Może więc rację mają ci, którzy twierdzą, że kraje UE – nie zapominając o wyciąganiu wniosków z przeszłości – powinny już nie skupiać się na popełnianych błędach i nieosiągniętych celach. A za to wybrać te do osiągnięcia. Na horyzoncie jest cel główny, o którym przewodnicząca Komisji Europejskiej również mówiła na początku roku: zaszczepienie „do lata” (powiedzmy: do końca wakacji) 70 proc. dorosłej populacji. To – jeśli tylko Europejczycy będą chcieli się szczepić – jest, przy rosnącej podaży (zawsze się może wydarzyć jakiś kataklizm, ale im więcej producentów na rynku, tym problemy jednego mają mniejsze znaczenie), realne. Nie bez wysiłku, ale realne.

© MAŁGORZATA SOLECKA



**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**Jeszcze będzie
przepięknie!**

Coś tu nam wyrośnie, coś się
nam wykluje!

Już w maju na łamach „Tygodnika”
weź, czytaj!



Blokada eksmisji z kamienicy w Łodzi przeprowadzona przez działaczy PPS, 2015 r.

Ostatnia przeszkoda do celu

PIOTR IKONOWICZ, DZIAŁACZ SPOŁECZNY:

Ludzie zadłużają się często nie z lenistwa albo niezaradności. Tylko dlatego, że bardzo, ale to bardzo chcą być klasą średnią.

RAFAŁ WOŚ: Od czego zacząć rozmowę o długu?

PIOTR IKONOWICZ: Od tego, czym dług faktycznie jest.

A czym jest?

W większości przypadków dług jest mechanizmem systemowej dyskryminacji osób mniej zamożnych.

Wielu czytelników uzna takie stawianie sprawy za niewłaściwe. Zadłużenie nie jest wynikiem braku odpowiedzialności lub niezaradności?

Dług jest powszechnie kojarzony z winą. Mówi się „jesteś mi winny”. I już tu zapada niesprawiedliwy wyrok. My w Kancelarii Sprawiedliwości Społecznej pomagamy dłużnikom od lat. Bardzo

rzadko spotykamy ludzi, którzy popadają w długi z powodu słabości charakteru – hazardu czy zakupoholizmu. Choć są i tacy. Ostatnio obsługujemy dużo upadłości konsumenckich.

Wyjaśnijmy tylko, że to procedura, która umożliwia umorzenie zobowiązań osoby fizycznej w wyniku „niezawinionej niewypłacalności”. Wprowadzono ją ponad dekadę temu, ale początkowo trudno było z niej skorzystać. Dopiero w 2019 r. zliberalizowano przesłanki pozwalające na skorzystanie z tego ratunku przed długiem.

Sama procedura jest prosta, choć żmudna. Jakiś czas temu pomogliśmy koledze wykaraskać się z długu frankowego właśnie tą drogą. A on tak się do tego za-

palil, że zaczął pomagać innym. Wśród tych kilkudziesięciu osób była kobieta, która wyludzała pieniądze z sektora bankowego, bo była uzależniona od hazardu. Sąd w Warszawie uznał jej upadłość. Jednak pod warunkiem, że przystąpi do terapii. Ja z kolei kiedyś poszedłem na negocjacje w sprawie długu i wyszedłem czyszony jak burak, bo wyszły na jaw fakty kompromitujące dłużnika, o których mi nie powiedział. Ale to są wyjątki. Oczywiście ci, co chcą się utwierdzić w przekonaniu, że dłużnicy to cwaniacy, na ich podstawie się w takim przekonaniu utwierdzą. Ale generalne doświadczenie jest inne. Dług w Polsce jest jednak wynikiem systemowych procesów.

Jakich?

Od początku XXI w. ok. 20 proc. gospodarstw domowych wydaje równowartość ok. 130 proc. swoich dochodów. Te gospodarstwa domowe – jako najbiedniejsze i pracujące na najgorszych warunkach – rzadko kiedy miały zdolność kredytową w normalnych bankach. Było więc tak, że pożyczali u lichwiarzy na przeżycie. Jechali – jak to się mówi – na chwilówkach. Najgorzej zaczęło być po roku 2011, gdy pod wpływem lobby pożyczkowego zliberalizowano przepisy zabraniające naliczania wysokich kosztów dodatkowych. To – w połączeniu z dostępnością lichwy przez internet – stworzyło eldorado. Jednocześnie zamrożono progi dochodowe

uprawnijące do otrzymania pomocy społecznej. Władze publiczne wepchnęły jedną piątą ludności w łapy lichwiarzy.

Coś się zmieniło.

I całe szczęście, bo jest przynajmniej trochę lepiej. Z jednej strony pojawiło się kilka regulacji utrudniających życie lichwiarzom. Z drugiej strony jest program 500 plus i wzrost płacy minimalnej, które poprawiły zamożność tych gospodarstw domowych, które były najłatwiejszym żerem dla chwilówek.

Wszystkie problemy zniknęły?

Największym nie są długi niespłacane. Przeciwnie: większą tragedią społeczną są długi, które dłużnicy próbują – choćby nie wiem co – regularnie obsługiwać. To jest taki sprywatyzowany dramat. Znany tym, u których co tydzień pojawia się poborca z firmy pożyczkowej i trzeba mu dać dwie stowy. Albo sto pięćdziesiąt. To się odbywa przy rodzinie, przy dzieciach, które wiedzą, że nie dostaną zabawki albo znowu nie będzie za co zrobić zakupów. Oczywiście poborcy można nie wpuścić. Ale wtedy cała klatka słyszy: „ty złodzieju, oddawaj dług”.

Gdzie jest początek tej nitki?

Każda historia jest inna, ale gdyby spojrzeć systemowo, to jej początek zaczyna się w tym samym miejscu.

Czyli?

Mieszkanie. Bo dług zaczyna się zazwyczaj od racjonalnej i dobrze przemyślanej kalkulacji. Mieszkać gdzieś trzeba. Ale wynajmować za tak wysoką cenę? To już przecież miesięczna rata kredytu jest – na ogół – niższa. Oczywiście mechanizm jest tak ustawiony, że w wielu przypadkach zdolność kredytowa jest dociskana kolaniem. Pracownik banku ma plan, który trzeba wykonać, tak samo jak ten windykatorka ma dług do ściągnięcia. Kredyt zostaje więc przyznany i jeżeli zaczyna stanowić 30, 40 albo 50 proc. realnego dochodu, to już jest problemem.

Zaglądam czasem pod teksty z informacją o stanie zadłużenia lokatorów wobec samorządów polskich miast. Przyjmuje się milczące założenie, że z lenistwa, nieróbstwa czy – w najlepszym razie – z życiowej niezaradności dłużników.

Bo ludzie nie wiedzą albo nie chcą wiedzieć, że w wielu przypadkach samorządy same mocno się przyczyniły do powstania tego zadłużenia. Zaczniemy od tego, że mieszkania komunalne są zazwyczaj starymi ruderami, w których ogrzewać się trzeba prądem. Jaka jest różnica w ogrzewaniu się elektrycznym i miejskim kaloryferem, tłumaczyć chyba nie muszę. Inny mechanizm: przez wiele lat osoby, które zalegały – np. w Warszawie – z czynszem komunalnym, musiały płacić 200-300 proc. karnego czynszu, bo naliczano odszkodowanie za nielegalne zajmowanie lokalu. W efekcie ten, kto nie miał złotych, musiał teraz raptem znaleźć dwa lub trzy złote. W tej chwili w Warszawie już nie ma tego przepisu i odszkodowanie nalicza się w kwocie dotychczasowego czynszu. Ale nikt nie ogłosił tu amnestii na odsetki i odsetki od odsetek. Obniżenie można uzyskać dopiero w indywidualnych sprawach sądowych.

Dominuje obawa, że jak się daruje jednemu dłużnikowi, to wszyscy powiedzą: „my też nie będziemy płacić”.

No właśnie. Jakoś można zrozumieć frankowiczów, którym urosła rata kredytu z tysiąca do dwóch i pół, ale jak wykazać się takim samym zrozumieniem wobec lokatorów warszawskich kamienic, którym podwyższano czynsz, bo miasto zbierało w ten sposób przez lata środki na odszkodowania reprivatyzacyjne? Ktoś traci pracę i wpada w spiralę długu – to można zrozumieć, bo może dotknąć także mnie. Ale jednocześnie wobec zobowiązań czynszowych odstawia się twardziela. Bo każdy by chciał „nie płacić”? Czyżby? A chciałbyś co miesiąc podejmować decyzje, z których każda jest zła? Bo to będzie decyzja w stylu: kupić buty, zapłacić za kolonie czy uregulować dług czynszowy?

Chwileczkę, ale złe decyzje, które wpędzają ludzi w długi, się przecież zdarzają?

Oczywiście. Zazwyczaj wynikają one jednak nie z lenistwa albo niezaradności. Tylko z czegoś, co bym nazwał „fałszywą świadomością klasową”. Polega to na tym, że ludzie bardzo, ale to bardzo chcą być klasą średnią. Taki przykład: młode małżeństwo, troje dzieci, w tym jedno chore. Ona wykupiła za 20 tys. francyzyję punktu pocztowego i płaciła najem plus ratę franczyzową. On robił remonty. Ona

wychodziła mniej więcej na zero. On zarabiał może ze 2 tys. na czysto. Ich problem polegał na tym, że uwierzyli, że są klasą średnią. Wykupili prywatne ubezpieczenie zdrowotne za 2 tys. Wzięli auta w leasingu z ratą 1170 zł. To się nie mogło dobrze skończyć. Na szczęście jeszcze nie było za późno. Zwrócili leasing. Załatwiłem im używaną skodę za 4 tys., żeby mieli czym wozić dzieci do szkoły, wyszli z tego drogiego ubezpieczenia. Wychodzą na prostą. Ale ten schemat często widzę właśnie w przypadku przedsiębiorców.

Przedsiębiorcy to inny typ dłużnika?

Tylko z pozoru. Bo dług jednak zrównuje. Pamiętam faceta, który jeździł samochodem za 750 tys. To auto służyło bardziej do robienia kosztów. Facet wykonywał prace dla sektora publicznego – głównie samorządów. Ale jakoś nie miał do tego drygu. Opowiadał mi, że wykonał pracę za 30 mln zł, których mu nigdy nie wypłacono. Nie wiem, czy to prawda. On sam miał oczywiście zobowiązania. Kiedyś zadzwonił, że nie ma za co zrobić zakupów, bo mu komornik zajął konto. Więc on jeździł autem wartym tyle co mieszkanie, ale nie miał na jedzenie. Znowu schemat fałszywej świadomości klasy średniej. Podczas gdy prawda jest taka, że zdecydowana większość polskich przedsiębiorców się do tego nie nadaje. Sprzedano mit o przedsiębiorczości – tak jak się sprzedaje kredyty. Ale to nie jest tylko wina ludzi. Tu znowu działa system. Jeśli w mieście albo na osiedlu samorząd wpuści nową Biedronkę, to przecież wiadomo, że przyniesie ona zagładę dwóm-trzem mniejszym sklepom. Podobnie teraz w internecie, gdzie przez parę lat przechowało się wiele Polek prowadzących sklepy internetowe. A teraz zmiata ich Amazon. Jeśli się w porę nie zorientują, to zaraz zasilą szeregi dłużników.

I co z nimi będzie?

→



PATRYCJA BUKALSKA
powie Grzegorzowi Chłabcie
o renesansie ogrodnictwa
w Wielkiej Brytanii (czytaj na s. 44) w środę
14 kwietnia o godzinie 7.30 w Polskim
Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać
w podkastach na stronie internetowej radia.
| Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
| Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
| Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie – www.rdc.pl

→ Najpierw będą małe długi. Ale ludziom się wmawia, że dług to wina albo słabość. Będą więc walczyć. Zaraz potem przyjdzie wstyd. Jedna pani – 2 tys. miesięcznego dochodu, 3 tys. raty długu – napisała mi kiedyś: „mąż wie, ale nie wszystko”. Ten wstyd nie pozwoli się naradzić, zadziałać solidarnie razem z najbliższymi. Będą rosy długi w ZUS-ie, urzędzie skarbowym, u dostawców, u lichwiarzy. Takich sytuacji znam setki. Na ich tle zdarzy się jedna czy dwie pozytywne. Ot taka – ludzie prowadzili bar w Piasecznie. Gdy tylko zaczął przynosić straty, zwinęli interes. Poszli do pracy i sobie radzą. Trzeba umieć odpuszczać. Zwłaszcza że w ostatnich latach zaczęła obowiązywać minimalna stawka godzinowa. Ale ilu nie potrafi przewalczyć tego wstydu?

Wielu nie umie się problemem długu przejąć. Wierzą, że ich to nie dotknie. Słusznie?

Niesłusznie. Przygniatająca większość ludzi, którzy do mnie przychodzą, zaczyna od słów: „nie jestem żadną patologią...”. Taka jest ich odpowiedź na dominujące przekonanie, że dług to kara za słabość i nieporadność. Opowiem historię. Było dwóch braci.

Zaczyna się jak biblijna przypowieść.

Jeden miał gdzie mieszkać, a drugi mieszkał u ojca. Ojciec zmarł i ten, co z nim mieszkał, odziedziczył mieszkanie. Ale bratu należał się tzw. zachówek. Ten, co przejął mieszkanie, nie miał z czego spłacić brata. Więc został zlicytowany. Sytuacja jest oczywiście kuriozalna, ale pokazuje pewien mechanizm. Polega on na tym, że wszyscy, którzy mają mieszkanie – albo nawet tylko



PIOTR IKONOWICZ jest działaczem społecznym. Lider Ruchu Sprawiedliwości Społecznej. Ostatnio kandydat opozycji na urząd Rzecznika Praw Obywatelskich.

użytkują – chodzą po kruchym lodzie. Dzieje się tak dlatego, że ich jakiegokolwiek zadłużenie może się skończyć licytacją. Dłużnik z mieszkaniem może łatwo zostać bez dachu nad głową. A nawet i z długami, bo mieszkanie na licytacji komorniczej potrafi pójść za ułamek sumy długu. Więc nie wystarczy na spłatę zobowiązania.

Dlaczego tak jest?

Dlatego, że po naszym wejściu do Unii mieszkania bardzo podrożały. To nie jest tak, że dłużnicy zaczęli w nich „bardziej mieszkać”. Chodzi o to, że ci, co mają mieszkanie, stali się nagle bardzo łakomymi kaskami dla całej tej maszyny, którą branża zadłużeniowo-pożyczkowo-windykacyjna obrosła. Założmy, że masz dług – być może taki, o którym już nawet zapomniałeś. Wierzyciel sprzedał go windykatorowi, a windykator poczekał parę lat, aż odpowiednio urośnie. Nie zająłeś się sprawą w porę, nie zgłosiłeś sprzeciwu, myślałeś, że się rozejdzie po kościach

– nieważne. Ładujesz wobec konieczności jednorazowej zapłaty kilkunastu albo kilkudziesięciu tysięcy złotych. Jeśli nie zapłacisz, to pojawia się ogłoszenie, że twoje mieszkanie będzie licytowane.

Straszne.

Inna historia. Tadeusz jest koło osiemdziesiątki. Miał chorą żonę. Z tego powodu pożyczył ok. 40 tys. Spłacał dzielnie, choć procent był bardzo wysoki. A był wysoki, bo Tadeusz miał niskie dochody. No i w międzyczasie się rozchorował. Przeszedł 2 albo 3 operacje. Gdy wrócił między żywych, dowiedział się, że ma 111 tys. długu i będą mu licytować mieszkanie. Pierwsze kroki skierowaliśmy do komornika. Spojrzeliśmy mu bardzo głęboko w oczy. To było trochę jak takie mierzenie się pięściami przed walką. Komornik powiedział, że zawyżył odsetki o 40 tys.

Jak to możliwe?

Tłumaczył, że omyłkowo stosował stare oprocentowanie. Pytałem potem komorników, czy taki błąd systemu jest możliwy? Mówili, że nie. Tak czy inaczej uzyskaliśmy skreślenie tych 40 tys. z zadłużenia.

Zostało jeszcze pewnie drugie tyle.

Zorganizowaliśmy zrzutkę internetową i udało się zebrać ok. 18 tys. Odbłyły się negocjacje z firmą windykacyjną, która skupiła wierzytelność Tadeusza. Takie firmy oczywiście mają swoje przeciwne argumenty. Zaczynają od odczłowieczenia dłużnika. Mówią, że nie dopełnił, nie wykazał się, a mógł przecież. Potem jest argument, że oni rozumieją, ale nie są instytucją charytatywną. Wtedy trzeba im odpowiedzieć, że przecież oni tę wierzytelność kupili za 5-10 proc. jej wartości. A i tak już zdążyli wyegzekwować bardzo znaczną kwotę.

I oni się godzą?

Z branżą zadłużeniową najlepiej grać przy pomocy ich metod. Na stół trzeba położyć żetony.

Żetony?

Nie siada się do gry bez żetonów, prawda? Takimi żetonami są tu realne pieniądze. Lichwiarze zawsze kładą pieniądze na stół. Często w gotówce. Wiedzą, że ludzie, którzy przychodzą po pożyczkę, nie biorą jej z nudów albo pod wpływem chwilowego impulsu. Zazwy-

Składamy wyrazy najgłębszego żalu i współczucia

mec. Danielowi Książkowi

z powodu śmierci

ukochanej Mamy

Jesteśmy z Tobą i Twoimi Najbliższymi w tych trudnych chwilach

PRZYJACIELE Z KANCELARII BARAN KSIĄŻEK BIGAJ

czaj stoi za tym ileś tam nieprzespanych nocy. Tworzy się mechanizm myślowy, w którym te pieniądze są ostatnią przeszkodą w dojściu do ważnego celu. Zdrowia, mieszkania, godności. Więc gdy widzą pieniądze na stole, w zasięgu, to tracą kontrolę. Podpisują bez zastanowienia.

I trzeba pokonać ich własną bronią?

Trzeba im powiedzieć: może i macie wiarygodność 60 tys. Tylko co z tego, skoro dłużnik może nie dożyć. Ale mamy dla was ofertę. Wtedy w sprawie Tadeusza miałem przy sobie kopertę z 18 tys. Zaproponowałem 9 tys. Albo biorą, albo do widzenia.

Wzięli?

Wzięli. Tadeusz dostał drugie 9 tys. Albo przypadek kobiety, która była winna czterem bankom mniej więcej tyle samo. Przy czym co miesiąc jeden dostawał stówę, a reszta czekała w kolejce. Napisałem do tych banków, że to nie jest *fair*, iż tamci dostają sto, a oni nic. I proponuję, żeby każdy dostawał po 25 zł. A było to poniżej kosztów egzekucji. Trzy banki porzuciły dochodzenie wiarygodności.

Co z rozwiązaniami systemowymi?

Regulacje oczywiście pomagają. Ale prawdziwą ulgą byłaby dopiero likwidacja potrzeby. Bo jak są zasiłki dobre, to po co masz się zadłużać na 100 proc. W liberalnym społeczeństwie trudno jednak do takiego rozwiązania doprowadzić. Tu rządzą zazwyczaj ci, których problem nie dotyczy. Do spółki z tymi, którzy na zadłużeniowej maszynie korzystają.

Co pozostaje?

Moim marzeniem jest duży budżet oddłużeniowy. Ktoś przychodzi i potrafi udokumentować, że z uzasadnionych przyczyn zalega z czynszem. Wtedy się mu pożycza – na minimalny, symboliczny procent. Inny mechanizm mógłby polegać na kupowaniu długu za 5 proc. wartości – tak jak to robią dziś firmy windykacyjne – a następnie wzywaniu dłużników i po cenie nabycia plus symboliczny jeden procent uwalniać od długu. Jak kiedyś niewolników. To by było piękne.

© Rozmawiał RAFAŁ WOŚ

Wszystkie imiona Margaret

ANNA PIWOWARSKA

– Tacy jak ja są tu ciągle wyjątkiem – mówi. – I o to nie mogę mieć pretensji. Pretensje mam wtedy, gdy ktoś odmawia mi polskości. Bo dla niektórych czarna Polka to cały czas dysonans.

NA POCZĄTKU WARSZTATÓW ROBI ćwiczanie. Prosi, żeby opowiedzieć o swoich imionach. O ich historii i odczuciach z nimi związanych. I żeby każda osoba sama wybrała, jak chce być nazywana.

– Mówię wtedy, że nazywam się Margaret Amaka Ohia-Nowak.

Historia jej imion zaczyna się w sierpniu 1983 r. we wrocławskim urzędzie. W dokumentach pojawia się zapis: „Margaret Uzoamaka Ohia. Córka Raphaela i Grażyny”.

Raphael Ohia, Nigeryjczyk, przyjeżdża do Wrocławia studiować medycynę. Wcześniej przez rok w Łodzi uczy się polskiego i jest najlepszy na roku. Polski przydaje się Raphaelowi także do komunikacji z Grażyną, którą poznaje na uczelni. Po dwóch latach biorą ślub.

Nie wiemy, czy moment rejestracji „Margaret” wzbudził poruszenie w urzędzie. Wiemy jednak, że nawet teraz, prawie cztery dekady później, reakcje urzędników na imię bywają zdumiewające.

Margaret opowiada mi o tym, łącząc się na Skypie ze swojego domu pod Lublinem. A dokładnie z garderoby, w której ma mały gabinet. Ekran wypełnia jej szczupła złocistobrązowa twarz o regularnych rysach, otoczona burzą brązowych loków sięgających do ramion. I kawałek bluzki w żywym odcieniu czerwieni.

Na początek anegdota. Idą z mężem zarejestrować samochód. Obsługująca ich urzędniczka zakłada z góry, że brązowy odcień skóry Margaret wskazuje na to, iż urodziła się w dalekim kraju. A to musi oznaczać, że nie zna polskiego. Dlatego też przez całą rozmowę zwraca się wyłącznie do męża. O stojącej tuż obok Margaret wspomina raz – w trzeciej osobie.

Ukryte założenia

To coś, z czym Margaret styka się od dziecka. Kiedy się nie odzywa, traktowana jest jako cudzoziemka. Gdy się odzywa, słyszy, że pięknie mówi po polsku. „Ukryte założenia” podpowiadają bowiem, że osoby o jej wyglądzie nie rodzą się i nie dorastają w Polsce.

Z danych GUS nie dowiemy się, ile osób czarnoskórych mieszka aktualnie w naszym kraju. Możemy natomiast poznać liczbę obywateli państw Afryki Subsaharyjskiej, którzy są tu na stałe lub czasowo – ponad 3 tysiące. W ostatniej dekadzie ich liczba wzrosła niemal trzykrotnie. Statystyki nie ujmują jednak osób urodzonych w Polsce lub posiadających polskie obywatelstwo. Te są po prostu Polakami. Niezależnie od koloru skóry.

Jako nastolatka myślała, że dostrzeżenie „ukrytych założeń” i wyobrażeń na swój temat jest przejawem jej osobistego przewrażliwienia. Tak sugerowali niektórzy znajomi. Przecież w Polsce nie ma rasizmu. Nikt jej nie bije na ulicy ani nie wyzywa – twierdzili.

Potem jednak – jako trenerka antydyskryminacyjna – zaczęła zajmować się założeniami, stereotypami i wyobrażeniami na temat osób o innym kolorze skóry, religii, orientacji seksualnej. Nauczyła się, jak identyfikować rasizm, który tkwi głęboko w naszych strukturach myślowych i językowych. I jak próbować się go „oduczać”. A także, jak rozmawiać o tym w sposób, który nie oskarża i nie powoduje reakcji obronnej.

Margaret mówi, że rasizm to nie indywidualna niechęć do osób czarnych, tylko zinstytucjonalizowany system dominacji, podparty władzą. – Ja też zostałam wychowana w tym systemie. Też nosiłam w sobie nieświadomione →



ŁUKASZ GIZA DLA „TP”

Margaret Amaka Ohia-Nowak. Wrocław, 8 kwietnia 2021 r.

→ uprzedzenia wobec osób czarnoskórych, bo się ich nauczyłam – dodaje.

W 2014 r. Margaret Ohia broni na wrocławskiej polonistyce pracę doktorską o przejawach rasizmu w polszczyźnie.

Wspomnienie Nigerii

Kilka miesięcy po zarejestrowaniu Margaret we wrocławskim urzędzie rodzice przenoszą się do Poznania. Kontynuują studia, pojawia się drugie dziecko. Rodzina stara się o paszporty i pozwolenia, by z PRL wylecieć do Nigerii.

– Moja mama wiedziała od początku, że ojciec po studiach chce wrócić do Nigerii i tam pracować jako lekarz. Nie wyobrażała też sobie, że miałyby z nim nie jechać – mówi Margaret.

Absolwenci medycyny zabierają ze sobą trzyletnią Margaret i półtorarocz-

nego Dawida. Plan zakłada staż, a potem pracę jako lekarze w Nigerii. Życie jednak pisze swój scenariusz. Tragiczny. Cztery dni po przyjeździe rodziny do Nigerii Raphael ginie w wypadku samochodowym.

Młoda wdowa z dwójką małych dzieci zostaje w kraju, którego nie zna. Rodzina zmarłego stara się ją wspierać. Pomaga młodszy brat Raphaela, Chris. Opiekuje się bratankami i pomaga oswoić nigeryjską codzienność: – W Nigerii więzy rodzinne są bardzo ważne. Do cioci mówi się mamo. Do wujka tato. A cała wioska traktowana jest jak rodzina.

Wspomnienie pierwszego roku w Lagos to wujek Chris, który tańczy i śpiewa w mieszkaniu z dwójką bratanków, a przed snem mówi im „*ka chi fò*”, „dobranoc” w języku ibo. To język jednej z grup

etnicznych zamieszkujących Nigerię. Grupy, do której i oni należą.

Po roku przeprowadzają się – już tylko we trójkę – do miasteczka Abeokuta. Grażyna zaczyna pracę w szpitalu misyjnym. Margaret i Dawid idą do szkoły. Wspomnienie szkoły to metalowe miski i zapach ryżu z fasolą po nigeryjsku, w gęstym sosie. – Wtedy nie bardzo to lubiałam. Najczęściej oddawałam moją porcję bratu – opowiada. – Ale teraz uwielbiam.

Wspomnienie nigeryjskiego domu odbite jest na kolorowej fotografii. Mała Margaret siedzi na masce samochodu. Burza rozjaśnionych od słońca włosów sprężynkę sięga jej do szyi. Jej młodszy brat Dawid ma włosy obcięte na krótko. Leży obok, na brzuchu, ściskając w jednej ręce coś do picia, w drugiej coś do jedzenia. Ubrani są podobnie: koszulka z krótkim rękawkiem i krótkie spodenki. W trawie obok samochodu porzucone różowe klapki. Złociste twarze patrzą w obiektyw. Ciekawie i w skupieniu.

Stojący przed domem datsun, na który wdrapało się rodzeństwo, to firmowy samochód Stanleya, właściwie Stanisława, inżyniera z Polski, który elektryfikuje okoliczne wsie. Jako partner Grażyny, teraz to on jest ich opiekunem w Nigerii. Czasem w weekendy, razem z grupą zaprzyjaźnionych inżynierów, lekarzy i ich rodzin, jeżdżą na plażę. Polskie dzieci spotykają się też podczas imprez organizowanych przez ambasadę.

Po trzech latach życia w Nigerii i przemianie ustrojowej w Polsce, Grażyna wraca z dziećmi do Wrocławia.

Gosia

„W Nigerii bardzo często byłam nazywana przez dzieci »*oyibo pepe*«, co oznacza »człowiek bez skóry«, czyli człowiek biały. Kiedy wróciliśmy do Polski, też poszłam do szkoły i w szkole zostałam nazwana »Murzynkiem Bambo« – to słowa Margaret z kwietnia 2016 r., z filmu dokumentalnego „Amaka”, dostępnego na YouTube.

Większość koleżanek ze szkoły mówi do niej „Gosia”. Tak była nazywana w domu od zawsze. Teraz to imię zaczyna funkcjonować także wśród rówieśników.

Siedmioletnia Gosia nie zna słownictwa nauk społecznych. Ale czuje, że dzieci, które nazywają ją Murzynkiem Bambo, nie robią tego po to, by pochwalić się przed klasą znajomością wierszyka Tuwima. Murzynek Bambo funkcjonuje

jako przezwisko, podobnie jak „okularnik”, „grubas” czy „rudzielec”. Odtąd będzie ją naznaczać jako kogoś innego, a przez to mniej fajnego. – To był czas, kiedy chciałam mieć biały kolor skóry. Chciałam wyglądać tak jak inni – wspomnia.

Dorośla Margaret, badaczka języka i kultury, przyzna w jednym z wywiadów: „Uwiera mnie »Murzynek Bambo«”. I wytłumaczy, że to słodki obrazek nafaszerowany stereotypami: czarnoskóry to ten gorszy, który nie chce się kąpać, jest brudny, niegrzeczny. Powie też, że wychowała się w tym dziecięcym wierszyku pobłażliwą wyższość białego, który próbuje ucywilizować „małego dzikusa”.

Codzienne sny nastoletniej Gosi wyglądają tak: biegną za nią skinheadzi, ona ucieka, ale zostaje zagoniona w kozi róg. Albo tak: siedzi w zamkniętym pomieszczeniu lub w budynku, z którego nie ma ucieczki, i wie, że zaraz po nią przyjdą. – Nikt mnie w szkole nie bił. Nie byłam nękana. To były takie ukłucia. Ugryzienia komara – opowiada. Dziś nazwalibyśmy to subtelną formą bullyingu. Ale wtedy musiało wystarczyć „dokuczanie”.

– Starałam się ignorować te zaczepki. Byłam najlepszą uczennicą w klasie. Miałam dużo koleżanek. To mnie ratowało – mówi. A po chwili zastanowienia dodaje: – Może starałam się udowodnić, że nie jestem tylko tym Murzynkiem Bambo.

Ratuje ją również taniec. Trenować zaczyna w podstawówce. Kończy dopiero na studiach. W sumie 14 lat. Jej codzienność to szkoła i nauka oraz treningi, turnieje, wyjazdy, warsztaty.

Kolor cielisty

Jako nastolatka Gosia często zastanawia się, jak by wyglądała, gdyby była biała. Odkrywa też, że odcień podkładu zwany „naturalnym” nie pasuje do jej twarzy. Tak samo jak żaden inny puder. Podobnie rzecz ma się z rajstopami w kolorze „cielistym”.

Bohaterki ulubionych książek Gosi z podstawówki i liceum – te, z którymi się utożsamia – są białe. A w zasadzie nie mają koloru skóry. Dzisiaj nazwałaby to tak: – Były przezroczyste. Ich białosc była trybem domyślnym. Była oczywista i nie podlegała dyskusji.

Nigeryjska pisarka Chimamanda Ngozi Adichie ma podobne doświadczenia. Dzieli się nimi w przemówieniu na

konferencji TED, zatytułowanym „Niebezpieczeństwo jednej historii”: „Zacząłam czytać wcześniej, brytyjskie i amerykańskie książki dla dzieci. Zacząłam też wcześniej pisać. (...) Pisałam takie historie, jakie czytałam. Bohaterowie byli biali i niebieskoocy, bawili się w śniegu, jedli jabłka. (...) Mimo tego, że mieszkalam w Nigerii i nigdy nie byłam poza jej granicami. Nie mieliśmy śniegu. Jedliśmy owoce mango i nigdy nie rozmawialiśmy o pogodzie, ponieważ nie było takiej potrzeby”.

Dorośla Margaret wykorzystuje ten film podczas warsztatów, bo przystępnie przybliża zagadnienia „ukrytych założeń” i stereotypowych wyobrażeń. A także dominacji „białych” przedstawień w kulturze. Przedstawień tak neutralnych, oczywistych i przezroczystych, jak rajstopy w kolorze cielistym.

– Moja czteroletnia córka też utożsamia się z postaciami z ulubionych bajek, też widzi siebie przez pryzmat Elzy i „Frozen” – dodaje. – Próbuję to zmieniać, ale nie jest to łatwe.

Margaret przypomina sobie półkę z podkładami, którą widziała niedawno w sklepie kosmetycznym. A na niej napis: „Najpopularniejsze odcienie dla Polek”. – Takie osoby jak ja są tu ciągle wyjątkiem. I ja o to nie mogę mieć pretensji. Pretensje mam wtedy, gdy ktoś odmawia mi polskości. Bo dla niektórych osób czarna Polka to cały czas jest pewien dysonans.

Amaka

Ma 22 lata, kiedy w jej życiu pojawia się nowe imię.

W Gdańsku poznaje dwóch kolegów ojca, Nigeryjczyków, którzy po studiach zostali w Polsce. Od nich dowiaduje się, że ojciec szybko nauczył się polskiego. Wcześniej znajomi mówią do niej czasem „Uzo” (od zapisanego w akcie urodzenia drugiego imienia: Uzoamaka).

Znajomy ojca, kiedy słyszy to imię, wykrzykuje: „Amaka”. I tak zostaje: – To imię bardzo dużo mi dało. Wzmocniło mnie. Uzasadniało to, co działo się w moim dzieciństwie i młodości. Uświadomiło mi, że jestem Gosią i kimś jeszcze.

Zaczyna interesować się Nigerią. Rozmawia o niej. Śni.

Odnawia kontakt z wujkiem Chrisem, który mieszka już w Anglii. Odwiedza go. Planuje też odwiedzić Nigerię. Chris odradza. To nie jest dobry czas, znowu jest niespokojnie.

Gosia: – Nie polecałam wtedy do Nigerii. Ale to było jak odzyskanie tego imienia.

Z odzyskiwaniem imienia łączy się odzyskiwanie czarnej tożsamości. – Wcześniej nie chciałam jej w sobie widzieć. Chciałam być bardzo polska. Wtapiać się w tłum. Choć to nigdy nie było możliwe.

Gdzieś po drodze Gosia odkrywa, jak bardzo doświadczenie bycia „inną” wpłynęło na jej życie. Zaczyna terapię. Sięga też do duchowości i pracy z ciałem. Zaczyna praktykować jogę. Zbliża się do środowiska organizacji kobiecych, które przeciwdziałają dyskryminacji. Na wrocławskiej polonistce pisze licencjat o rasizmie w języku.

Już nie pyta siebie, dlaczego nie jest biała. Zamiast tego zaczyna się zastanawiać, jak wykorzystać to, że nie jest.

Niemal jednocześnie w jej życiu pojawia się nauka (dostaje propozycję zostania na uczelni i pisania doktoratu) oraz praktyka (zaczyna prowadzić warsztaty i treningi antydyskryminacyjne).

Polskie spoiwo

W trakcie studiów doktoranckich sporo czasu spędza za granicą. Na ulicach Londynu czy Amsterdamu może w końcu wtopić się w tłum i pozostać niewidoczną. To ją odciąża.

Na zajęciach u holenderskiej badaczki Philomeny Essed pierwszy raz słyszy pytanie, jak sama chce być nazywana. W 2012 r. dostaje stypendium Fulbrighta, które pozwala jej spędzić rok akademicki na Uniwersytecie Kalifornijskim. Berkeley odwiedza jednak już wcześniej, korzystając ze wsparcia swojej uczelni i grantu Narodowego Centrum Nauki. Spędza tam ponad dwa lata.

Na kampusie, w międzynarodowym gronie, dyskutuje się o tożsamości, mikroagresjach, ukrytych założeniach, rasizmie systemowym i jego kolonialnych źródłach – w trakcie zajęć i po nich.

Poza kampusem jest amerykańska rzeczywistość. Z profilowaniem rasowym w sklepach i na lotniskach. I ze zdziwieniem, jakie budzi.

– Dopóki się nie odezwałam, byłam postrzegana jako Afroamerykanka. Ale mój akcent sugerował, że jestem z innego świata. Nie bardzo wiadomo jakiego. Mój wygląd zupełnie nie kojarzył się z Polską. Panowało raczej przekonanie, że nie ma tu takich osób jak ja. A z drugiej strony było też wyobrażenie, że w Polsce jest

→ taka dyskryminacja, że w ogóle nie moge wyjść z domu.

Właśnie w Stanach mocno czuje swoją polskość, związaną z językiem i kulturą, w której była zanurzona od podstaw: – Język jest mocnym spoiwem mojego przywiązania do Polski.

Słowa

Pawła poznaje na konferencji naukowej, tuż po powrocie ze Stanów. Po raz drugi widzą się podczas obrony jej doktoratu. Piętnaście lat starszy językoznawca, związany z uczelniami w Lublinie i w Warszawie. Po obronie zaczynają się spotykać. Rok później Margaret zachodzi w ciążę. Biorą ślub.

Decydują się osiedzić w Lublinie. Parę miesięcy po narodzinach córki, Wiktorii, kupują mały dom na dużej działce. Pod lasem. Kilka kilometrów od miasta.

W domu pod lasem Margaret zasiada przed ekranem komputera, by prowadzić szkolenia online, moderować debaty i uczestniczyć w seminariach. Ostatnio coraz częściej. Protesty wywołane śmiercią George’a Floyda, które z końcem zeszłego maja wybuchły w USA, zapoczątkowały debatę na temat rasizmu systemowego w mediach na całym świecie. A także ruch społeczny Black Lives Matter. Echa tej debaty rozbrzmiewają również w Polsce.

Na pierwszy plan wysunęła się dyskusja wokół słowa „Murzyn”. Wywołuje ją zdjęcie Blanki Nwolis, ciemnoskórą nastolatki, która trzyma w ręku transparent: „Stop Calling Me Murzyn”. Głosy są podzielone. Przeciwnicy tyranii politycznej poprawności bronią słowa zaciekle. Niektórzy argumentują, że nie ma ono dla nich negatywnego zabarwienia i nie używają go po to, by obrażać. Inni zwracają

uwagę na negatywny wydźwięk wyrażenia: „sto lat za Murzynami”, „być czymś murzyńskim”. Część dyskutantów twierdzi, że jeśli sami zainteresowani uznają słowo za obraźliwe, pozostaje przyjąć to do wiadomości. Kilka dni po publikacji zdjęcia głos zabierają czarne Polki. Umieszczają na YouTube filmik z hasztagiem #DontCallMeMurzyn, w którym podkreślają, że słowo to przypomina im sytuację, w których się bały, były wyzywane lub obrażane. Proszą, by ich tak nie nazywać. Filmik notuje ponad 50 tysięcy odsłon.

W dyskusji bierze udział również Margaret. Zaznacza jednak, że chciałaby, aby rozmowa na temat rasizmu w Polsce nie zaczynała się i nie kończyła na „słowie nam”. Ma nadzieję, że to początek głębszej zmiany.

Żonglowanie

Po ślubie Margaret przyjmuje nazwisko Pawła. Tak polskie, jak to tylko możliwe: Nowak. Dodaje je do swojego, nigeryjskiego. Teraz jej pełne imię i nazwisko, którym posługuje się w pracy naukowej i warsztatowej, brzmi: Margaret Amaka Ohia-Nowak.

– To trochę niefeministyczne, żeby przyjmować nazwisko męża. Ale dla mnie było to ważne, w sensie romantycznym i symbolicznym. Aby być wspólną, ale też pokazać na zewnątrz, że jesteśmy we wspólnocie. Być może dlatego, że tej wspólnoty zawsze mi brakowało.

Nazwisko Nowak daje jej nowe możliwości żonglowania tożsamością. A czasem ułatwia codzienność. Kiedy umawia się telefonicznie do kosmetyczki, może być po prostu Małgorzatą Nowak. Bez literowania, powtarzania. I bez znaczącej ciszy po drugiej stronie.

– Przez telefon nikt nie słyszy, jak wyglądam.

Wielość światów

Nie chce być nazywana „Murzynkiem Bambo”, „Murzyńskim”, „Murzynką”, „Czekoladką”, „Czarną Bestyjką”.

Chce być nazywana: „Gosią”.

To jej imię domowe. Tak mówią do niej mama i brat. Również wujek Chris. Tak mówią do niej koleżanki ze szkoły i przyjaciele z formacji tanecznej, którzy poznali ją, zanim stała się Amaką. Gosią jest również na zajęciach jogi, które prowadzi w Lublinie.

„Małgorzatą”. Przedstawia się tak, gdy Amaka i Margaret wydają się zbyt skomplikowane, zbyt trudne do zapamiętania, niemożliwe do zapisania na tablicy, a Gosią jest zbyt poufała.

„Amaką”. Imię dla bliskich, w którym czuje się wygodnie. Przedstawia się tak, gdy wie, że ktoś będzie chciał włożyć wysiłek, żeby je zapamiętać. To także imię grupy etnicznej Ibo, z której częściowo się wywodzi. Dlatego często używa go podczas swoich warsztatów. Tak zwracają się do niej znajomi, których poznała w „czasach Amaki”.

„Margaret”. Choć ta sprawa jest trochę skomplikowana. To imię z dowodu i podpisu w oficjalnym mailu. Imię do wpisywania w konsternację urzędników. To także imię kolonialne, brytyjskie. Importowane i brzmiące obco w polskim kontekście. Z tych wszystkich powodów przez długi czas było przez nią kontestowane.

Jeszcze do niedawna jako Margaret przedstawiała się wyłącznie w formalnych sytuacjach. W tych nieformalnych brzmiała dla niej sztucznie. Ostatnio jednak coś się zmieniło. Sama coraz częściej go używa. A przez to coraz więcej osób tak się do niej zwraca. Przyznaje, że nadal czuje się z nim dość poważnie. – Powoli do niego dorastam – mówi.

Margaret to imię po nigeryjskiej babci. Od kiedy została matką, częściej patrzy na nie w ten sposób. Babci nie zdążyła poznać. Zmarła, zanim ojciec wyjechał na studia. Ale to z jej powodu wybrał medycynę i znalazł się na stypendium w Polsce.

– W tym zamieszaniu z imionami odbija się chyba wielość moich różnych światów. Zaakceptowałam, że nigdy nie będę mieć tylko jednego imienia.

© ANNA PIWOWARSKA

W Sądzie Rejonowym dla Krakowa-Śródmieście w Krakowie I Wydział Cywilny toczy się postępowanie w sprawie I Ns 445/20/S z wniosku Krakowskiego Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami z siedzibą w Krakowie przy uczestnictwie Fundacji Międzynarodowy Ruch na rzecz Zwierząt Viva w Warszawie, Fundacji Centaurus – Międzynarodowej Organizacji na rzecz Zwierząt i Ekologii we Wrocławiu, Stowarzyszenia Ogólnopolskie Towarzystwo Ochrony Zwierząt OTOZ „Animals” z siedzibą w Bojanie oraz Zbigniewa Karola Burzyna o stwierdzenie nabycia spadku po Nelly Beacie Fortunie z domu Juźwiak, córce Jana i Stefanii, urodzonej 27 kwietnia 1936 r. we Lwowie, zmarłej 14 kwietnia 2020 r. w Krakowie, ostatnio zamieszkałej w Krakowie przy ulicy Pułkownika Francesco Nullo 15/55.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców zmarłej, aby w ciągu 3 miesięcy od zamieszczenia niniejszego ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

JACEK

Podsiadło: *Pan Samochodzik* i zagadka sekretu tajemnicy



POPEŁNIŁEM BŁĄD I POTEM NIE MIAŁEM alternatywy. Kiedyś nocowałem tu już nad samą Wisłą, z chłopakami, i źle mi nie było, i pamiętam tamto miejsce. Człowieka ciągnie jednak ku nowemu jak miś do miodu. I powiódł mnie na pokusze-

nie wąwóz odchodzący w górę po drugiej stronie szosy. Kiedy już się tam wspiałem i ujrzałem, ku swemu rozczarowaniu, liczne domostwa, należało zawrócić. Ale człowiek to taki traktor z dwiema przyczepami, że zawracać ani cofać się nie lubi. Stadko łań zobaczyłem na polach, podążyłem więc w tamtą stronę, choć musiałem przejść obok wieżyczki strażniczej obersturmbannpifpafa. Potem dał mi nadzieję pas zarośli i drzewek w połowie drogi do horyzontu, a potem zaczęło się robić ciemno i naprawdę za późno na szukanie innego miejsca. Zarośla okazały się nieprzeniknioną gęstwą, ale nie miałem już wyboru, a z samego brzegu, pod brzoza, było jednak to, czego potrzebowałem: kawałek w miarę równej ziemi pokrytej siwizną zeszłorocznej trawy. Lubię ten moment, kiedy ja sam albo coś za mnie podejmuje decyzję, że to będzie tu.

Jak mówią łabędzie: co będzie, to będzie. Nie myli się tylko ten saper, który nie wychodzi z bunkra. Już deptając kontrolnie teren wiedziałem, że parę gałązek brzozy trzeba będzie obłamać. Uczesana była na wierzbę i trzeba będzie pozabawić ją kilku za długich kosmyków, które w innym razie szurałyby o tropik. Nie lubię łamać drzewom gałęzi. Nie lubię też zrywać kwiatów ani deptać nietkniętego ludzkim płafusem śniegu. Ale jak trzeba, to trzeba.

Ludzie i zwierzęta to co innego. Ludzkich sumień bym nie łamał, głów kobietom bym nie golił i ośmiornicy nóg bym z tyłka nie wyrwał, nawet gdyby zachodziła taka potrzeba. Nawet gdyby to ojczyzna w tej potrzebie była. Zwierzęta mają układ nerwowy, dlatego czują ból, potrafią nawet wyc z bólu, całkiem jak ludzie. Drzewa nie mają układu nerwowego, toteż brzoza, kiedy łamać jej gałęzie, dyplomatycznie milczy.

Moje myślenie o tych sprawach zmieniła, a może po prostu „uruchomiła” Urszula Zajączkowska. Może trzeba było zamknąć w jednej osobie botanika z poetką, żebym wreszcie uważniej posłuchał. Bo kiedy pierwszy raz usłyszałem, jak

mówi, że rośliny odczuwają ból, od razu przypomniał mi się wszyscy troglodoci, którzy na wieść, że ktoś nie je mięsa, rechotają: „A marchewkę zżerasz, chociaż, rech-rech-rech, cierpi!” I ona jeszcze mówiła o „ciałach” roślin. Ale też zaraz przyszła refleksja szachisty, że zaraz... Ona poetka i ja poeta. Ale ona też naukowiec, z papierami, a ja szczyć się nieuciem. Kiedy zwracała uwagę na rozumne zachowania bezrozumnych roślin, na to, co sam dawno zauważyłem, że rośliny niekoryjne garną się do światła, a przed źródłem bólu uciekają w zwolnionym tempie, że ślad ostrza siekiery na pniu przypomina ranę i bliznowacieje, dotarło do mnie, że jest tu wiele zagadek, których nie rozwiążę, ale przed którymi warto się znowu zatrzymać. Choćby zagadka bólu.

W zasadzie nie mamy języka, żeby o tym mówić. „W zasadzie”, bo język poezji nie jest jeszcze całkiem martwy. Myślę, że kiedy dr Zajączkowska mówi, że rośliny czują ból, ma na myśli to, że prawdopodobnie go nie czują, ale go „mają”, że coś takiego jak ból roślin po prostu jest. Sama gdzieś powiedziała, że „czują inaczej niż my”, czyli że nie czują w naszym rozumieniu tego słowa. Życie to sen, ułuda, bo poznajemy świat zmysłami, czyli złudzeniami tworzonymi przez mózg na podstawie takich i owakich bodźców. Ból, który czujemy, to złudzenie konieczne dla ostrzeżenia, że nie służy nam przytulanie jeża czy wchodzenie w ogień. Złudzenie tak dojmujące, że świadomość, iż to „tylko” złudzenie, wcale go nie osłabia. Ale może świat jest napełniony bólem niczym, który nie jest odczuwany? Byłby to ów słynny, jak powiada poeta, ból istnienia?

W nocy trochę padało, potem na namiot kapło, lecz dobrze mi się spało. A kiedy wstałem rano, świat był już osuszony i rzuciła mi się w oczy ciemna plama na trawie tuż za progiem, którego namiot nie posiada. Ani chybi, jakiś zwierzączek raczył nasikać mi na wycieraczkę. I wtedy: kap, spadła tam kolejna kropla. Spojrzałem w górę i zobaczyłem krople na kikutach wszystkich gałązek, które obłamałem. Zadziwiająco obfite. Skojarzenie mogło być jedno, nie na darmo jestem poetą i nie na darmo nieukiem. Znam smak i wody brzozywej, i soku z brzozy, ale to nie było ani jedno, ani drugie. Krew brzozy nie ma koloru, zapachu ani smaku. Jest jak przekrecony i odwrócony cud, jak krew przemieniona w wodę. ©

TP

JUŻ W NASTĘPNYM WYDANIU

CONRAD FESTIVAL

MAGAZYN CONRAD 01

Przedstawimy w nim hasło i ideę przewodnią tegorocznej edycji Festiwalu Conrada, a także wybranych gości.

W tym roku współorganizowany przez Fundację Tygodnika Powszechnego, KBF oraz Miasto Kraków festiwal literacki odbędzie się w dniach 18-24 października, ale przygotowujemy dla Was również dodatkowe wydarzenia, które zainicjujemy w maju.

SZCZEGÓŁOWE INFORMACJE ZNAJDZIECIE W MAGAZYNIE CONRAD



NIEZALEŻNY

Hans Küng kochał Kościół. Bez wzajemności.

KS. ELIGIUSZ PIOTROWSKI

KIEDY POD KONIEC UBIEGŁEGO STULECIA zaproponowałem ks. Hansowi Küngowi przedstawienie polskim teologom głównych intuicji jego twórczych poszukiwań, serdecznie mi to odradził. „Obawiam się, że nie zostaną dobrze zrozumiane, a ksiądz sam narazi się na kościelne trudności” – odpisał, przesyłając swoją ostatnią książkę. Niewątpliwie w pierwszej kwestii miał wiele racji. W Polsce jego teologia pojawiała się wyłącznie w krzywym zwierciadle. Zmarł 6 kwietnia w Tybindze, przeżywszy 93 lata.

Kartoteka heretyka

Otrzymała numer 399/57/i. Święte Oficjum (późniejsza Kongregacja Nauki Wiary) założyło Küngowi kartotekę potencjalnego heretyka, gdy miał zaledwie 29 lat. Właśnie obronił doktorat „Usprawiedliwienie. Poglądy Karla Bartha i teologii katolickiej”. Dowodził w nim, że pomiędzy protestancką nauką o usprawiedliwieniu grzesznika a teologią katolicką panuje nie opozycja czy sprzeczność, ale „zasadnicza zgodność”. Było to przedsięwzięcie prorockie, miało bowiem wielki wpływ na przyszłe teologiczne zbliżenie protestantów i katolików. Wtedy jednak śmiałość tej pracy zaniepokoiła Watykan.

Hans Küng urodził się w szwajcarskim Sursee 19 marca 1928 r. W latach 1948-1955 studiował filozofię i teologię na rzymskiej „Gregorianie”. W roku 1954 został wyświęcony na prezbitera diecezji bazylijskiej i, już jako duchowny, w latach 1955-57 studiował w Paryżu na Sorbonie

i w Instytucie Katolickim, gdzie obronił pracę doktorską. Po powrocie z Paryża pełnił obowiązki wikarego w Lucernie, a w roku 1959 podjął pracę jako asystent prof. Hermanna Volka (późniejszego kardynała) na uniwersytecie w Monastyrze. Już w 1960 r. otrzymał powołanie na katedrę profesora teologii katolickiej uniwersytetu w Tybindze, gdzie pracował nieprzerwanie do przejścia na emeryturę (1996). Był niezwykle płodnym pisarzem, opublikował ponad 70 książek i przeszło tysiąc artykułów, nie licząc wystąpień radiowych i telewizyjnych.

Nieoficjalny rzecznik soboru

Kiedy Jan XXIII zapowiedział zwołanie Soboru Watykańskiego II, Küng napisał swego rodzaju programową książkę „Sobór i zjednoczenie” (1960), która wywarła wpływ na watykańskie obrady. Wyrażał w niej nadzieję, że zapowiedziane i oczekiwane wydarzenie pozwoli na pojednanie chrześcijan. W trwających od 1962 do 1965 r. obradach uczestniczył jako peritus, czyli powołany przez papieża biegły teolog. To wzmogło jego aktywność teologiczno-publicystyczną. Chętnie występował w mediach, nie tylko informując o toczących się obradach, ale i wyrażając zniecierpliwienie pomijaniem bądź też bagatelizowaniem niektórych zagadnień. Chcąc nie chcąc (choć raczej chcąc), stał się nieoficjalnym rzecznikiem prasowym soboru. Jego publicznie manifestowane zniecierpliwienie studiów w prywatnych z nim rozmowach sam Paweł VI.

Oceniając sobór, Hans Küng cieszył się z wytyczonych kierunków reformy i odnowy Kościoła. Ponad trzy lata intensywnych

prac biskupów i całego grona znakomych teologów przyniosło przecież wolność religijną i ducha tolerancji, dialog ekumeniczny i międzyreligijny, odnowę liturgii, powrót do Biblii, odrzucenie klerykalizmu i triumfalizmu. Pozytywny bilans soboru obciążały z kolei kompromisy, niedopowiedzenia i przemilczenia widoczne w dokumentach końcowych, a także trudności piętrzone przez kurię rzymską. Ta nie tylko utrudniała wcielanie reform w życie, ale też wspierała ruchy dążące do odbudowy i utrwalenia przedsoborowej wizji Kościoła.

Takim tendencjom miało przeciwdziałać założone w 1965 r. przez najbardziej twórczych teologów – m.in. Künga, Rahnera, Schillebeeckxa, Metzsa, de Lubaca i von Balthasara – międzynarodowe czasopismo teologiczne „Concilium”. W pierwszym numerze pojawił się nawet tekst Josepha Ratzingera, który jednak po kilku latach zrezygnował ze współpracy i w 1972 r. razem z de Lubacem i von Balthasarem założył konkurencyjne, nie-reformatorskie pismo „Communio”. Przy tej okazji warto przypomnieć, że to właśnie za sprawą Hansa Künga Joseph Ratzinger przeniósł się w roku 1966 z uniwersytetu w Monastyrze na uniwersytet w Tybindze. Jednak stosunek do wydarzeń roku 1968 tak bardzo poróżnił obu teologów, że już po trzech latach prof. Ratzinger opuścił Tybingę i rozpoczął pracę na uniwersytecie w Regensburgu.

Hans Küng zabierał głos w sprawach Kościoła i świata, wypowiadał się na temat dogmatyki i ekumenizmu, religiofilozofii, literatury i muzyki, poruszał kwestie

Hans Küng, Turyn, maj 2011 r.

→ społeczne, polityczne i ekonomiczne. Komentował kościelne dokumenty i najpoważniejsze dylematy współczesnego świata. Dzięki mediom jego poglądy pojawiały się w głównym nurcie kościelnej i społecznej debaty. Na jego formację duży wpływ wywarły poglądy niderlandzkiego teologa Edwarda Schillebeeckxa. Wspólnie wypracowali pielęgnowaną po soborze ideę „powrotu do źródeł”.

W pracy naukowej Küng kładł nacisk na ludzkie doświadczenie, a samą teologię rozumiał jako usystematyzowane świadectwo wiary. Według niego teologia musi pozbyć się nadprzyrodzonej nadbudowy, która ignoruje ludzki los i uniemożliwia dialog ze światem, bez którego sama traci swój sens i znaczenie. Jego chrystologia, wyłożona w książce „Być chrześcijaninem”, mówiła o Chrystusie bliskim człowiekowi i jego historii. Tego rodzaju „chrystologia oddolna” – jak ją nazywał – pozwalała na dialog z judaizmem we wspólnym poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie, kim był Jezus Chrystus. Sam Küng odpowiadał na nie, że Chrystus to Ukrzyżowany, i że jest On właściwą treścią wiary chrześcijan, a wszystko inne: Biblia, Kościół i Tradycja, są Mu podporządkowane i mają ku Niemu kierować.

Bezkompromisowy krytyk

Hans Küng był pobożnym księdzem, a jednocześnie bezkompromisowym (co czasem odczytywano jako zawziętość czy hardość) krytykiem papieża, hierarchii i Kościoła instytucjonalnego. Swoje poglądy prezentował w dobrze uzasadnionych publikacjach, które przynosiły mu uznanie i rozgłos, ale też przysparzały kłopotów ze strony Urzędu Nauczycielskiego Kościoła. Teczka o sygnaturze 399/57/i stawała się coraz grubsza. Kongregacja Nauki Wiary (KNW) wydała w jego sprawie dwa dokumenty. Zanim to nastąpiło, już w 1968 r. – rok po publikacji „Kościoła” – zaproszono Künga do rozmów, do których jednak nie doszło, gdyż bezpośredni dialog Rzym chciał zastąpić pisemnymi wyjaśnieniami autora, a tych się od niego nie doczekał.

Z kolei po ukazaniu się „Nieomylnego?” (1970) – książki wydanej w stulecie ogłoszenia dogmatu o nieomyślności papieża i dwa lata po encyklice „Humanae vitae” – rozpoczęto urzędowe postępowanie przeciwko teologowi z Tybingi.

Książki przynosiły mu uznanie i rozgłos,

ale też przysparzały kłopotów ze strony Magisterium. Teczka o sygnaturze 399/57/i stawała się coraz grubsza.

Także wówczas na otrzymaną z Watykanu listę pytań Hans Küng nie odpowiedział, deklarując jednocześnie gotowość do rozmów, prowadzonych z zachowaniem powszechnie uznanych standardów procesowych. Zamiast przystąpienia do takich rozmów KNW opublikowała w 1973 r. deklarację „Mysterium Ecclesiae”, w której, co prawda, nie pada nazwisko Künga, ale pojawiają się sformułowania wprost krytykujące jego poglądy. Mówi się tam o trwaniu prawdziwego Kościoła Chrystusowego w Kościele katolickim, o nieomyślności papieża, o normatywnym charakterze dogmatów tak dla wiary, jak i dla teologii, wreszcie o konieczności i niezastępowalności kapłaństwa hierarchicznego.

Swego rodzaju dopełnieniem „Mysterium Ecclesiae” była deklaracja KNW z 1975 r. na temat poglądów szwajcarskiego teologa, wskazująca wprost na kwestionowanie przezeń dogmatu o nieomyślności papieża, autentycznego Urzędu Nauczycielskiego oraz uznanie możliwości (w sytuacjach kryzysowych) sprawowania Eucharystii przez kogoś ochrzczonego, lecz nieposiadającego święceń. Rzeczą intrygującą jest fakt, że – pomimo tak fundamentalnych błędów zarzucanych profesorowi z Tybingi – watykański dokument nie zawiera ani wezwania do odwołania „heretyckich” poglądów, ani też nie grozi mu pozbawieniem misji kanonicznej. Za swoiste „usprawiedliwienie” Kongregacji można uznać skierowane do niej w 1974 r. pismo Hansa Künga, w którym nie wyklucza on „możliwości uzgodnienia swoich poglądów z nauczaniem autentycznego Urzędu Nauczycielskiego Kościoła”. Stąd też – jak sądzić – łagodna postawa KNW, która „z polecenia Ojca Świętego Pawła VI upomina go, by nie nauczał wy-

żej wymienionych poglądów”, i by wyklądał świętą teologię w duchu nauczania Kościoła.

Mogło się wydawać, a przynajmniej można było mieć nadzieję, że „sprawa Künga” stanie się częścią teologicznego dziedzictwa Kościoła, a debata o kwestiach kontrowersyjnych powróci na poziom akademickiej wymiany argumentów i cierpliwego przekonywania stron do słuszności swych racji. Tak się jednak nie stało, ponieważ do sprawy włączył się niemiecki episkopat, kierowany przez kard. Juliusa Döpfnera. Problem Künga uznano nie tylko za otwarty, ale wciąż grożący ostrym konfliktem z Urzędem Nauczycielskim Kościoła. Oliwy do ognia dołało opublikowanie przez Künga w 1974 r. książki „Być chrześcijaninem”, powtarzającej twierdzenia krytykowane przez Watykan. W związku z tym Konferencja Episkopatu Niemiec (DBK) ogłosiła w 1975 r. własną „pierwszą” Deklarację w sprawie profesora z Tybingi, zarzucając jego teologicznej metodzie niedopuszczalne zawężanie i wypaczanie prawd wiary, co miało przejawiać się nieortodoksyjnymi poglądami na temat chrystologii, trynitologii, teologii Kościoła i sakramentów czy historiozawcznej roli Maryi. Przedstawiciele niemieckiego episkopatu domagali się od Künga wprowadzenia koniecznych, ich zdaniem, poprawek i wyjaśnień, niemniej nic takiego nie nastąpiło.

W 1977 r. kard. Joseph Höffner, przewodniczący DBK, przesłał Küngowi szczegółowe pytania na temat pracy „Być chrześcijaninem”, które pozostały jednak bez odpowiedzi. Dlatego też w tym samym roku niemieccy biskupi uznali za konieczne ponowne zabranie głosu w sprawie publikacji, która doprowadziła – ich zdaniem – do „rozpaczliwej niepewności w wierze”. W ogłoszonej „drugiej” Deklaracji zarzucono Küngowi odejście od katolickiej wiary i katolickiego nauczania, dowolne wybieranie cytatów z Biblii, a w konsekwencji przedstawianie niepełnego obrazu Chrystusa i Jego dzieła.

Nie ulega wątpliwości, że zamieszczenie wokół poglądów Hansa Künga sprzyjało jego medialnej popularności, którą skrzętnie wykorzystywał. W zaistniałej sytuacji KNW uznała, że nie może dłużej czekać na przemianę tybingieńskiego teologa i swoim milczeniem firmować jego poglądów. W deklaracji wydanej

w 1979 r. Kongregacja uznała, że „odszedł [on] w swoich pismach od integralnej prawdy wiary katolickiej i dlatego nie może być już uważany za teologa katolickiego ani – jako taki – nie może pełnić misji nauczania”. Dokument KNW zaświadczyl Jan Paweł II, a biskup diecezji Rottenburg-Stuttgart Georg Moser zmuszony został do odebrania Hansowi Küngowi misji kanonicznej, co też uczynił 18 grudnia 1979 r.

Warto nadmienić, że bp Moser robił wszystko, by uchronić „swojego” profesora od sankcji dyscyplinarnych, prowadząc – jak sam przyznał – „wyczerpujący dialog” tak z Rzymem, jak i z samym Küngiem. Przez cztery miesiące, od grudnia 1979 do kwietnia 1980 r., eksprofesor teologii katolickiej walczył o swoją przyszłość na wszelkich możliwych frontach: teologicznym, kościelno- i państwowo-prawnym, politycznym oraz uniwersyteckim. W końcu uniwersytet w Tybindze, chcąc umożliwić mu dalszą działalność naukową, wyłączył prowadzony przez niego Instytut Ekumeniczny z wydziału teologicznego, czyniąc zeń jednostkę podległą bezpośrednio władzom uczelni. Pierwszą z inicjatyw nowo usytuowanej instytucji było zorganizowanie cyklu wykładów otwartych o wielkich postaciach światowej literatury. Cieszyły się one ogromną popularnością i z powodu niebываłego zainteresowania były transmitowane przez radio.

Od ekumenizmu do etosu świata

Czas studiów nad teologią Bartha (co owocowało ich wieloletnią przyjaźnią) uczynił Künga gorącym zwolennikiem ekumenicznego pojednania. Odrzucił konfesyjne szufladkowanie teologów i teologii, uważając taką postawę za szkodliwą dla całego Kościoła. Opowiadał się zatem za uprawianiem teologii chrześcijańskiej, a fundamentalne negowanie przez katolicyzm tradycji protestanckiej uważał za nieuprawnione i ze wszech miar niepożądane. Sam od protestanckich teologów swej macierzystej uczelni uczył się metody historyczno-krytycznej, z której osiągnąć obficie korzystał. Ekumeniczne nadzieje, rozbudzone przez sobór, były na tyle mocne, że już w czasie jego trwania, w 1963 r., Küng założył wspomniany Instytut Ekumeniczny, który w swoich pracach sięgał nie tylko do rozproszonych tradycji Kościołów

Krytykował Pawła VI,
Jana Pawła II
i Benedykta XVI,
którzy – jak twierdził
– **prawdziwy dialog
ekumeniczny zastąpili
okolicznościowymi
wystąpieniami.**

chrześcijańskich, ale także po dorobek judaizmu i islamu. Szwajcar opowiadał się również za zmianą paradygmatu w teologii i podjęciem badań w duchu ekumenizmu, w samym środku współczesności. Za swój osobisty ekumeniczny sukces uznał przyjęcie w 1999 r. katolicko-protestanckiej wspólnej deklaracji w sprawie nauki o usprawiedliwieniu. Smutną i niezrozumiałą okolicznością było pominiecie Künga w oficjalnych zaproszeniach na uroczyste ratyfikowanie tego dokumentu w Augsburgu.

Z biegiem lat Küng coraz bardziej krytykował hierarchów (nie tylko katolickich), którzy lekceważyli wypracowane uzgodnienia ekumeniczne. Swoje zarzuty kierował także w stronę papieży: Pawła VI, Jana Pawła II i Benedykta XVI, którzy – jak twierdził – prawdziwy dialog ekumeniczny zastąpili mało znaczącymi gestami i okolicznościowymi wystąpieniami.

Być może rozczarowanie brakiem postępów w przywracaniu jedności Kościoła skierowało Künga ku wielkim religiom świata, zwłaszcza judaizmowi, islamowi i hinduizmowi. Jego zdaniem porzucenie przez chrześcijaństwo żydowskich korzeni i zbyt mocne poddanie go wpływom helleńskim utrudniało dialog z islamem i wielkimi tradycjami Azji czy Afryki. Szeroki wachlarz problemów międzyreligijnych doprowadził teologa z Tybingi do stworzenia projektu „Etosu świata”, którego główną ideą było przekonanie o fundamentalnym znaczeniu pokoju między religiami dla pokoju na świecie.

Do swojego pomysłu przekonał wielu ważnych decydentów. W 1990 r. opublikował książkę „Projekt światowego etosu”, w której szczegółowo przedstawił swoje idee, natomiast w 1993 r. przy-

gotował przyjętą przez Parlament Religii Świata w Chicago „Deklarację globalnego etosu”. Konsekwencją podjętych przezeń aktywności było założenie w 1995 r. w Tybindze Fundacji Globalny Etos, którą kierował do roku 2013, zapraszając na gościnne wykłady mężów stanu z całego świata. On sam na ten temat mówił na plenarnym zgromadzeniu ONZ w 2001 r.

Bogactwo i kontrowersje

Ogrom tematów, o których pisał i na które wypowiadał się szwajcarski teolog, świadczył o jego niewątpliwym geniuszu i przysparzał mu – z jednej strony – wielu zwolenników, z drugiej zaś powodował ostrą krytykę. W twórczości Hansa Künga właściwie każdy może – jeśli tylko zechce – znaleźć „kamień”, którym weń rzuci, albo też potwierdzenie własnych intuicji czy wskazówek na drodze poszukiwania prawdy. On sam nie uciekał od teologii dotyczącej ludzkiej egzystencji. Stąd też brały się jego wypowiedzi na temat aborcji i eutanazji, poszukujące rozwiązań w dialogu, a nie ekskomunikujących kogokolwiek rozstrzygnięć. Każda religia, także chrześcijaństwo – mówił – powinna być wolna od ideologizacji, która prowadzi do niebezpiecznego fundamentalizmu.

Mimo ogromnego szacunku dla innych religii, prof. Küng traktował chrześcijaństwo jako najpełniejsze ucieleśnienie radykalnego humanizmu. Do końca życia czuł się wiernym synem Kościoła, a swego rodzaju potwierdzeniem tego było czterogodzinne spotkanie z Benedyktem XVI, niegdysiejszym kolegą z uniwersytetu. Doszło do niego w Castel Gandolfo 24 września 2005 r. Jak głosił oficjalny komunikat, nie poruszano żadnych kwestii spornych, była to jednak rozmowa bez świadków. Kolejne spotkania już nie nastąpiły, a sytuacja prawno-kanoniczna emerytowanego profesora z Tybingi nie uległa zmianie, choć czasami posyłał on „koledze papieżowi” swoje książki, nie szczędząc mu przy tym słów gorzkiej krytyki. Natomiast nawiązana przezeń relacja z papieżem Franciszkiem wyrażała się w korespondencyjnej – i pełnej życzliwości – wymianie poglądów.

Hans Küng pozostawił po sobie wielkie dziedzictwo. Jest ono już dzisiaj trwałym dobrem nie tylko katolickiej teologii, ale i wszystkich ludzi dobrej woli.

© KS. ELIGIUSZ PIOTROWSKI

Ekspertka od kłamstwa

ANNA GOLUS

W komisji, mającej wydać werdykt w sprawie przyzwolenia na zło, zasiada osoba, która notorycznie dopuszczała się plagiatów.

POD KONIEC MARCA DOMINIKANIE POWOŁALI komisję, której celem jest „opisanie działania br. Pawła M., reakcji i zaniedbań władz Prowincji oraz mechanizmów, jakie w tej sprawie zadziałały. W podsumowaniu Komisja sformułuje sugestie i zalecenia, które pomogą uniknąć podobnego zła w przyszłości”. Przewodniczącym został katolicki publicysta, doktor filozofii Tomasz Terlikowski, który sam wybrał pozostałych członków. I choć Paweł M. krzywdził przede wszystkim kobiety, w ośmioosobowej komisji znalazło się miejsce dla zaledwie dwóch kobiet.

Jedną z nich jest Wioletta Konopa-Stelmach, psycholożka, psychoterapeutka i żona innego członka komisji. Druga to Sabina Zalewska, na stronie dominikanów przedstawiona jako „pedagog i psycholog rodziny”, choć psychologiem nie jest. Sama Zalewska na swojej stronie internetowej pisze, że pracuje jako adiunkt w Katedrze Etyki w Instytucie Filozofii UKSW, co również nie jest prawdą. Kim więc jest jedna z dwóch kobiet mających doradzać dominikanom, jak unikać przemocy, manipulacji i przyzwolenia na zło?

Kopiuje – wkleja

Przypomnijmy: Sabina Zalewska to doktor pedagogiki i magister nauk o rodzinie (a nie psychologii), która w 2018 r. kandydowała na urząd Rzecznika Praw Dziecka. Zgłosili ją posłowie PiS, więc jej zwycięstwo – mimo znakomych kontrkandydatów: profesor pedagogiki Ewy Jarosz oraz pediatry i psychiatry Pawła Kukiza-Szczucińskiego – wydawało się oczywiste. Wycofała jednak swoją kandydaturę po tym, jak „Tygodnik Powszechny” wykazał, że „tworzyła” artykuły naukowe, kopiując z internetu fragmenty innych tekstów.

Na jej stronie internetowej (www.sabinazalewska.pl) widniał wówczas spis 50 artykułów. Wraz z korektorem „TP” Grzegorzem Bogdalem, który plagiat

odkrył, przeanalizowaliśmy pięć z nich i udowodniliśmy, że to skonstruowane na zasadzie „kopiuje – wkleja” kompilacje wielu opublikowanych w internecie tekstów – i to nie tylko naukowych, ale również pochodzących z serwisów Ściąga.pl czy Bryk.pl. Zalewska pracowała wówczas – od 2003 r. – w Zakładzie Etyki w Instytucie Filozofii UKSW. Jej umowa wygasła w 2018 r. (zapewne w związku z brakiem habilitacji), ale na jej stronie internetowej do dziś widnieje informacja, że pracuje tam jako adiunkt, choć zniknął cały obszerny wykaz artykułów.

W tym samym roku opublikowała kolejny plagiat, poświęcony – co znamienne – kłamstwu. Tekst „Kłamstwo w małżeństwie i rodzinie” ukazał się w dofinansowanym przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego kwartalniku „Cywilizacja”, w numerze pt. „Kłamstwo a destrukcja osoby i wspólnoty” (nr 64/2018).

Artykuł rozpoczyna się od informacji, że kłamstwo „jest niebezpieczne zarówno dla okłamywanego, jak i dla samego kłamiącego. Kłamstwo, zaistniałe pomiędzy dwojgiem (okłamywanym i kłamiącym), staje się zagrożeniem dla całego społeczeństwa, ponieważ zawsze angażuje w rzeczywistość moralną i jest związane z dobrem lub złem moralnym. Każde kłamstwo indywidualne ma swe skutki w całym społeczeństwie”. Od identycznych słów zaczyna się artykuł Marty Filipowicz pt. „Kłamstwo jako zagrożenie współczesnego społeczeństwa”, opublikowany w czasopiśmie „Interdyscyplinarne Studia Społeczne” (nr 1/2016) i dostępny w internecie. Pod koniec obu artykułów można natomiast przeczytać, że „kłamstwo, które jest zagrożeniem zarówno indywidualnym, jak i społecznym, może zostać ograniczone i zniwelowane przez moc prawdy (ukazując jej znaczenie i wartości zwłaszcza w życiu społecznym) oraz poprzez kształ-

towanie postawy prawdomówności, która buduje zaufanie”.

Amoralna wyrazistość efektów

Konstruując – bo trudno powiedzieć: „pisząc” – swój artykuł o kłamstwie, Sabina Zalewska korzystała (tj. kopiowała bez cudzysłowów ani przypisów) z kilku artykułów opublikowanych w takich serwisach internetowych jak m.in. Polki.pl czy eDarling.pl. Ponieważ jednak autorzy kopiowanych przez Zalewską tekstów pisali o kłamstwie w związkach, a jej artykuł miał dotyczyć kłamstw w małżeństwie i rodzinie, pani doktor, która na UKSW prowadziła zajęcia z dydaktyki etyki, musiała niekiedy wprowadzać do skradzionych fragmentów pewne autorskie zmiany.

Na przykład dodała słowa „dziecka czy rodzica” do skopiowanego z serwisu eDarling.pl fragmentu tekstu pt. „Kłamstwo w związku – jakie są jego skutki?”. „Szkodliwość okłamywania partnera, dziecka czy rodzica polega przede wszystkim na ograniczeniu, a w końcu utracie zaufania. Według badań psychologicznych osoba, która kłamie, zaczyna paradoksalnie z nieufnością traktować okłamywanego, gdyż podświadomie podejrzewa, że on zachowuje się w ten sam sposób”. Do innego skopiowanego z tego artykułu fragmentu dodała „i rodzinie”: „Kolejnym zagrożeniem, jakie niesie ze sobą kłamstwo w związku i rodzinie, jest utrata szacunku wobec okłamywanej osoby. Uświadamiając sobie, z jaką łatwością przychodzi nam oszukiwanie innych, rozbudzamy w sobie poczucie władzy, które nakazuje nam traktować drugą osobę z wyższością lub nawet pogardą”. Te same słowa dodała do zdania: „Gdy ludzie dopuszczają się manipulacji słownej, powinni pamiętać o najważniejszym: kłamstwo w związku i rodzinie ma »krótkie nogi«”.

Niekiedy Zalewska starała się nieco przeredagować skopiowane teksty – np. fragmenty opublikowanego w serwisie abcZdrowie.pl artykułu Kamili Drozd pt. „Kłamstwo – rodzaje, powody, motyw”. W tekście Drozd czytamy: „Kłamstwa destrukcyjne służą zadaniu bólu i wyrządzeniu krzywdy innym. Są podyktowane zemstą, mściwością, zazdrością. Wynikają z impulsu i chęci rozładowania nieprzyjemnego napięcia psychicznego. Kłamstwo destrukcyjne wyodrębniono ze względu na amoralną wyrazistość efektów”. Z artykułu Zalewskiej nato-

miast dowiadujemy się, że kłamstwa destrukcyjne „służą osobie do zadania bólu i wyrządzenia krzywdy innym, są podyktowane zemstą, mściwością, zazdrością, wynikają z impulsu i chęci rozładowania nieprzyjemnego napięcia psychicznego. Postępowanie takie ma amoralną wyrazistość efektów”.

Niestety ani autorka, ani plagiatorka nie wyjaśniają, czym jest „amoralna wyrazistość efektów”. Wyjaśnia to – pisząc jednak o „moralnej”, nie „amoralnej” wyrazistości efektów kłamstwa destrukcyjnego – Tomasz Witkowski w książce pt. „Psychologia kłamstwa. Motywy – strategie – narzędzia”. Drozd korzystała m.in. z tej pozycji, pisząc swój artykuł (o czym poinformowała czytelników, podając wykaz źródeł). Do jej tekstu wkraść się bezsensowny błąd, który Zalewska skopiowała wraz z wieloma innymi charakterystycznymi sformułowaniami.

Prawda nie wyzwala

Nasze ustalenia dotyczące plagiatów kandydatki PiS na RPD zostały zignorowane przez media prawicowe, przychylnie par-

tii rządzącej – przez cały ten czas Zalewska pojawiała się w nich w charakterze ekspertki. Jednym z dziennikarzy, który nadal uważa ją za eksperta, jest właśnie Tomasz Terlikowski. Zalewska zaś chętnie swe eksperckie wypowiedzi w mediach zamieszcza na swojej stronie internetowej – są tam m.in. linki do wielu odcinków programu Terlikowskiego „Starcie cywilizacji” w TV Republika, w których brała udział. Przewodniczący dominikańskiej komisji przeprowadził z nią nawet wywiad do swojej książki pt. „Tylko prawda nas wyzwoli. Przyszłość Kościoła katolickiego w Polsce” (2020).

W zeszłym tygodniu, zapytany przez „Tygodnik”, dlaczego powołał ją do komisji, mimo dowiedzionych jej plagiatów, mówił, że „pani dr Sabina Zalewska odwołała się do komisji uczelnianej, która orzekła, że nie mieliśmy do czynienia z plagiatem”. Choć trudno w to uwierzyć, rzecznik dyscyplinarny UKSW naprawdę tak orzekł. Samo postępowanie zostało umorzone, ponieważ Zalewska nie pracowała już na UKSW ani – jak upewnił się rzecznik – na żadnej innej uczelni. Za-

lewska odwołała się od tego postanowienia (najwyraźniej pragnąc oczyszczenia z zarzutów, a nie umorzenia), ale Komisja Dyscyplinarna ds. Nauczycieli Akademickich utrzymała je w mocy.

Wiarygodność

Choć rzecznik umorzył postępowanie „ze względu na bezcelowość orzeczenia kary dyscyplinarnej”, pozwolił sobie na zaskakujący komentarz. W przesłanym do „TP” oświadczeniu UKSW czytamy, że „w toku prowadzonego przez Rzecznika postępowania nie stwierdzono rażącego naruszenia przepisów prawa autorskiego. Rzecznik w uzasadnieniu wydanej decyzji stwierdził, że jednym z istotnych znamion plagiatu jest jego zamiar bezpośredni, a więc świadome, celowe i umyślne działanie skierowane na wprowadzenie osób trzecich w błąd, co do autorstwa jakiegoś utworu albo jego części. W toku postępowania, po przeprowadzeniu stosownych dowodów, Rzecznik nie dopatrył się celowości działania Obwinionej, stwierdzając jednocześnie, że metodyka zastosowana przy przygotowaniu publikacji może budzić uzasadnione wątpliwości co do rzetelności naukowej”.

Rozumiem kłopotliwą sytuację rzecznika dyscyplinarnego: potwierdzenie, że Sabina Zalewska popełniła wiele plagiatów, równałoby się przyznaniu, że w Katedrze Etyki na UKSW przez piętnaście lat nikt nie zauważył oszustwa. Równałoby się to także przyznaniu, że redaktorzy i recenzenci wydawanego na UKSW czasopisma „Warszawskie Studia Pastoralne” dopuścili do publikacji artykułu, którego dwie strony zostały skopiowane z serwisu Ściąga.pl (a dziewięć stron z innych źródeł). W artykule tym, opublikowanym w 2012 r. i zatytułowanym „Nauczyciel akademicki dziś. Nadzieje i oczekiwania”, Zalewska zamieściła nawet w przypisie odnośnik do tego serwisu, co nikogo nie zdziwiło. Jednak udawanie, że nic wielkiego się nie stało, pogłębia tylko kompromitację uczelni.

Artykuł Zalewskiej „Kłamstwo w małżeństwie i rodzinie” nie jest naukowy, więc nie podlegał ocenie rzecznika dyscyplinarnego UKSW, Tomasz Terlikowski nie może więc zasłonić się jego opinią. Musi rozstrzygnąć, czy obecność notorycznie dopuszczającej się plagiatów osoby w komisji, która ma wydać moralny werdykt w ważnej sprawie, z góry nie podważa jej wiarygodności. ©

Kościół dominikanów we Wrocławiu, gdzie funkcję duszpasterza akademickiego w latach 1996–2000 pełnił Paweł M.



Z żywota matki do żywota wiecznego

DAWID GOSPODAREK

Dzisiaj praktyka ta zaskakuje i dziwi. Kilkadziesiąt lat temu obowiązywała pod sankcją grzechu.

PAPIESKIE DOKUMENTY, ZWŁASZCZA tak poważnej rangi jak encykliki, są przed publikacją analizowane przez teologów i prawników. Zdarza się jednak, że na ogłoszony już tekst po pewnym czasie nanosi się poprawki. W encyklice „*Evangelium vitae*” (1995) Jan Paweł II zwrócił się do matek, które dopuściły się przerwania ciąży: „Odkrycie, że nic jeszcze nie jest stracone i będziecie mogły poprosić o przebaczenie także swoje dziecko: ono teraz żyje w Bogu”. Dziś jednak w tym miejscu jest zupełnie inne zdanie: „Temu samemu Ojcu i Jego miłosierdziu możecie też z nadzieją zawieźć wasze dziecko”.

W pierwotnej wersji Jan Paweł II chyba jako pierwszy papież wprost wyraził przekonanie, że dzieci zmarłe bez chrztu dostępują zbawienia. Jednak najwidoczniej uznano, że owo sformułowanie, mające poważne doktrynalne konsekwencje, jest jeszcze przedwczesne.

Do nieba bez chrztu

Wielu teologów od dawna było przekonanych o tym, że zmarłe dzieci trafiają do nieba, nawet jeśli nikt nie zdążył ich ochrzcić. Przekonanie to często obecne było również w ludowej pobożności. Od starożytności jednak liczni byli i tacy, którzy nie przewidywali możliwości, by dzieci zmarłe w grzechu pierwotnym mogły trafić do nieba. Św. Augustyn uważał, że są gdzieś między niebem a pie-

kłem, za odziedziczony grzech spotyka je kara, lecz bardzo lekka i oczywiście nie wiadomo dokładnie jaka. Dominująca jednak przez wieki była inna teoria, bazująca na autorytecie Ojców Kościoła czy Doktorów Kościoła, takich jak św. Tomasz z Akwinu – nieochrzczone dziecko co prawda po śmierci nie jest dotknięte żadnymi duchowymi ani fizycznymi cierpieniami (nie trafia do piekła), a jako że Bóg stworzył dobre dusze, otrzyma należne mu wiekuiste dobra – jednak nie będzie miało, jak zbawieni ochrzczeni, nadprzyrodzonej szczęśliwości. Nie będzie oglądało Boga twarzą w twarz: tę tezę według niektórych tomistów Doktor Anielski uważał za dogmatycznie pewną. Stan ten na niebiańskich przedsiunkach teologowie z czasem nazwali limbusem.

Miało to swoje konsekwencje. Aż do posoborowej reformy nie było w rzymskim Kościele pogrzebowej liturgii dla dzieci zmarłych bez chrztu, często były grzebane poza poświęconą ziemią. Katolickiego pogrzebu zabraniało im również dawne prawo kanoniczne (chyba że dzieci zmarły w łonie matki lub razem z matką, to mogły być z nią pochowane w tej samej trumnie).

Teologiczną hipotezę limbuse od II Soboru Watykańskiego raczej ignorowano, przemilczana została też w Katechizmie Jana Pawła II. Dopiero w 2007 r. Międzynarodowa Komisja Teologiczna, ogłaszając zaaprobowany przez Benedykta XVI

dokument „Nadzieja zbawienia dla dzieci, które umierają bez chrztu”, zapewniła: „Istnieją raczej poważne racje, jak chcemy tutaj na końcu potwierdzić, by mieć nadzieję, że Bóg zbawi te dzieci, ponieważ nie można było uczynić dla nich tego, co chciałoby się uczynić, to znaczy ochrzcić je w wierze i w życiu Kościoła”.

W macicy

Ze względu na dawniejsze przekonanie o tym, że nieochrzczone dzieci nie idą do nieba, wymagano pod groźbą grzechu od rodziców i odpowiedzialnych, by nowo narodzone dziecko ochrzcić jak najszybciej (niektórzy za dawnymi synodami podawali nawet, że nie więcej niż trzy do ośmiu dni po narodzinach). W przypadku ciąży zagrożonej przewidywano nawet warunkowy chrzest nie tylko dla dziecka tuż po urodzeniu (nawet gdy mamy do czynienia z poronieniem na wczesnym etapie ciąży), ale także w trakcie porodu (gdy tylko pojawił się dostęp do jakiejś części ciała dziecka) lub nawet w razie rozeznanej konieczności takiego warunkowego chrztu dokonywano *in utero matris* – w ciele matki, w macicy, o ile udało się dotknąć płód wodą.

Mimo że takie praktyki potępiał św. Tomasz, w drugiej połowie XVI w., wraz z rozwojem wiedzy o życiu prenatalnym i pojawieniem się specyficznej religijnej wrażliwości, zaczęto poważniej traktować chrzest wewnątrzmaciczny,

MAX ROSSI / REUTERS / FORUM



Papież Franciszek błogosławi ciężarnej kobiecie podczas cotygodniowej audiencji w auli Pawła VI, Watykan, 19 grudnia 2018 r.

uznając go za ortodoksyjny wyraz miłości do dziecka, przed którym chrzcielną wodą otwiera się niebo.

Ta zalecana np. przez Benedykta XIV chrzcielna praktyka w dzisiejszych podręcznikach teologii, nawet w części historycznej, jest pomijana. Raczej nie usłyszą o niej na wykładach studenci teologii. Co ciekawe, kojarzą ją za to np. antyklerykałowie, znalazłszy jej opisy np. w popularnej niegdyś książce znanego niemieckiego krytyka Kościoła Karlheina Deschnera „I znowu zapiał kur. Krytyczna historia Kościoła”. Jej fragmenty szeroko rozchodziły się po antyklerykalnych forach. Internetowi katolicy apologety zazwyczaj powątpiewali jednak w autentyczność opisywanego przez Deschnera chrztu wewnątrzmacicznego, co nie musi dziwić, wszak dla dzisiejszego nawet pobożnego chrześcijanina takie chrzcielne praktyki wydają się nie do pomyślenia i chyba w zawstydzeniu milczy o nich współczesna literatura teologiczna. Opisy zdarzają się jednak w publikacjach świeckich, np. w nagrodzonej Pulitzerem powieści Jeffreya Eugenidesa „Middle sex”. W przeciwieństwie do polskiej wersji Wikipedii, w angielskiej można znaleźć informacje o chrzcie wewnątrzmacicznym.

Dokładniejsze opisy takich sakramentalnych zabiegów znaleźć można w starych podręcznikach medycyny pastoralnej czy innych praktycznych poradnikach dla księży (najnowsza znaleziona przeze mnie pozycja zawierająca zalecenie chrztu wewnątrzmacicznego to wydana w Poznaniu w 1962 r. książka ks. Kazimierza Karłowskiego „Wprowadzenie do sakramentów świętych”). Najważniejszym źródłem opisywanych praktyk są dawny Rytuał Rzymski i Kodeks Prawa Kanonicznego.

Podkreślały one, że chrzcić może każdy, nawet niewierzący, prędzej mężczyzna niż kobieta. Najlepiej jeśli w takich trudnych sytuacjach chrzci chrześcijański lekarz. Chrzty dokonane przez akuszerki traktowano zazwyczaj jako wątpliwe, ze względu na ich „niskie wykształcenie ogólne”. Omawiano szczególnie materię chrztu – jaka powinna być woda (naturalna, zdrojowa, rzeczna, morska, bagnista, ze śniegu, z wilgotnych ścian, z liści), jaka woda jest wątpliwa (np. słabe piwo lub bardzo słaby rosół, słaba kawa czy herbata), a jaka nieważna (np. mocne piwo, tłusty rosół, mleko, wino, moc, oliwa). Do wykonywania

chrztu wewnątrzmacicznego kapłan miał przyuczać lekarzy czy akuszerki lub inne zamężne kobiety.

Strzykawka z krzyżykiem

Nakazywano (według niektórych autorów pod groźbą grzechu) dokładne umycie rąk, zamoczenie palca w wodzie i dotknięcie nim płodu, z wypowiedzeniem chrzcielnej formuły. Sytuacja była bardziej skomplikowana, gdy płód był jeszcze w błonie i nie można go było bezpośrednio dotknąć, lub gdy z nawilżonym palcem nie dało się dotrzeć do płodu tak, by kropla wody po nim spłynęła – wtedy zachęcano lekarza, by błonę otworzył, co miało nie zagrażać życiu płodu. Do chrztu wewnątrzmacicznego oprócz palca czy gąbki użyć można było także strzykawki (co zresztą bywało nawet zalecane). Istniały nawet zaprojektowane w XVII w. przez francuskiego położnika François Mauriceau specjalne „chrzcielne” strzykawki – z wygiętą, w przeciwieństwie do igły łagodnie zakończoną końcówką, a w niektórych projektach, dla podkreślenia sakralności zabiegu, otwór ujścia wody wykonany był w kształcie krzyża.

„Ze stanowiska lekarskiego chrzest za pomocą strzykawki bez wszelkiej wątpliwości może być przedsięwzięty, skoro błony płodowe same się przedarły i woda płodowa już odpłynęła. W ogólności ze względu na dziecko jako i na matkę należy zachować wszelką ostrożność w przedarciu błon płodowych, do czego wolno nam jest zabrać się dopiero wtedy, jeżeli się przekonamy, że życie dziecka jest mocno zagrożone, chociażby nawet przypuścić należało, że przez odpływ wody przebieg porodu może być utrudniony. Doświadczenie bowiem uczy, że przedwczesny odpływ wody z powodu przedarcia błon płodowych niekorzystnie wpłynąć może na przebieg porodu i narazić tak dziecko, jak i matkę na wielkie niebezpieczeństwo. W każdym razie przed piątym miesiącem ciąży rzadko tylko jesteśmy w tem położeniu, ażeby się co do życia lub śmierci płodu zapewnić, z tego też powodu przy grożącym poronieniu przed piątym miesiącem radziłbym stanowczo powstrzymać się od przedarcia błon płodowych w tym celu, ażeby móc przedsięwziąć chrzest za pomocą strzykawki” – wyjaśnia dr Julian Czarniecki w książce „Medycyna pastoralna. Podręcznik dla kleru katolickiego” (Gniezno 1910).

Jeśli dziecko przeżyło poród, mimo chrztu wewnątrzmacicznego na wszelki wypadek chrzczono je warunkowo („ja ciebie chrzczę, jeśli nie jesteś ochrzczone”), oczywiście wtedy już najlepiej w normalnych, liturgicznych okolicznościach, z księdzem jako szafarzem.

Poronione płody, potwory

W przypadku poronienia zalecało się odświeżenie i ochrzczenie płodu. Jeśli płód był jeszcze w błonach płodowych, należało go do chrztu wyjąć. Chrzciło się wtedy zazwyczaj warunkowo – zastrzegając w formule „jeśli żyjesz”, chyba że znamię życia były oczywiste. Płody wczesne chrzczono np. wyjmując z powłoki i zanurzając w talerzu z wodą.

Chrzczono także „potwory” – płody zniekształcone, mające jednak główkę. Dziś ta nazwa może bulwersować, jednak w literaturze kościelnej określenie to znalazło się ze względu na stosowanie go w ówczesnej literaturze medycznej. Jeśli wystąpiła wątpliwość, czy mamy do czynienia z pojedynczym płodem, czy z kilkoma osobnikami, chrzczono pozostałe warunkowo („ja ciebie chrzczę, jeśli żyjesz i jeśli jesteś człowiekiem”).

„Chrzcić nam przy poronieniach nie wolno rodzących się niekiedy bezkształtnych mas, tak zwanych »zaśniedziałów«, które mają na ogół wygląd kawała niekształtnego mięsa lub postać wielkiego winogrona, bo masy te przedstawiają zwyrodnione zapłodnione jajko i nie mają żadnych znamion człowieczeństwa ani właściwego życia; natomiast rodzące się, a dające jeszcze znaki życia potworki mamy obowiązek ochrzczania, naturalnie »sub conditione si vivunt«. Jest bowiem słuszną zupełnie zasadą moralistów, iż wszystko rodzące się a mające – bez względu na wielkość – coś na kształt główki i piersi, i dające najdrobniejsze chociażby oznaki życia, należy ochrzcić »z konieczności«” – napisał profesor medycyny Paweł Gantkowski, autor książki „Medycyna pastoralna. Podręcznik naukowy dla kleru katolickiego” (Poznań 1927).

Martwa rodzicielka

Gdy do czynienia mieliśmy ze śmiercią ciężarnej, czy to w trakcie trudnego porodu, czy innych okoliczności (zabójstwo, samobójstwo, utopienie, choroby etc.), zalecało się dokonanie na zmarłej cesarskiego cięcia, by wyjąć możliwie żywy →

→ jeszcze płód, przede wszystkim w celu ochrzczania go. Synod w Langres w 1404 r. udzielił nawet czterdziestodniowego odpustu dla osób dokonujących z takich pobudek wspomnianego zabiegu. Według niektórych autorów duszpasterze, którzy byliby obecni przy śmierci takiej kobiety, w przypadku braku lekarza (lub cyrulika) sami mieli wręcz obowiązek dokonać cesarskiego cięcia, próbując ratować życie płodu, zwłaszcza życie wieczne. Inni autorzy jednak duchownych zniechęcali, wskazując na ich wrażliwość, przyzwyczajenie czy wreszcie trud takiej operacji. Jeśli cesarskiego cięcia z jakichś względów nie dokonano, należało ochrzcić dziecko wewnątrz matki.

Matka czy dziecko

W przypadkach, gdy na szali było życie dziecka lub matki, wskazywano, że odpowiednio pouczona chrześcijańska matka wybierze życie dziecka, nie chcąc skazywać go na wieczne potępienie. Tylko nieliczni autorzy dopuszczali jako moralną

z katolickiej perspektywy również decyzję o sztucznym poronieniu.

Jedyny, bardzo rzadki przypadek, kiedy według polskiego autora, dr. Jana Czarneckiego, sztuczne poronienie dopuszcza się jako moralnie usprawiedliwione, jest ten, gdy „macica ciężarna z powodu tyłozgęcia, opuszczenia się lub wypadnięcia uwieczniona zostaje w miednicze”, co stanowi zagrożenie zarówno dla życia matki, jak i dziecka. Zaznacza on jednak, że teologowie się z nim raczej nie zgadzają, jednak jego sumienie nie pozwoliłoby mu jako lekarzowi „poświęcić dwóch istot”, zwłaszcza matki, żywicielki innych dzieci („Medycyna pastoralna. Podręcznik dla kleru katolickiego”, Gniezno 1910). Dalej czytamy: „Na usprawiedliwienie mogę jeszcze dodać, że przy samoistnie poronionym płodzie zawsze, przy sztucznie natomiast spowodowanym poronieniu bardzo często możliwość chrztu św. nie jest wykluczona”.

Podpisujący się jako Stary Duszpasterz autor pierwszego polskiego podręcznika

z pogranicza duszpasterstwa i medycyny – „Medycyna pasterska, czyli wiadomości potrzebne kapłanom z zakresu higieny, fizjologii i patologii, z dodatkiem niektórych kwestyj teologicznych” (Lwów 1900) – przywołuje w kwestii sztucznego poronienia towarzyszącego ciąży zagrożającej życiu matki autorytet innych klasycznych autorów. I tak św. Alfons Liguori czy późniejsi teologowie mieli dopuszczać możliwość ratowania życia matki przez zabiegi mogące spowodować poronienie, np. przekłucie opon wypuszczające wody płodowe, leczenie chininą, gorącą czy zimną kąpielą lub innymi środkami, stosowanymi „w tym celu, aby uleczyć chorobę osoby brzemiennej i salwować jej życie, chociaż się przewiduje, że to lekarstwo czy ten środek może wywołać poronienie”.

Przywołując zasadę podaną przez św. Alfonsa, wyjaśniono, że chodzi o użycie środka dobrego lub obojętnego w celu godziwym, mimo że oprócz działania pożądanego skutek może być również zły, ale niezamierzony. Czyli samo sztuczne poronienie traktowane jest jako złe, trzeba robić wszystko, by go uniknąć, jednak może się pojawić jako efekt uboczny działania godziwego – ratowania życia matki – równając na szali zło i dobro. W tym przypadku ani lekarz, ani matka nie zaciąga winy za sztuczne poronienie.

Duszpasterze dostawali jeszcze jedno, bardzo ważne zalecenie: w każdej parafii powinna znajdować się specjalna kasa, by z niej w razie potrzeby udzielić zapomogi na sprowadzenie do rodzącej zawodowego położnika.

Dawne zwyczaje

Na koniec chciałbym jeszcze raz podkreślić, że praktyka chrztu wewnątrzmacicznego nie jest potrzebna – dzieciom zmarłym bez chrztu nie zamyka się nieba. Czytanie o dawnych zwyczajach może u niektórych budzić oburzenie, dla innych jednak mogą się one wydać słuszne. Jest do pomyślenia, że jakiś „tradycjonalista” ignorujący posoborowe nauczanie mógłby uznać, iż należy wrócić do praktykowania chrztu wewnątrzmacicznego. Zwłaszcza że np. pewien zainspirowany dawnymi dokumentami współczesny amerykański konwertyta katolicki i pasjonat-apologeta zdaje się mówić o tym całkiem poważnie, zalecając pielęgniarcom dokonywanie takich chrztów.

© DAWID GOSPODAREK

Z najgłębszym żalem zawiadamiamy,
że 29 marca 2021 roku zmarł po długiej chorobie

Ś.†P.

Kasper Pawlikowski z Medyki

urodzony 5 lipca 1927 roku

rzeźbiarz i autor,

nasz ukochany Mąż, Ojciec i Brat.

Człowiek prawy, szlachetny i dobry, ważna postać w życiu kulturalnym, artystycznym i literackim Polski, Kanady, Ukrainy i Włoch, mecenas Biblioteki Jagiellońskiej, Muzeum Narodowego w Krakowie,

Muzeum Narodowego Ziemi Przemyskiej,
Stowarzyszenia Przyjaciół Ziemi Medyckiej,
fundator Stowarzyszenia „Dom pod Jedłami”,
założyciel Dialogue Canada,

zasłużony pracownik CIDA, IATA i Expo Montreal 1967,
członek ZPAP.

Uroczystości żałobne oraz informacje o pogrzebie,
który odbędzie się latem 2021 roku
na cmentarzu Rakowickim w Krakowie, dostępne są na stronie
www.kasperpawlikowski-memorial.com

ŻONA, SYN I CÓRKI
W POLSCE I W KANADZIE

POŻEGANIE

WOJCIECH

Bonowicz:

Wyruszyć w nieznane



JEST INACZEJ, TO NA PEWNO. ROK TEMU EPIDEMIA była niby „tu”, ale właściwie jeszcze „tam” – dopiero nadchodziła, straszyla, dawała nam fory, czas potrzebny, żebyśmy przygotowali się na jej przyjęcie. Baliśmy się na zapas i na zapas chronili,

co dziś wspominamy z pewnym sentymentem, bo zaopatrywaliśmy się w maseczki i trzymaliśmy na dystans, nie widząc jeszcze tak naprawdę, co nam grozi. Dziś epidemia już się u nas zadomowiła, spoufaliła z nami. Opróżniła publiczne miejsca, zappełniła szpitale, a na wirtualnych tablicach wiesza co dzień nowe klepsydry, z których ze zdumieniem odczytujemy kolejne znajome nazwiska. Owszem, czekamy z niepokojem na „liczbę dnia”, wzdychamy, kiedy jest wyższa niż tydzień wcześniej, ale śmierć nieznajomych – choć bywa przegnąbiająca, zwłaszcza gdy sumuje się w wielkie liczby – jest zawsze abstrakcyjna. Realna jest tylko śmierć tych, z którymi cokolwiek nas łączyło. I takiej śmierci teraz przybywa.

Co jest w nas dziś większe – strach czy złość? Czy jesteśmy w stanie myśleć poza nimi? Czy potrafimy wykrzesać z siebie jeszcze trochę nadziei?

A nadziei potrzeba nam dużo. Tylko ona może nas wyprowadzić poza strach i ukazać jakieś inne „tam” i inne „tu”. Nadzieja to nie tylko myśl, że „złe” kiedyś odejdzie: że ludzie przestaną masowo umierać, a my nie będziemy uśmiechać się spoza maseczki, wahać przed każdym uściśnięciem czy trwożliwie rozglądać, gdy ktoś kaszlnie za plecami. To przede wszystkim otwartość na niemożliwe, na to, co jeszcze-nawet-nie-do-pomyślenia. Jakiś czas temu w wywiadzie dla „Pisma” Andrzej Leder mówił trafnie o potrzebie nadziei radykalnej. Radykalny kryzys można przezwyciężyć tylko radykalną nadzieją. A kryzys obecny jest kryzysem radykalnym, bo odśło-

nił więcej niż tylko słabość klasy politycznej czy niedostatki systemu ochrony zdrowia. Chodzi w istocie o całą konstrukcję naszego świata, o nasz styl życia, naszą beztroskę, nasze „skoro mogę, to dlaczego nie”, za które epidemia bezwzględnie wystawia dziś rachunek. Bezwzględnie – bo wystawia go jak leci, niekoniecznie tym, którzy zawinili.

„Nadzieja radykalna – mówił Leder – polega na tym, że nie wraca się do portu, tylko wyrusza się w nieznane, a to, co z portu najważniejsze, zabiera się ze sobą. To nadzieja, która jest odpowiedzią na sytuację, gdy za chwilę, prawie na pewno, portu nie będzie”. Epidemia pokazała – jak wielu z nas? – że świat budowany w taki sposób jak do tej pory nie przetrwa. Lub inaczej: że możemy tę formę konserwować, ba, wrócić do niej z radosnym wyciem, gdy zagrożenie minie (Leder: „dziś cała globalna klasa średnia marzy o tym, żeby jak tylko pandemia się skończy, wsiąść w wielki samolot i polecieć na wakacje na drugi koniec globu”), ale to nie powstrzyma kolejnych kryzysów. Nasz pomysł na życie musi się zmienić, zmienić się muszą nie tylko kształt państwa czy gospodarki, ale też relacje między nami. Będzie to szalenie trudny proces i oby nie tak gwałtowny, jak wieszczą niektórzy.

Nadzieja radykalna stanie w nim naprzeciw „radykalizmów bez nadziei” (to określenie moje, nie Ledera), których już dziś jest wokół pełno. Radykalizmy te żywią się wizją wojny kulturowej, w której nie można brać jeńców, bo chodzi o „być albo nie być” świata takiego, jakim wyobraża go sobie jedna czy druga strona. Język, którym posługują się ich przedstawiciele, jest ostry i nieprzejednany, każde ustępstwo i odstępstwo jest piętnowane, każdy półton podejrzany, a dialog z inaczej myślącymi – wykluczony. Dlatego nazywam je „radykalizmami bez nadziei”: chcą budować świat wedle swojej i tylko swojej wizji, nie próbując tworzyć opowieści wspólnej i scenariusza, którego zasadą nie byłoby separowanie i wykluczanie, lecz wzajemność. W rezultacie powstają projekty odrealnione, pozbawione siły perswazji. „Radykalizmy bez nadziei” także wyruszają w podróż, ale jest to podróż w stronę „dobrze znanego”, z góry założonego, nielicząca się ani z kosztami, ani nawet z mapą.

Właśnie ta myśl męczy mnie ostatnio: czy potrafimy wykrzesać z siebie dostatecznie dużo nadziei, żeby się im przeciwstawić?

©

TP

JUŻ W NASTĘPNYM WYDANIU „TYGODNIKA”

znajdą Państwo stworzony we współpracy z Miastem Wrocław dodatek poświęcony

Tadeuszowi Różewiczowi

a w nim: rozmowę z Julią Różewicz, wnuczką pisarza, opowieść o jego życiu, tekstach i teatrze, plany obchodów Roku Różewicza we Wrocławiu. Zapraszamy do lektury!

PARTNERZY:

Wrocław miasto spotkań

Strefa
Kultury
Wrocław
 www.wroclaw.pl



Ogródki działkowe w miasteczku Berwick-upon-Tweed w północnej Anglii, marzec 2021 r.

KWIATY PRZYNOSZĄ NADZIEJĘ

W czasie epidemii na Wyspach Brytyjskich przybyło kilka milionów ogrodników. Choć dziś sytuacja epidemiczna się stabilizuje, ich nowa pasja nie słabnie.

PATRYCJA BUKALSKA Z PANGBOURNE (WIELKA BRYTANIA)

NA PRZEŁOMIE MARCA I KWIETNIA w ogródkach działkowych w Pangbourne trwają głównie prace porządkowe po zimie. Już od jakiegoś czasu grządki ożywają żonkile i pierwiosnki, gdzie-niegdzie samotnie trwa okazały rabarbar czy fioletowe brokuły, odporne na niskie temperatury. Nadal jest jednak raczej pusto.

Ogrodnicza gorączka dopiero nadejdzie. Dziś pracuje ledwie kilka osób. W tym i my: szczęśliwcy, którym w tym roku udało się dostać działkę. Bo jak wszędzie w Anglii, i tu obowiązuje lista kolejowa, która ostatnio wydłużyła się za sprawą rosnącego w pandemii zainteresowania ogrodnictwem.

Wiele zależy od miejsca. W Pangbourne – trzytysięcznym miasteczku w hrabstwie Berkshire – zwykle na liście było kilka osób. Teraz jest kilkanaście. To i tak niewiele, bo są miejscowości, gdzie oczekujących jest kilkuset. W skali kraju na działkę czeka się dziś średnio sześć-osiem miesięcy. Nic dziwnego: w ostatnim roku przybyło ogrodników. Stowarzyszenie ogrodnicze Horticulture Trades Association twierdzi, że aż o trzy miliony.

Gdzie brokuły, gdzie maliny?

Nasza działka w Pangbourne jest całkiem spora, a jej poprzedni użytkownik zostawił nam szczerze foliowy tunel i małą szklarnię. Od jakiegoś czasu jednak na niej nie pracował, jest więc sporo do zrobienia, by zamienić ten – w międzyczasie przejęty znów przez naturę – kawałek ziemi w warzywny ogród.

Ziemia jest sucha i wyjałowiona, sporo w niej kamieni – jak w całej okolicy. Z tych wykopanych ułożyliśmy ścieżkę między rabatami. Marchewki w takiej glebie nie mają szans, więc na razie stawiamy na kilka rzędów ziemniaków. Sadzimy też porzeczki, agrest i maliny. Grządki w foliowym tunelu odżywiamy kompostem, sadzimy pierwsze pomidory – w tym roku sadzonki pochodzą ze sklepu, w przyszłym roku będą już z nasion. Rośnie tu też mała brzoskwinia, jeszcze jeden nieoczekiwany prezent: temperatura w tunelu jest wyższa niż na zewnątrz i drzewko zakwitło już na różowo.

Pracy jest mnóstwo, lista rzeczy do zrobienia długa, a towarzystwa dotrzymuje nam ciekawski kos. Pojawiają się już pszczoły – jeden z działkowiczów ma kilka wspaniałych uli. Hoduje też kury, które miejscowe rodziny z małymi

dziećmi podziwiają podczas niedzielnych spacerów.

Nocą na działki podobno zaglądają sarny i króliki, a z działkowych plonów lubią też korzystać gołębie. Niektórzy ogrodnicy stosują więc różne konstrukcje z siatki i metalu, by chronić truskawki i sałaty. Pewnie też będziemy musieli o tym pomyśleć. Ale patrząc na kolejne zachwaszczone i kamieniste grządki, które trzeba na nowo przygotować, myślę, że do truskawek to jeszcze droga daleka. Na razie rozrzucaamy kompost i kreślimy plany: może będzie też miejsce na kwiaty – malwy i łubin.

Oddech w lockdownie

„Wiele razy widziałem górnika stojącego w jego ogródku na tyłach domu, patrzącego na kwiat w dziwnym, odległym skupieniu, które pokazuje prawdziwą świadomość obecności piękna. Nie byłby to podziw ani radość, ani zachwyt, ani żadna z tych rzeczy, które tak często wiążą się z instynktem posiadania. To taki rodzaj kontemplacji, który pokazuje rodzącego się artystę” – notował David Herbert Lawrence (zmarły w 1930 r., pisarz ten chętnie podejmował temat negatywnych skutków industrializacji).

Bo choć Wielka Brytania to kraj wspaniałych ogrodów, które otaczają rezydencje ludzi zamożnych, kraj ogrodniczych pokazów, na które przyjeżdżają goście z całego świata, kraj z tradycjami „łowców roślin”, chlubiący się kolekcjami egzotycznych kwiatów, to jednak ważną rolę w tej ogrodniczej narodowej pasji odgrywają zwykli obywatele, pielęgnujący maleńki skrawek swojej ziemi lub choćby doniczki na balkonie.

Liczbę ogrodników-amatorów w Wielkiej Brytanii ocenia się na 27 mln. Ci, którzy nie posiadają własnej ziemi, mogą korzystać z ogródków działkowych lub miejskich ogrodów komunalnych. W czasie epidemii atrakcyjność takiego własnego zielonego skrawka znacząco wzrosła – nawet w najgłębszym lockdownie wolno było przyjść na swoją działkę i na niej pracować. Zachowując, rzecz jasna, odstęp od innych i nie wdając się w towarzyskie pogawędki.

Kop dla ojczyzny!

Obecnie w samej tylko Anglii (jednej z czterech krain Zjednoczonego Królestwa) jest ok. 330 tys. ogródków działkowych. Ich historia sięga połowy wieku

XIX: dzięki nim najubożsi, a także kiero opłacani robotnicy fabryczni mieli szansę na własne warzywa, na uzupełnienie w ten sposób pustawej spizarni.

Przełomowa była ustawa z 1908 r., zakładająca na lokalne władze obowiązek zapewnienia działek chętnym. Potem, w czasie I wojny światowej, ogródki uzupełniały niedobory żywności na rynku; przydzielano je też wracającym weteranom. Z kolei podczas II wojny światowej, gdy w początkowej jej fazie niemieckie okręty podwodne panowały na morzach i dostawy były utrudnione, ruszyła akcja „Dig for Victory!” („Kop dla zwycięstwa!”): obywatele zachęcano do uprawiania warzyw, gdzie tylko było można.

Dziś większość angielskich ogródków działkowych należy do władz lokalnych, są też takie wydzierżawione przez władze kościelne. Prawo ogranicza ich wielkość; mają służyć uprawie warzyw tylko na własny użytek, nie na handel. Wysokość rocznej opłaty za użytkowanie ma być „rozsądna”: w praktyce może to być kilkanaście-kilkadziesiąt funtów, pokrywających koszt wody czy wywozu śmieci.

Od paniki do pewności

– To był ciekawy rok dla ogrodnictwa. Zwłaszcza podczas pierwszego lockdownu w ubiegłym roku zainteresowanie po prostu eksplodowało. Widziałem to w liczbach osób odwiedzających moją stronę internetową i w liczbie próśb o radę. Wielu z tych ludzi nigdy wcześniej nie zajmowało się ogrodnictwem – mówi mi Jack Wallington, projektant ogrodów i znany popularyzator ogrodnictwa.

– To było szaleństwo. Setki osób dołączały do naszej grupy na Facebooku. Strony sprzedające nasiona i sadzonki padały pod naporem kupujących – wspomina Stephanie Hafferty, ogrodniczka i autorka poradników ogrodniczych. – Po części stała za tym panika, zwłaszcza na początku. Jakieś poczucie niepokoju. Nikt nie wiedział, co się stanie, wirus szerzył się po świecie, ludzie wykupywali w sklepach, co się dało. No i jest też ta brytyjska pamięć zbiorowa o „Dig for Victory!”, nakazująca w chwilach kryzysu samemu starać się o żywność, uprawiać warzywa i owoce.

A potem doszło coś jeszcze: czas. – Pogoda była dobra, ludzie nie pracowali lub pracowali zdalnie, nie tracili czasu na dojazdy, a chcieli spędzić go na zewnątrz. Praca w ogrodzie nadaje też ➔

→ strukturę każdemu dniowi, każdemu miesiącowi. Wiemy, że teraz trzeba zrobić to, a w kwietniu coś innego, że we wrześniu przyjdzie pora na jeszcze coś. To pozwala patrzeć w przyszłość, odnaleźć jakąś pewność w niepewnych czasach – mówi mi Stephanie.

– Pandemia zmieniła nasz stan umysłu. Przypomniła, jak ważny jest świat na zewnątrz. Osoby, które do mnie piszą, są młode, nie mają domu z ogrodem, ale to nie jest przeszkoda. Uprawiać warzywa można wszędzie – mówi mi Jack, który sam do niedawna miał tylko niewielki ogródek w Londynie. – Mnie praca w ogrodzie pomaga nabrać dystansu, przewietrzyć głowę, poradzić sobie z niepokojem.

Trzy metry szerokości

Katy Watson pisze o sobie: „Ogrodniczka w dzień, wieczorami śpiewaczka sopranowa”. Jest też autorką popularnego ogrodniczego bloga i mamą dwóch małych dzieci (młodsze ma 7 miesięcy). – Mój ogród nie jest doskonały – wzdycha w rozmowie. – Trudno o to przy dwójce dzieci, dla których muszę przecież zostawić trochę miejsca do zabawy.

Miejsca rzeczywiście nie jest wiele: Katy mieszka w Londynie, jej ogródek jest zacieniony, długi i wąski – ma tylko około trzech metrów szerokości. Jednak udaje się jej wyhodować tam mnóstwo warzyw i kwiatów. – Doniczki mam wszędzie, na parapetach i na dachu. Rosną pomidory, dynie i ziemniaki – opowiada.

Na początku pandemii Katy została – podobnie jak inni eksperci – wręcz zalana pytaniami od początkujących ogrodników. Pisała więc o najszybciej rosnących zielonych warzywach, takich, które można wysiać na parapecie czy kuchennym stole i cieszyć się nimi już po 25 dniach. Albo jak zdobyć sadzonki, gdy sklepy ogrodnicze są zamknięte lub świecą pustkami (np. prosząc sąsiadów o szczepki czy rozsady). Ostatnio pisała o nadziei, którą przynoszą wiosenne kwiaty. Nadziei, o którą tak trudno było podczas ostatniego lockdownu, z którego Wielka Brytania teraz wychodzi – wraz z postępowaniem szczepień sytuacja epidemiologiczna się stabilizuje.

– Myślę, że to zainteresowanie ogrodnictwem, które obserwujemy, już w ludziach zostanie – mówi Katy. – Wcześniej bywało tak, że ktoś chciał mieć piękny



Działka autorki w Pangbourne, stan z sierpnia 2020 r., przed rozpoczęciem prac.



Działka autorki, stan aktualny, kwiecień 2021 r.

ogród, jechał do sklepu, kupował mnóstwo kwitnących już roślin, sadził, a potem był rozczarowany. Bo się nie przyjęły, bo nie było czasu się nimi zajmować. Teraz pandemia zmieniła rodzaj relacji, jaką początkujący mają ze swoim ogródkiem: jest ona niespieszna, bo mają czas, mogą się bardziej angażować.

A dlaczego w ogóle ludzie chcą się tym zajmować? – Och, jest tyle powodów! W pandemii ważny okazał się ten praktyczny: ogród jako prawdziwe błogosławieństwo. W dodatku teraz możemy tam już zapraszać znajomych – śmieje się Katy. – Coraz więcej osób interesuje się też tym, co je, chce mieć dostęp do zdrowych warzyw. To motywacja głównie młodych.

– Jest też pozytywny wpływ na naszą psychikę – dodaje ogrodniczka-sopranistka. – Sama zajęłam się ogrodnictwem po pewnym wyjątkowo stresującym roku w moim życiu zawodowym. Dziś praca w ogrodzie może być nawet przepisana przez lekarza!

Ogródek na receptę

O tym, że praca w ogródku może pomóc ludziom chorym lub wracającym do zdrowia, Amanda Godber z organizacji Down to Earth Stroud myślała już wiele lat temu. Projekt udało się zrealizować razem z doktorem Simonem Opherem w 2016 r. przy szpitalu Vale Community w Dursley, w hrabstwie Gloucestershire. Nieużywany teren przed szpitalem zamieniono w kilkadziesiąt obudowanych rabat – pracować na nich mogą pacjenci kierowani tam przez lekarzy, ale także okoliczni mieszkańcy. Nad całością projektu czuwają wolontariusze. W 2019 r. zajęte były prawie wszystkie ogródki, a ponad połowa uczestników projektu przyznała, że poprawiła się ich dieta (uprawiane są głównie warzywa). Idąc za sukcesem Vale Community, podobne ogródki zorganizowano w kilku innych miejscach.

Jednak pandemia niemal zniszczyła te wysiłki. – Gdy rząd w marcu 2020 r. ogłosił lockdown, wiedziałam, że będzie to mieć katastrofalny wpływ na życie wielu

osób. Staliśmy się pozostać w kontakcie z wolontariuszami, którzy zajmowali się terenem wokół szpitala i ogródkami, ale strach przed wyjściem z domu i zakażeniem okazywał się zbyt wielki. Na koniec został jeden wolontariusz. Także ośmiu działkowiczów zrezygnowało – opowiada mi dziś Amanda Godber. – Dopiero od niedawna mamy znów grupę wolontariuszy i zapytania od kolejnych chętnych.

Szefowa Down to Earth Stroud nie traci jednak optymizmu. W planie na ten rok jest projekt terapii ogrodniczej w walce z demencją i kilka ogrodów komunalnych: – Zaoferowano nam pięć akrów ziemi. Może założymy farmę, wspieraną przez lokalną społeczność? Rodzaj żywnościowej spółdzielni? W każdym razie, mamy co robić.

Wersja „bez kopania”

Pełne ręce pracy ma też Stephanie Hafferty, która w marcu przeprowadziła się z Somerset do Walii. A tam: nowy ogród, nowe wyzwania, również pogodowe.

Gdy rozmawiamy poprzez platformę Zoom, Stephanie nie może powstrzymać się, by nie spoglądać za okno, gdzie właśnie szaleje śnieżyca. – Tu jest chłodniej i bardziej mokro. Niektóre części ogrodu są bardziej odsłonięte, ale w niektórych panuje mikroklimat, który pozwala nawet na uprawę winorośli – opowiada.

Swoją poprzednią ogród zaczęła uprawiać, gdy jej dzieci były małe (najmłodsze miało 18 miesięcy, najstarsze 5 lat). Wspomina: – Większa część ogrodu służyła do zabawy, miałam tylko trochę warzyw, jakieś kaczki i kury. Stopniowo, w miarę jak dzieci dorastały, przejmowałam coraz większą część ogrodu i wypełniałam warzywami oraz ziołami. Gdy po tylu latach musiałam go opuścić, było mi smutno. Ale ludziom, którzy kupili nasz stary dom, podoba się mój ogród, może go zostawią. Za to tutaj – czysta karta! Do zagospodarowania ogród frontowy, ogród z tyłu i sad. Ten z przodu to sam żwir, muszę tam wszystko zmienić...

W nowym ogrodzie prace będą postępować stopniowo. I oczywiście będzie to ogród „bez kopania”. Mówiąc najkrócej: uprawa ogródka *no dig* polega na zaprzestaniu przekopywania grządek. Zamiast tego co roku pokrywa się je warstwą kompostu. To bardziej ekologiczny i – jak zapewnia Stephanie – łatwiejszy sposób.

– Gleba jest ważna, jej struktura, bez zdrowej gleby nie ma zdrowych warzyw –



CHRISTOPHER LYON ANDERSON

JACK WALLINGTON:

Pandemia zmieniła nasz stan umysłu. Przypomniała, jak ważny jest świat na zewnątrz.



CAITLIN HAFFERTY

STEPHANIE HAFFERTY:

Praca w ogrodzie pozwala odnaleźć także jakąś pewność w niepewnych czasach.



ARCHIWUM PRYWATNE

KATY WATSON:

Myślę, że zainteresowanie ogrodnictwem, które dziś obserwujemy, już w ludziach zostanie.

tłumaczy. – Kopanie wymaga siły i czasu, tymczasem ogród „bez kopania” jest dla wszystkich, także dla osób starszych czy mających trudności z poruszaniem się.

Gdy teraz w Walii zakłada swój ogród *no dig* od zera, można to obserwować na jej profilu w mediach społecznościowych. – Wszystko zapisuję, ile potrzebuję kompostu itd. Myślę, że to się przyda ludziom, którzy chcą spróbować *no dig* – mówi. – I naprawdę warto! Chwilowo, po raz pierwszy od 20 lat, jestem zmuszona kupować warzywa w sklepie i dopiero teraz widzę, ile mój ogród pozwalał mi zaoszczędzić!

Kalendarz ogrodnika

Na przeprowadzkę w czasie epidemii zdecydował się też Jack Wallington. Przeprowadził się na farmę w West York-

shire: – To wielkie wyzwanie. Kilka dobrych akrów, podczas gdy w Londynie mój ogród był mały, pięć metrów na sześć.

Jack mówi, że przeprowadzka była podyktowana jego pracą ogrodnika i projektanta: musi mieć więcej miejsca na nowe sadzonki. – Chcę jednak powiedzieć wyraźnie, że nawet taki ogródek, jaki miałem w Londynie, daje nam więcej, niż potrzebujemy. Trzeba tylko zrozumieć przestrzeń, poziomy światła i odpowiednio to wykorzystać. Można sadzić rośliny choćby w doniczkach. I nie należy się spieszyć – przekonuje.

– Tu, w nowym miejscu, też nie będę zajmował się wszystkim naraz, ale kawałek po kawałku. Wtedy widać postępy i jest satysfakcja. A choć ludzie zajmują się ogrodnictwem z wielu powodów, przede wszystkim powinna to być dobra zabawa! – uśmiecha się.

Poza pracą nad nowym ogrodem, Stephanie Hafferty ma jeszcze jedno zadanie w tym roku. Wspólnie z Charlesem Dowdingiem przygotowuje ogród *no dig* na lipcową wystawę ogrodniczą w Hampton Court. W 2020 r. żaden z wielkich pokazów się nie odbył. W tym roku na razie RHS Hampton Court Palace Garden Festival pozostaje w kalendarzu – choć słynny majowy RHS Chelsea Flower Show przesunięto na wrzesień.

– To będzie typowy ogródek działkowy: mały tunel foliowy, mała szklarnia. Chciałabym, aby goście na pokazie czegoś się nauczyli i mogli zastosować coś potem u siebie bez względu na to, czy mają jedną grządkę, czy cały ogród. Nie chodzi tylko o to, żeby ogród był ładny, ale żeby był też użyteczny – mówi Stephanie o swoim projekcie.

TYMCZASEM NA NASZEJ DZIAŁCE posadzone widać za wcześnie pomidory nie przetrwały ostatniej nocy, wyjątkowo zimnej. Za to dynie i melony, zasiane na parapecie, właśnie pokazały zielone główki. Nagietki też rozpychają się w doniczkach. Za jakiś czas trafią na działkę. Może będziemy mieć z nimi więcej szczęścia niż z pomidorami.

Stephanie, która uprawia warzywa, od kąd skończyła 16 lat, zwykła powtarzać: – Bez względu na to, ile wiesz, natura zawsze znajdzie sposób, by ci pokazać, że jeszcze czegoś możesz się nauczyć.

Początkujący ogrodnicy uczą się cały czas. ©© PATRYCJA BUKALSKA

Białorusi nie opuszczę

**IGOR BANCER, BIAŁORUSKI MUZYK
I OPOZYCYJONISTA:**

**Za to, że gram w zespole
punkowym i działam na scenie
niezależnej, jestem na czarnej
liście.**

BARTOSZ RUMIŃCZYK: Rozmawiamy 10 dni po tym, jak zwolnili Cię z aresztu, w którym spędziłeś ponad pięć miesięcy, a przez 16 ostatnich dni prowadziłeś na znak protestu tzw. suchą głodówkę, czyli odmawiałeś przyjmowania nie tylko pokarmów, ale i płynów.

Jak się czujesz?

IGOR BANCER: Jestem na nogach, chodzę o własnych siłach, dziś miałem kolejne badania i chciałem powiedzieć, że jest już okej. Choć szczerze, to jeszcze muszę do siebie dojść. Ale jestem na wolności i to jest dla mnie najważniejsze.

To nie była ani Twoja pierwsza głodówka, ani pierwsze zatrzymanie. Liczyłeś, ile razy Cię zamykali?

W ciągu 15 lat około 12 razy, więc nie tak dużo. Np. w 2015 r. nic się nie działo, więc jak później mnie zgarnęli, to nawet sędzina była zaskoczona: „A co to się z panem działo, panie Bancer, że się tyle nie widzieliśmy?”. No, ale bywały lata, gdy zatrzymywano mnie po kilka razy w roku.

Za co?

Albo za sprawy polityczne, jak udział w manifestacjach, albo za – jak oni mówią – chuligaństwo. Czyli wtedy, gdy zatrzymywano opozycjonistów prewencyjnie, żeby na manifestacjach się nie pojawiali.

Jak to wtedy wyglądało?

Zgarniali ludzi z ulicy, a potem twierdzili, że np. przeklinali w miejscu publicznym. Tak było raz ze mną, gdy zatrzymali mnie na placu Lenina, w centrum Grodna, o 10 rano. Wokół żywej du-

TYM RAZEM IGOR BANCER został zatrzymany za pokazanie milicjantowi miejsca, w którym plecy tracą swą szlachetną nazwę. W areszcie spędził pięć miesięcy, zwolniono go po 16 dniach głodówki. Usłyszał wyrok: półtora roku prac poprawczych. I mówi jasno: nie zamierzam się zmieniać.

Urodzony w 1980 r. w Mińsku, Bancer jest białoruskim muzykiem, dziennikarzem i działaczem społecznym narodowości polskiej. W latach 1999–2002 studiował stosunki międzynarodowe na Uniwersytecie Warszawskim. Po powrocie na Białoruś był dziennikarzem, redaktorem naczelnym „Głosu znad Niemna na uchodźstwie” (polskojęzyczny tygodnik, obecnie wydawany w Polsce), a także rzecznikiem Związku Polaków na Białorusi. Wielokrotnie zatrzymywany w związku z działalnością polityczną i społeczną oraz skazywany na kary aresztu i grzywny, Bancer jest wokalistą streetpunkowego zespołu Mister X (założonego w Grodnie w 2003 r.), który identyfikuje się ze sceną antyrasistowską i głosi poglądy lewicowe. Grupa koncertowała także w Polsce, Łotwie, Litwie, Niemczech i innych krajach Europy Zachodniej. © BR

szy. Nawet gdybym przeklinał publicznie, nikt by tego nie słyszał, nikogo nie demoralizowałem. Absurdalne zarzuty, byle tylko wsadzić człowieka do aresztu.

Niedawno zatrzymano pięcioro członków władz Związku Polaków na Białorusi. Władze zarzucają im „wzniesienie nienawiści narodowej i religijnej” oraz „rehabilitowanie nazizmu”, grozi im do 12 lat więzienia. To brzmi absurdalnie, ale też groźnie.

Ze strony Łukaszenki to polityczna gra: atak propagandowy i zatrzymanie, po których być może pojawią się zakulisowe negocjacje z Europą i targi, co można ugrać na zwolnieniu więźniów politycznych. To taktyka znana od lat. Czekamy jeszcze, aż w państwowych mediach pojawią się materiały propagandowe o mniejszości polskiej. Coś takiego miało miejsce w 2005 r. [gdy także zaatakowano Związek Polaków – red.]. Władze grzmiąły wtedy: nie dopuścimy do drugiego Ko-

sowa na Białorusi. Były ostre filmy propagandowe, jacyś ludzie z kałasznikowami, makabryczne wizje. No, ale czego oczekiwać po państwie quasi-totalitarnym?

Zarzuty wobec Ciebie też brzmią absurdalnie: miałeś pokazać goły tyłek milicjantowi i tym samym narazić go na straty moralne.

I owszem, pozwoliłem sobie na – jak to nazwano później – obsceniczny taniec, ale pamiętajmy o kontekście. Przecież nie biegałem z gołą dupą po mieście – zrobiono mi zresztą badania w areszcie i mam 10-stronicową ekspertyzę, z której wynika, że jestem zdrowy psychicznie, nie byłem też pijany ani naćpany, bo nie piję alkoholu i nie używam narkotyków. To był performans, który okazał się zbyt radykalny dla konserwatywnego państwa, które nie wie, co to jest sztuka współczesna czy sytuacjonizm.

Skąd pomysł na ten, jak mówisz, performans?

Pamiętam taką rozmowę o polityce, w której kolega zarzucił koleżance, że wierzy w to, iż wystarczy u nas iść na protest, a wszystko się zmieni. Zapytał ją: i co z tego wynika? Wychodzisz sobie na ulicę, wpada OMON, wszystkich pałuje, a ty odwracasz się do nich dupą i spierdasz. Dobra analiza sytuacji, w którą przekształciły się protesty, które zaczęły się na Białorusi w sierpniu 2020 r. Choć oczywiście to normalna reakcja ludzi.

Że jak biją, to się ucieka.

I siłą rzeczy pokazuje dupę milicjantowi. Z tym że ten milicjant siedział z nosem w telefonie i nawet nie widział mojej dupy! A potem zeznał, że machałem przed nim członkiem. Niczym mu nie machałem. To była przygotowana akcja, więc miałem na sobie stringi!

Co działo się dalej?

Myślałem, że dadzą mi 15 dni aresztu i jakąś grzywnę. To było na terenie prywatnym, przed klubem. Był wieczór, impreza, muzyka grała, wszyscy chlali, a milicja miała to właśnie w dupie: piękna, symboliczna wręcz sytuacja. Ale służby się na mnie uwzięły i trzeba było iść z podniesioną głową do sądu.

Jak wyglądała rozprawa?

Przez półtorej godziny debatowaliśmy, czy milicjant widział moje krocze, czy



Igor Bancer, Grodno, marzec 2021 r.

nie. A jak widział krocze, to czy widział tatuaże? Ale przecież było ciemno, zdążył się przyjrzeć? Tak? No to jaki tatuaż mam po lewej? A po prawej? No, ale sędzina moich dowodów nie włączyła do sprawy.

I wyszła gruba afera.

Groziło mi do trzech lat więzienia. Wiedziałem, że się do mnie dobiorą, ale aż tak? System pokazał, na co go stać. Ostatnio koleżanka dostała grzywnę za to, że miała spodnie w kolorach biało-czerwonych, jak flaga Wolnej Białorusi. Idzie wiosna, pewnie niedługo będą ganiać za kolorowe parasolki.

Sam dla siebie wnioskowałeś w sądzie o trzy lata kolonii karnej.

Nie uważam się za winnego, ale skoro państwo uznało mnie za wroga publicznego, to taka kara mi się należała. Tak uważam – i nie było w tym cienia przesady. Nie zamierzam się zmieniać.

Dostałeś tzw. chemię ze skierowaniem. O co chodzi?

Cieżko to wyjaśnić, zwłaszcza za granicą, bo to relikty państwa sowieckiego. Chemia to częściowe ograniczenie wolności, nie siedzisz w więzieniu, ale dostajesz skierowanie do pracy poza miejscem

swojego zamieszkania, np. daleko na wschodzie. Chodzi o to, by nie popełnić czynu, za który cię skazali, lub gorszego – tak mi napisali w uzasadnieniu wyroku, od którego zresztą się odwołuję.

Czyli nie wiesz jeszcze, gdzie każą ci pracować?

Teraz sytuacja gospodarcza na Białorusi jest tak trudna, że nawet nie zapewniają tej pracy, tylko każą sobie znaleźć ją samemu. Każdy na to narzeka, bo to niskopłatne prace, trzeba odprowadzać wysoki procent dla państwa na poczet kary, a nocuje się w bursach, często z pospolitymi przestępcami, gdzie melanz trwa całą dobę. A dlaczego chemia? To jeszcze z czasów zsyłek w Związku Sowieckim, do zakładów chemicznych, gdzieś za Uralem, gdy państwo odbudowywało się po wojnie.

Złożyłeś apelację. Jak chcesz się bronić?

Mam nowe dowody w sprawie. 20 marca, czyli dzień po moim zwolnieniu z więzienia, w telewizji wyemitowano propagandowy program o więźniach politycznych i wspomniano o mnie. Pokazano też nagranie, na którym tańczy przed milicjantem, a także nagranie z 20 stycznia, gdy wykonywałem inny performans,

tym razem muzyczny, też w stringach. A przecież sam wnioskowałem, aby te nagrania dołączyć do sprawy, ale sędzina na to się nie zgodziła. No więc, gdy dzień po moim zwolnieniu w telewizji pokazali nagrania, które potwierdzają moją wersję w stu procentach, czyli że byłem w stringach, to żądam, by uznano mnie za niewinnego i przeproszono za trzymanie 5 miesięcy w areszcie.

Dlaczego zdecydowałeś się na głódówkę?

1 lutego napisałem oficjalne pismo: przyznaję się do winy i jestem gotowy wypłacić rekompensatę za straty moralne, które wywołałem moim tańcem, oraz jestem gotowy wystąpić w białoruskiej telewizji z apelem, by nie krzywdzić milicjantów. W państwie prawa powinno się to uznać, a na Białorusi? Śledczy odmówił mi prawa do wyrażenia skruchy.

Jak to?

Wyraził opinię, że nie wierzy, iż Bancer się zmienił. I okej, może sobie nie wierzyć, ale on nie jest od wydawania opinii, a zbierania dowodów. Musi przyjąć do wiadomości, że ja chcę wyrazić skruchę. Pytałem sędzinę: czemu śledczy bierze na siebie funkcję sądu? Pytałem adwokata: jak mam manifestować niezgodę na to, co się dzieje, i to nie tylko ze mną, ale także z dziennikarzami i dziennikarkami? Tymi, które zamknięto za to, że wykonywały swoją pracę, a zostały oskarżone o organizowanie zamieszek? Wszystkie możliwości prawne wykorzystałem, została więc tylko głódówka. Uznałem, że nie ma co się bawić w ciuciubabkę i trzeba iść na ostro, żeby widzieli, że nie ma żartów. Przemyślałem to sobie dokładnie, miałem dużo czasu, bo siedziałem sam przez te 5 miesięcy. Innej opcji nie było. Zresztą, ja nie jestem stworzony do więzienia, więc nawet jeśli miałoby to mnie zaprowadzić do szpitala czy na tamten świat, to trudno.

Władze chciały Cię jakoś złamać?

Taki głodujący więzień to problem.

Już w pierwszym tygodniu mojego pobytu poszedłem do naczelnika, pułkownika Kazakowa, i powiedziałem mu tak: panie pułkowniku, ja jestem Bancer, gwiazda rock and rolla, KGB mnie tu skierował, ale proszę wystąpić o zwolnienie mnie do domu, bo będą ze mną →

→ problemy. Odpowiedział, że nie może, bo nie ma takiego przepisu. Oczywiście, że jest, można odbyć karę w areszcie domowym, ale mi nie pozwolił. W bawelnę nie owijałem, wiedzieli, kim jestem, wiedzieli, że jestem polityczny, i gdy rozpocząłem głodówkę, ściągnąłem uwagę mediów zagranicznych oraz Amnesty International. I wtedy próbowali mnie łamać. Zmieniło się nastawienie strażników, czuć było, że KGB kazał im zgniebić mnie psychicznie. W ostatnich dniach było ciężko: wstawiali mi posiłki do celi, mimo że mówiłem jasno, że nie chcę. Były też inne prowokacje, ale im się nie udało. Jak uda mi się napisać dziennik więzienny, to opowiem w szczegółach, co się działo.

A to, że jesteś – jak mówisz z przekazem – gwiazdą rock and rolla, pomaga Ci czy przeszkadza? Pamiętam z dawnych lat, jak muzycy Dezertera opowiadali historie swoich kolegów ze Związku Sowieckiego, gdzie punkowców wsadzali do psychuszek. A dziś? Łatwo jest być na Białorusi punkowcem? Tym innym?

Na ulicach spotkasz mnóstwo modnych dzieciaków, które słuchają Billie Eilish, siedzą na Instagramach, TikTokach. Wyglądają jak te na Zachodzie, ale to tylko postmodernistyczna otoczka, *fashion*, bezmyślnie kopiowane wzorce zachowań. Ważne jest to, co myślisz, a nie to, jak wyglądasz. A jak się z nimi pogada, to widać, że choć Związku Sowieckiego już nie ma, to mentalność pozostała. Co prawda nie jest już tak źle, jak opowiadali kiedyś koledzy z Dezertera, ale za to, że gram w zespole punkowym i działam na scenie niezależnej, jestem na czarnej liście i dobrej pracy nie znajduję. Może więc i wyglądam jak gwiazda rock and rolla, ale lekko nie jest. Tylko że nie narzekam, nie chcę wyjeżdżać z Białorusi i z undergroundu też się nie wypisuję. „*Always look on the bright side of life*”, zawsze patrz na pozytywną stronę życia – jak śpiewała grupa Monty Python.

© Rozmawiał BARTOSZ RUMIENČYK

Marne 25 sekund

KAMIL CAŁUS

Choć nad Rumunią wisi groźba poważnego trzęsienia ziemi, władze w Bukareszcie nie robią zbyt wiele, aby przygotować na nie swoich obywateli.

WSZYSTKO POTRWA KRÓCEJ NIŻ PÓŁTorej minuty. O nadciągającym niebezpieczeństwie pierwsze dowiedzą się służby geologiczne, nieustannie monitorujące sytuację sejsmiczną w kraju. Ułamki sekund później czujniki – zamontowane w rumuńskiej elektrowni jądrowej Cernavodă nad Dunajem – wychwycą pierwsze drgania i rozpoczną automatyczną procedurę awaryjnego wygaszenia reaktorów. Światła uliczne i żarówki w niektórych domach zamrugać i przygasnąć, bo zakłócenie pracy tej siłowni, dostarczającej jedną piątą zużywanego w Rumunii prądu, przeciąży sieć energetyczną. To będzie pierwsze ostrzeżenie.

Drugim – i prawdopodobnie ostatnim – będzie jednozdaniowa wiadomość, rozesłana przez publiczny system wczesnego ostrzegania do jego subskrybentów. Wiadomość mówiąca o nadciągającym trzęsieniu ziemi o sile przekraczającej 7 stopni w skali Richtera. Załedwie 25 sekund później pierwszy wstrząs uderzy w rumuńską stolicę.

Na kredyt

Opisany powyżej scenariusz nie jest prawdopodobny lub możliwy, lecz pewny. Bukareszt uważany jest za jedno z najbardziej zagrożonych sejsmicznie dużych miast w Europie. Mniejsze wstrząsy – wyczuwalne, choć niegroźne – zdarzają się tu kilka razy do roku. Większe, bardzo destrukcyjne, wypadają co około 40 lat lub mniej więcej trzy razy w ciągu stulecia. Dlatego, jak mówią niektórzy Rumuni, Bukareszt i tak żyje już trochę na kredyt, ponieważ ostatnie poważne trzęsienie miało miejsce w tym mieście dokładnie 44 lata temu.

Jednak kluczowym problemem rumuńskiej stolicy jest nie sam fakt regularnego występowania takiego kataklizmu, lecz jej techniczne i architektoniczne nieprzygotowanie na to zjawisko. Ogromna część budynków – przede wszystkim tych ulokowanych w historycznym centrum – jest w tak złym stanie, że może nie wytrzymać trzęsienia o sile przekraczającej 7 stopni Richtera.

Mimo to nikt nie wydaje się tym przejmować. Przynajmniej na pierwszy rzut oka.

Stropy podparte stemplami

4 marca 1977 r. trzęsienie o sile 7,2 stopnia doprowadziło w Bukareszcie do zawalenia się 33 wielopiętrowych budynków i śmierci ponad półtora tysiąca ludzi; kolejnych 11 tys. odniosło rany. Jednak rozpoczęty niezwłocznie po tej katastrofie program oceny stanu i wzmacniania ocalałych budynków zakończył się niemal tak szybko, jak się zaczął.

Rządzący wówczas krajem Nicolae Ceaușescu – przez ponad dwie dekady sprawujący władzę dyktatorską, formalnie jako prezydent i sekretarz generalny partii komunistycznej – chciał ogłosić sukces prac rekonstrukcyjnych już podczas pierwszomajowego święta pracy. Dał tym samym inżynierom i ekipom budowlanym załedwie dwa miesiące na doprowadzenie miasta do ładu. Tym, którzy wprost mówili, że to niemożliwe, i odmawiali wpuszczania ludzi do ich mieszkań czy biur, grożono więzieniem i nasyłano na nich agentów tajnej policji Securitate.

W efekcie zamiast porządnie odbudować Bukareszt, miasto poddano pracom kosmetycznym. Uprzątnięto gruz, zaszpachlowano pęknięcia na elewacjach, a stropy podparto gdzieniegdzie stemplami i wspornikami. I można było świętować. Jednocześnie partia szybko wprowadziła nowe regulacje, zgodnie z którymi gruntowne remonty czy też wyburzanie zagrażających bezpieczeństwu budynków miało odbywać się jedynie za wyraźną zgodą władz. W efekcie do lata 1977 r. wszelkie prace ustały.

Dopiero trzy dekady później, pod koniec lat 90., władze rumuńskie postanowiły zająć się wreszcie tym problemem. Rozpoczęto program masowych testów, mających ustalić stan techniczny budynków i ocenić ich odporność na wstrząsy. Na tych, które uznano za zagrożące zawaleniem w razie trzęsienia przekraczającego



DANIEL MIHAILESCU / AFP

Przechodnie przed kamienicą oznaczoną czerwoną kropką i napisem „Uszkodzony budynek”, „Niebezpieczeństwo śmierci”. Na dwa dni przed 40. rocznicą trzęsienia z 1977 r. i na dzień przed fałszywym alarmem, który poderwał kilkaset tysięcy mieszkańców rumuńskiej stolicy. Bukareszt, 2 marca 2007 r.

7 stopni, umieszczony został specyficzny stygmat: duża czerwona kropka z informacją, że dany obiekt zaliczono do najwyższej kategorii zagrożenia sejsmicznego. Mieszkańcy takiego budynku – zgodnie z założeniami programu – mieli uzyskać dostęp do tanich lub zupełnie zwolnionych z odsetek kredytów, z których mieli sfinansować poprawę stanu technicznego nieruchomości.

Upiorny pragmatyzm

Niestety, i tym razem piekło okazało się być wybrukowane dobrymi chęciami (i czerwonymi kropkami). Zamiast poprawić bezpieczeństwo, program doprowadził do pogorszenia sytuacji.

Ocenę stanu budynków prowadzono bowiem tylko na życzenie mieszkańców. Ci zaś szybko zorientowali się, że uzyskanie tytułu „domu pod czerwoną kropką” błyskawicznie obniża wartość ich nieruchomości i właściwie uniemożliwia jej sprzedaż. A obiecana pomoc finansowa? Cóż, po pierwsze, wielu ludzi wyszło z założenia, że lepiej żyć w nieświadomości i ryzykować, niż latami spłacać niemały przecież kredyt remontowy. Zresztą nisko oprocentowana pożyczka okazała się trudniejsza do zdobycia, niż zakładano. Wystarczyło, aby jeden z mieszkańców danego bloku czy kamienicy nie zgodził się

na remont i wniosek kredytowy przepadał.

W rezultacie ledwie rozpoczęty program poprawy stanu zagrożonych budynków niemal zupełnie wygaś. Pozostało po nim jednak ok. 400 budynków (a w nich prawie 3 tys. mieszkań) noszących symbol czerwonej kropki. Czy ludzie w nich mieszkają? Oczywiście. Myliliby się też ten, kto pomyślałby, że w budynkach takich niechętnie działają sklepy i lokale gastronomiczne. Czysze w tak oznaczonych domach są niższe nawet o 30 proc. niż w budynkach bez takiego oznaczenia stojących kilka metrów dalej.

Wielu najemców myśli pewnie, że to w końcu niewielka różnica. Przecież prawdopodobnie większość budynków w starym centrum Bukaresztu powinna nosić takie oznaczenie, a pozbawiona go jest tylko przez wzgląd na upiorny pragmatyzm swoich mieszkańców i opieszałość władz.

Myślenie takie nie jest pozbawione sensu. Szacuje się bowiem, że faktyczna liczba położonych w centrum Bukaresztu i zagrożonych zawaleniem budynków to nie 400, lecz niemal 2,5 tysiąca.

Fałszywy alarm

Choć silne trzęsienie ziemi jest dziś jednym z poważniejszych zagrożeń naturalnych wiszących nad Rumunią, wła-

dze w Bukareszcie nie robią zbyt wiele, by przygotować na nie swoich obywateli. W przedszkolach i szkołach nie prowadzi się poświęconych tej tematyce zajęć dla dzieci, a telewizyjne klipy informacyjne mające edukować społeczeństwo pojawiają się w mediach tak rzadko, że niektórzy uważają ich istnienie za rodzaj miejskiej legendy i w ogóle nie wierzą, że kiedykolwiek były emitowane.

Sytuację próbują ratować organizacje pozarządowe, jak ARCEN czy Stowarzyszenie na Rzecz Ograniczenia Ryzyka Sejsmicznego. Jednak ich działalność – choć godna podziwu – to kropla w morzu potrzeb. W efekcie, wedle badań prowadzonych na początku 2021 r., aż 40 proc. Rumunów deklaruje, że nie ma żadnego pojęcia, co robić, gdy zatrzęsie się ziemia. Co równie niepokojące, spora część z pozostałych 60 proc. ma błędne przekonanie o tym, co w takiej sytuacji wolno, a czego robić zdecydowanie nie należy.

Doskonale obrazuje to historia, która wydarzyła się wieczorem 3 marca 2017 r., w przededniu 40. rocznicy tamtego trzęsienia ziemi. Na kilka minut przed godziną dwudziestą ok. 200 tys. Rumunów otrzymało – za pośrednictwem jednej z popularniejszych aplikacji newsowych – wiadomość alarmową o nadchodzącym trzęsieniu o sile ➔

→ 10 stopni (sic!) w skali Richtera. W ciągu kilku sekund aplikacja ponad dziesięciokrotnie powtórzyła ten komunikat. Przerazające ostrzeżenie padło na podatny grunt: wcześniej w ciągu tego dnia telewizja i portale internetowe pełne były materiałów wspominających tragedię z 1977 r.

Niespodziewany komunikat – choć okazał się fałszywym alarmem, wynikającym z błędu serwerów – zadziałał więc na wyobraźnię i popychał przerażonych ludzi do najrozmaitszych zachowań. Wiele osób próbowało jak najszybciej opuścić swoje mieszkania i wybiec na zewnątrz, zachęcając do tego sąsiadów. Tymczasem specjaliści zdecydowanie to odradzają: ulica, otoczona wysokimi budynkami, stanowi w czasie trzęsienia śmiertelne zagrożenie dla znajdujących się na niej ludzi, pozbawionych osłony. Co gorsza, uciekający z domów utrudniali wejście do budynków tym, którzy szukali w nich schronienia – czyli tym, którzy wiedzieli, co robić w takiej sytuacji.

Jedną z tyleż zabawnych, co przerażających anegdot, które przez następne dni krążyły po internecie, był przypadek pewnego mężczyzny, który – odebrawszy wiadomość alarmową – niewiele myśląc chwycił swojego kota, zbiegł na parter i mając jak najlepsze intencje, z całą stanowczością odmawiał wstępu do bloku tym, którzy do niego uciekali. Wiele ludzi chwaliło się też w mediach społecznościowych, że udało im się zbiec z górnych pięter wieżowców w zaledwie kilkanaście sekund. Komentujący podobne wpisy eksperci kręcili z niedowierzaniem głowami, podkreślając, że schody narażone są na zawalenie w pierwszej kolejności i pod żadnym pozorem nie powinno się na nie wychodzić.

Konkluzja była prosta: gdyby wówczas doszło do prawdziwego trzęsienia ziemi, może nawet tysiące ludzi zginęłyby tylko dlatego, że nikt nie zadbał o ich przeszkolenie.

Rozmowy tylko dzień po

Kwestia ryzyka związanego z nieuchronnym trzęsieniem ziemi stanowi w Rumunii swoisty temat tabu, a władze wydają się zachowywać jak dziecko, które wierzy, że jeśli wystarczająco mocno zaciśnie powieki, to zagrożenie zniknie.

Taki sposób myślenia typowy jest jednak nie tylko dla władz, lecz również dla zdecydowanej większości społeczeństwa.

Rumuńskie podejście do zagrożenia sejsmicznego pełne jest paradoksów.

Dorota – Polka, która od 6 lat mieszka w Bukareszcie – uważa, że choć Rumuni obawiają się powtórkę z roku 1977, to lęk ten spychają głęboko w podświadomość. Nie chcą i boją się rozmawiać o zagrożeniu, w pewnym stopniu hołdując zapewne przekonaniu, że lepiej nie wywoływać wilka z lasu.

– Generalnie o trzęsieniach mówi się tylko dzień po, z pewną nutą sensacji, jeśli oczywiście było ono wystarczająco silne. Rozmowom tym zawsze towarzyszy poczucie ulgi, że nic poważniejszego tym razem się nie stało. I już. Temat umiera, aż do następnego razu – opowiada mi Dorota.

Jej zdaniem takie podejście wynika w znacznym stopniu z poczucia bezsilności. – W końcu, jak to mówią Rumuni: „*Ce sa faci? N-ai ce sa faci*”. Czyli: „Co można zrobić? Nic nie można zrobić” – tłumaczy Polka.

Myślenie takie można w pewnym stopniu zrozumieć. Uboższych mieszkańców domów „pod czerwoną kropką” zwyczajnie nie stać przecież ani na gruntowny remont, ani na przeprowadzkę w bezpieczniejsze miejsce (często zresztą świadomie wybierają zagrożone budynki, by płacić niższy czynsz). Ponieważ nie mogą zmienić rzeczywistości, starają się jej niewygodne elementy przemilczeć.

– Z drugiej strony, możemy oczywiście tłumaczyć tę znowę milczenia wokół trzęsień ziemi jakimś kulturowym tabu, traumą, poczuciem braku sprawczości i wpływu na rzeczywistość – mówi po chwili zastanowienia Dorota. – Ale czy przypadkiem w ten sposób nie idealizujemy i nie podnosimy niepotrzebnie do rangi „niezłębionej tajemnicy rumuńskiej mentalności” najwykleszej w świecie ignorancji i braku świadomości tego, co może się wydarzyć?

Istotnie, mimo deklarowanego w sondażach strachu, bukareszteńscy uparci nie chcą brać zagrożenia na poważnie i – co gorsza – zdają się nie uczyć na doświadczeniach z nieodległej przecież przeszłości.

Na własną odpowiedzialność

Dość wspomnieć tragiczny w skutkach pożar w stołecznym klubie Colectiv, który w 2015 r. pochłonął życie 64 ludzi, głównie młodych. Dla nikogo nie było tajemnicą, że do dramatu by nie doszło, gdyby nie powszechna korupcja pozwalająca właścicielom lokali na ignorowanie przepisów przeciwpożarowych.

Władze, poddane wówczas ogromnej społecznej presji, w ciągu następnych kilku tygodni doprowadziły do tymczasowego zawieszenia działalności przez niemal 200 klubów, restauracji, kin i innych obiektów publicznych w centrum Bukaresztu, uzależniając ich ponowne otwarcie od pozytywnych rezultatów inspekcji budowlanej lub wykonania remontów. Do 2017 r. większość lokali wznowiła działalność, ale nierzadko nie dzięki poprawie stanu bezpieczeństwa, lecz dzięki ignorowaniu przepisów.

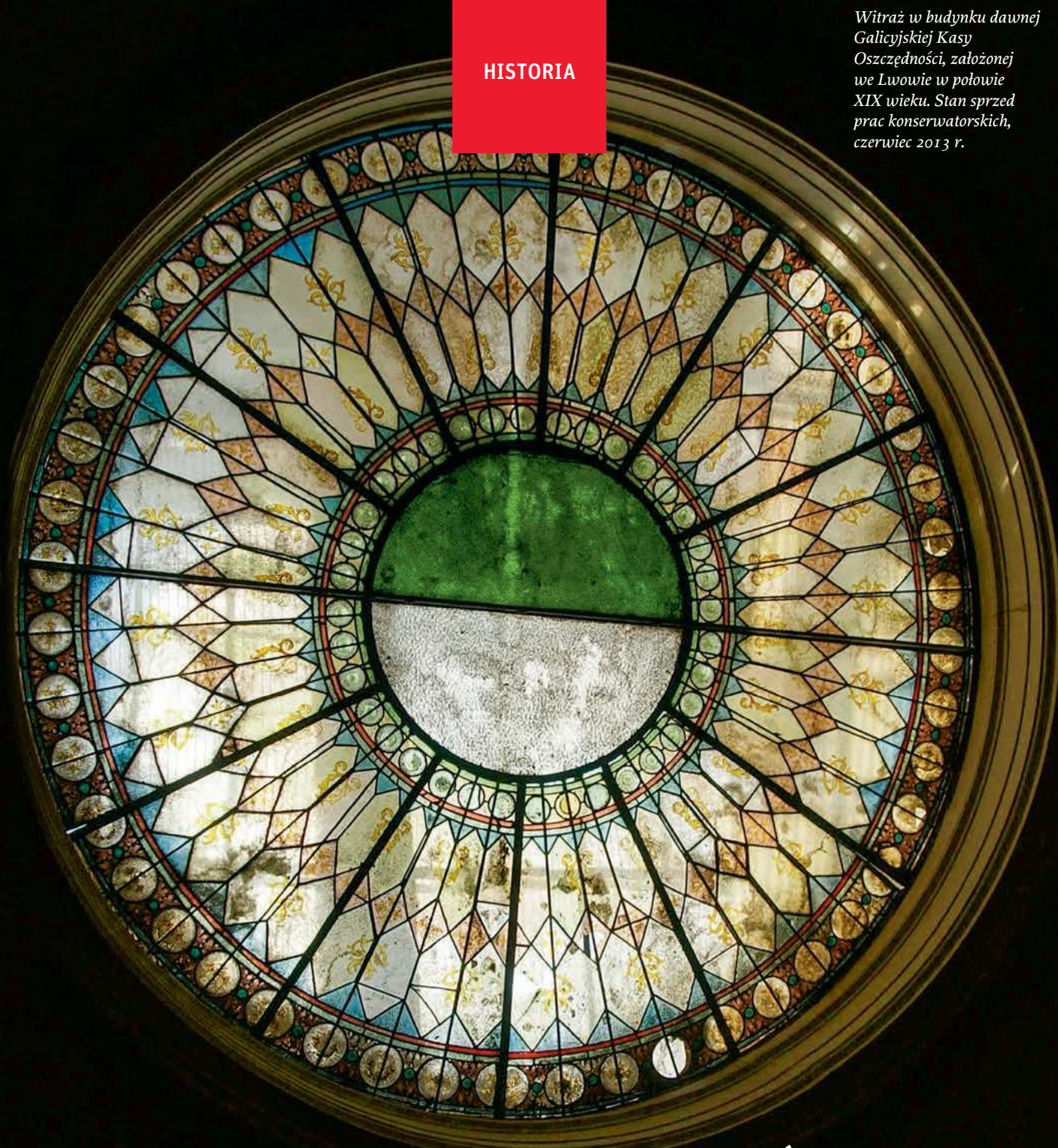
– Właściciele wywieszali po prostu przy wejściu informację, że budynek nie ma odpowiedniego zezwolenia – rozkłada ręce Dorota, dodając, że przykład idzie z góry, bo identyczną praktykę stosują także instytucje publiczne. Podobne ostrzeżenie umieszczone było swego czasu m.in. przy wejściu do gmachu Rumuńskiej Biblioteki Narodowej. W ten sposób każdy był uprzedzony, że do budynku wchodzi na własną odpowiedzialność.

Fataliści

Rumuński stosunek do zagrożenia sejsmicznego pełen jest więc paradoksów. Choć według wspomnianego sondażu aż 60 proc. obywateli obawia się trzęsienia ziemi, a prawie 90 proc. jest przekonanych, że ich miasto (sprawa nie dotyczy bowiem tylko stolicy) nie jest na nie przygotowane, to swoje mieszkania na wypadek takiego kataklizmu ubezpiecza zaledwie co piąty właściciel nieruchomości.

Jednocześnie ci, którzy – zgodnie z zaleceniami służb – mają zawsze przy łóżku gotowy plecak z niezbędnym ekwipunkiem (latarka, radio, woda itd.), uważani są w społeczeństwie dość powszechnie za paranoików i stawiani w jednym rzędzie np. z przeciwnikami szczepień.

Zapytany o lekceważenie zagrożenia, Horia, student z Bukaresztu, wzrusza ramionami: – A co innego mamy robić? Jaki jest sens przygotowywać się na coś, przed czym nawet nikt nie zdoła cię ostrzec? Sam powiedz, co można zrobić w te marne 25 sekund? © KAMIL CAŁUS



HISTORIA

Witraż w budynku dawnej
Galicyjskiej Kasy
Oszczędności, założonej
we Lwowie w połowie
XIX wieku. Stan sprzed
prac konserwatorskich,
czerwiec 2013 r.

RATOWANIE KROPLÓWKĄ

MICHAŁ LASZCZKOWSKI, PREZES FUNDACJI DZIEDZICTWA KULTUROWEGO:

Gdy słyszę pytanie, co powinno się zmienić w polskiej polityce wobec dziedzictwa dawnej Rzeczypospolitej na Wschodzie, odpowiadam zawsze: powinno być więcej środków.

→ **WOJCIECH KONOŃCZUK, PIOTR KOSIEWSKI:** Czy Polska poradziła sobie z ochroną swojego dziedzictwa na Wschodzie?

MICHAŁ LASZCZKOWSKI: Jeśli zobaczymy, ile zabytków udało się uratować za polskie pieniądze publiczne, to ten bilans jest bardzo niekorzystny. W ciągu 30 lat podjęto prace tylko przy kilkunastu dużych obiektach i kilkadziesiąt mniejszych. Trzeba jednak pamiętać, że w latach 90. XX w. zabytki na Wschodzie nie były sprawą pierwszej potrzeby ani dla Polski, ani dla Białorusi czy Ukrainy.

Jak ocenia Pan stan zachowania zabytków w chwili upadku Związku Sowieckiego i jak wygląda on obecnie?

Wiele z nich przez kilkadziesiąt lat nie miało właścicieli i przetrwało w stanie agonalnym. Paradoksalnie niepodległość Ukrainy i Białorusi często nie hamowała procesu destrukcji, lecz go przyspieszała, bo niejednokrotnie likwidacji ulegały instytucje, które dotąd mieściły się w zabytkowych pomieszczeniach. Poza tym wciąż nie wiemy, co dokładnie przetrwało.

Zabrakło kompleksowej inwentaryzacji?

W wielu przypadkach nie zrobiliśmy jej na czas. Przed rokiem 1989 nie było to możliwe, a później zwykle brakowało pieniędzy. W latach 90. na całe dziedzictwo za granicą Polska wydawała około miliona złotych rocznie. Obecnie ta suma wzrosła do ok. 20 mln zł, głównie dzięki znaczącemu zwiększeniu nakładów finansowych w ciągu ostatnich pięciu lat. Większość tych środków trafia na Ukrainę i Białoruś.

A co po 1989 r. udało się zrobić?

Bilans jest niejednoznaczny. Nadal jest źle, ale nie beznadziejnie. Mówiłem o kilkadziesiąt uratowanych obiektach. Bardzo ważne jest, że udało się nawiązać polsko-ukraińską współpracę konserwatorską. Obecnie wszystkie prace na Wschodzie prowadzone są we wspólnych zespołach polsko-ukraińskich lub polsko-białoruskich. Nasi sąsiedzi mają słabo rozwiniętą edukację konserwatorską, a dzięki współpracy z polskimi konserwatorami mogą uczyć się od najlepszych. Są też różne stypendia dla nich, m.in. „Gaude Polonia”. I przede wszystkim teraz trzeba ratować to, co jeszcze możliwe.

W końcu 2017 r. powstał Narodowy Instytut Polskiego Dziedzictwa Kulturowego za Granicą Polonika. Jak to wpłynęło na opiekę nad położonymi poza krajem zabytkami?

Za wielki sukces Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, a także ośbiście w to zaangażowanego Piotra Glińskiego uważam powołanie pierwszej tego typu instytucji publicznej mogącej działać poza granicami. Wcześniej nie mieliśmy takiej szansy. Umożliwia ona prowadzenie prac wieloletnich i przy dużych obiektach. To powinno przyspieszyć konserwację.

Jak wyglądał model prac konserwatorskich na Wschodzie po 1989 r.?

Konserwacja jest dziedziną artystyczną bardzo kosztowną, czasochłonną i wykonywaną przez wykwalifikowanych specjalistów. Tymczasem programy dotacyjne ministra kultury dla polskich organizacji dotyczyły okresów rocznych. Zwykle w marcu-kwietniu dowiadywa-

liśmy się, ile mamy pieniędzy do wydania do końca roku. A co, gdy trzeba zakupić np. sezonowane drewno, aby za dwa lata przystąpić do prac restauratorskich? Także dlatego „rynek” konserwatorów działających na Wschodzie jest ograniczony. Nie każdy ma samozaparcie, aby działać w takich warunkach.

Problemem jest brak finansowania wieloletniego?

Tak. W tej sytuacji to nic dziwnego, że np. prace przy kolegiacie w Żółkwi trwają od 30 lat, a przy kościele św. Mikołaja w Kamieńcu Podolskim od 20 lat. I wciąż nie są zakończone.

W jakim stopniu polskie projekty konserwatorskie na Wschodzie angażują miejscowych konserwatorów?

Co do zasady kierownikami prac są Polacy, jako bardziej doświadczeni. W naszych projektach 40 proc. konserwatorów to Polacy, a 60 proc. to Ukraińcy czy Białorusini. Staramy się dowiadywać, kto kończy np. Akademię Sztuk Pięknych czy konserwację na Politechnice Lwowskiej, i najlepszych zapraszamy do współpracy. W wielu przypadkach trwa ona już kilka lat.

Czy pojawiły się środki miejscowe, które współfinansowałyby realizowane tam polskie projekty?

Bazujemy na polskich środkach publicznych, ale pojawiają się sporadyczne próby. Np. władze obwodu wołyńskiego wydzieliły środki na przygotowanie programu konserwatorskiego. Niestety z powodów proceduralnych to się nie udało. Gdy prowadziliśmy prace przy jednym

FUNDACJA DZIEDZICTWA KULTUROWEGO

to jedna z największych polskich organizacji pozarządowych, prowadzących prace konserwatorskie przy obiektach polskiego dziedzictwa za granicą – tych pamiętających czasy przedrozbiorowej Rzeczypospolitej Wielu Narodów, i tych późniejszych z wieku XIX oraz pierwszej połowy wieku XX.



Michał Laszczkowski

W ciągu niemal dekady swojej działalności zrealizowała kilkadziesiąt projektów o łącznej

wartości 25 mln zł, w większości na Ukrainie. Do czołowych projektów fundacji należą trwające nadal prace przy kolegiacie w Olyce na Wołyniu, kościele św. Mikołaja w Kamieńcu Podolskim i na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie. Na Białorusi prowadziła prace m.in. przy farze Witoldowej w Nowogródku, na Łotwie przy kościele Wniebowzięcia NMP w Przydrujsku, a we Francji przy szeregach polskich

nagrobków. Środki na swoją działalność fundacja pozyskuje m.in. z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Instytutu Polonika oraz Senatu RP. W Polsce fundacja prowadzi – we współpracy z gminą żydowską – prace na cmentarzu żydowskim w Warszawie. Na jego odnowienie otrzymała w 2017 r. na drodze ustawy fundusz żelazny w wysokości 100 mln zł.



XVII-wieczna kolegiata w Olyce na Wołyniu, stan z 2013 r.

z ukraińskich nagrobków na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie, to padła propozycja współfinansowania ich przez stronę ukraińską.

Jaki jest stosunek władz białoruskich i ukraińskich do zabytków? Czy są tu jakieś różnice w podejściu?

Na Białorusi wszystko musi być zatwierdzone na najwyższym szczeblu, inaczej nic się nie wydarzy. Na Ukrainie jest odwrotnie: wiele zależy od nastawienia władz lokalnych. Ale chcę podkreślić, że od prawie 10 lat pracujemy na Ukrainie i nigdy nie spotkaliśmy się z niechęcią, ale zwykle z poparciem. Czasami samorządy ukraińskie zgłaszają się do nas z propozycją wykonania jakichś prac. Na Białorusi uczestniczyłem w przygotowaniu projektu renowacji dworu Rejtanów w Hruszówce. Widać było dumę Białorusinów, że Tadeusz Rejtan związany był z tą miejscowością.

A czy na Ukrainie i Białorusi zmienia się podejście do polskiego dziedzictwa?

Białorusini i Ukraińcy coraz częściej podchodzą do tego dziedzictwa jako do-

bra wspólnego. Wcześniej dawne polskie zabytki nie zawsze były traktowane jako ich własne dziedzictwo. A powinno nam przecież zależeć, żeby mieszkańcy tamtych ziem uznali je za takie i o nie dbali. Zaczynają także dostrzegać, że zabytki mogą generować zyski z turystyki. To ważna zmiana.

Jakie są dziś główne problemy w działalności konserwatorskiej na Wschodzie?

Poza epidemią i związanymi z nią kłopotami z przekraczaniem granicy, dużym problemem jest brak tam profesjonalnej służby konserwatorskiej. To sprawia, że przepisy i zakres ochrony często są dla nas niejasne.

Polskie wsparcie konserwatorskie skupiało się na dużych obiektach, a prace trwają bardzo długo.

Obiekty te ratowane są swoistą kropłówką – co jakiś czas przekazywane →

POŻEGNANIE

Ani Pawlikowskiej

składamy wyrazy najszczerzego współczucia
z powodu śmierci męża

ś.†p.

Kaspra Pawlikowskiego

PRZYJACIELE Z „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

→ są środki na różne etapy prac. Żaden z nich nie był restaurowany kompleksowo. Np. kolegiata w Żółkwi: w 2023 r. skończymy konserwację zewnętrznego fryzu, a pracujemy nad nim od pięciu lat. Wtedy konieczny będzie przegląd stanu drewnianych ołtarzy, konserwowanych na początku lat 90. Z kolei renowacja katedry łacińskiej we Lwowie, z niezwykle cennym wyposażeniem, kosztowała dotąd kilka milionów złotych, ale nadal wymaga prac. W ubiegłym roku konserwowaliśmy rzeźby z ogrodzenia, a Instytut Polonika przygotowuje renowację organów i malowideł. Nie zaczęto jeszcze prac w kilku kaplicach bocznych. Porównajmy skalę działania: w Polsce 80 mln zł kosztowała konserwacja pałacu w Łańcutcie, a 16 mln zł – ołtarza Wita Stwosza w Krakowie.

Jest jeszcze wspomniany już wielki cmentarz Łyczakowski...

Tam znajduje się kilkanaście tysięcy obiektów, z których większość wymaga konserwacji. Każde pieniądze zostaną tam wykorzystane. Jak na każdym dużym zabytkowym cmentarzu, konserwacja na Łyczakowie nigdy się nie skończy, nawet przy znaczących środkach.

Od kilku lat pracujecie też przy XVII-wiecznej radziwiłłowskiej kolegiacie w Ołtce na Wołyniu, niezwykle cennym obiekcie, który jeszcze niedawno groził zawaleniem.

Pierwszy raz byłem tam w 2012 r. Zaskoczyła mnie jego wielkość i fasada, niczym w rzymskich kościołach. Nawet nie sądziłem, że tego się podejmiemy! Po roku ekspertyzy pokazały nam, jak dramatyczny jest stan świątyni. Na szczęście miała dach, co ją uratowało. Pamiętam, że nieżyjący już dyrektor Jacek Miller z MKiDN mówił, że porywamy się z motyką na słońce. Ale dzięki odrobinie brawury po ośmiu latach prawie zakończyliśmy konserwację zewnętrznych ścian i przygotowujemy się do prac we wnętrzu.

Co zostanie zrobione?

Okazuje się, że wiele z wyposażenia udało się ocalić. Przychodzą do nas mieszkańcy i przynoszą to, co przechowali w domu. Mamy materiał ikonograficzny, który pozwoli na rekonstrukcję wnętrza, ale ostateczną decyzję podejmą komisje eksperckie. A czas prac będzie za-



U góry: płaskorzeźba w murze otaczającym dawny zespół szpitala św. Łazarza we Lwowie (szpital ten powstał w 1618 r.). U dołu: jeden z grobowców na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie (cmentarz założono w 1786 r.). Stan sprzed i po pracach konserwatorskich.

leżeć od dostępności środków, szacujemy je na co najmniej 8 mln zł. To jeden z największych polskich projektów konserwatorskich za granicą, na który już wydano ok. 5 mln zł.

Jakie są kryteria wyboru obiektów do odnowienia?

W Ołtce to był zachwyt, a kościół św. Mikołaja w Kamieńcu Podolskim to przypadek. Do Kamieńca pojechałem jeszcze jako student, na pierwszy w życiu wolontariat na Ukrainie, aby po latach wrócić tam już jako organizator prac konserwatorskich. Ważne są działania przy pomnikowych obiektach, ale staramy się być też w mniejszych miejscowościach, gdzie są cenne zabytki, jak Złoczów czy Krzemieniec. Reakcja na miejscu na ich odnowienie jest ogromna. Mało kto się spodziewał, że przyjadą Polacy, aby coś tutaj przywrócić do świetności.

Co powinno się zmienić organizacyjnie i finansowo w polskiej polityce wobec dziedzictwa na Wschodzie?

Zdecydowanie powinno być więcej środków. Gdyby Polonika miała większy budżet, mogłaby działać na większą skalę.

W ostatnich miesiącach są sygnały, że Ukraina może wreszcie znaleźć większe środki na zabytki. Pojawił się zarys programu „Wielka konserwacja”, który w ciągu czterech lat miałby objąć 150 obiektów.

Choć on jest jeszcze w powijakach, rozpała ogromne emocje. Podobno na liście ma być zamek Radziwiłłów w Ołtce, co daje szansę na całociową rewitalizację tej miejscowości. Ważne jednak, aby prowadzić prace w sposób profesjonalny.

Pojawia się tu kwestia dostępności konserwatorów, których na Ukrainie brakuje.

Widzę w tym zagrożenie, ale mam nadzieję, że za programem rządu ukraińskiego stoi głębsza myśl. Że to będzie prawdziwa reforma, a nie jej pozory. Cztery lata to byłoby bardzo szybkie tempo. Praca przy dużych obiektach wymaga choćby poważnych badań przed rozpoczęciem prac.

Na Wschodzie Pana fundacja ratuje polskie dziedzictwo, w Polsce pracuje głównie przy obiektach związanych z mniejszościami narodowymi: na cmentarzach żydowskich czy cmentarzu tatarskim w Bohonikach.

Dziedzictwo trudno rozgraniczyć, bo ono jest dziełem różnych narodów, które tworzyły dawną Rzeczpospolitą. Staramy się zajmować tym, co jeszcze nie jest odkryte lub czym nikt się nie zaopiekował. Bliska jest mi kategoria wspólnego dziedzictwa. Często to też jedyna możliwość, aby te obiekty przetrwały.

Klimat polityczny nie zawsze sprzyja podobnemu myśleniu.

Zawsze najgłośniejsze opinie najbardziej radykalne, a te często są marginesem.

Jakie widzi Pan problemy z zachowaniem dziedzictwa w wymiarze lokalnym tu w Polsce?

Mam pozytywne doświadczenie kontaktów z lokalnymi organizacjami i samorządami. Dlatego powołaliśmy koalicję opiekunów cmentarzy żydowskich w Polsce, skupiającą tych, którzy zajmują się nimi lub chcą się nimi opiekować. Na terenie Polski mamy 1200 cmentarzy żydowskich, z tego 800 przetrwało w formie nieprzekształconej trwale. W ostatnich latach 120 cmentarzy porządkowano wolontariacko. Chcemy wspierać tę aktywność. Polaków coraz bardziej interesuje to, co dookoła nich. Rezonans takich działań jest wielki.

Jakie są reakcje władz lokalnych?

Często wójt czy burmistrz wie, że ma na swoim terenie cmentarz żydowski, i chciałby się nim zająć. Jest jednak lęk przed konkretnymi działaniami. Wiadomo, że tych cmentarzy z powodów religijnych nie można naruszać. Niektórzy w tej sytuacji wolą nic nie robić. A przecież jest komisja rabiniczna ds. cmentarzy, która udziela stosownych porad.

O PROBLEMIE POLSKIEGO DZIEDZICTWA KULTUROWEGO NA WSCHODZIE

opowiada raport Ośrodka Studiów Wschodnich z 2020 r. pt. „Zagrożone dziedzictwo. Polskie dobra kultury na Ukrainie i Białorusi”, autorstwa Wojciecha Konończuka i Piotra Kosiewskiego (dostępny na stronie internetowej: www.osw.waw.pl). Jest to pierwsza próba całościowego spojrzenia na tę problematykę, szerokiego pokazania stanu zachowania zabytków związanych z dawną Rzeczpospolitą, zaangażowania państwa polskiego w ich ratowanie po 1989 r., a także polityki Kijowa i Mińska wobec tej spuścizny. Na temat zabytków dawnej Rzeczypospolitej, znajdujących się dziś na Ukrainie i Białorusi, pisaliśmy także w „TP” nr 20/2020.

Wasz największy projekt to cmentarz żydowski przy ul. Okopowej w Warszawie.

To największy w Polsce cmentarz żydowski pod względem liczby zachowanych nagrobków: prawie 100 tys. obiektów na 33 hektarach dżungli, która wyrosła tam po 1945 r. To także niemal jedyny materialny ślad życia Żydów warszawskich, do niedawna zupełnie nieodkryty. Przez dziesięciolecia spadały liście, nikt ich nie grabił, powstawały kolejne warstwy, które przykryły wiele nagrobków.

Co było największym zaskoczeniem przy pracach?

Pod warstwami ziemi jest wielka historia, nieopisana na razie w żadnym przewodniku. Stopniowo odkrywamy kolejne tajemnice. Gdy idziemy na cmentarz żydowski, raczej nie spodziewamy się, że odkryjemy pochówki powstańców listopadowych i styczniowych, żołnierzy z walk o niepodległość, działaczy Solidarności itd. Ten cmentarz pokazuje całą złożoną historię polsko-żydowską. Bez tego fragmentu opowieści nasza historia nigdy nie będzie pełna. Są tam pochowani np. wydawca pierwszej nowoczesnej encyklopedii Samuel Orgelbrand, skarbnik rządu narodowego w powstaniu styczniowym Henryk Wohl czy współtwórca adwokat polskiej po 1918 r. Zygmunt Tykociner. Takich biografii są tam tysiące.

Skąd środki na te działania?

Początkowo we współpracy z gminą żydowską zaczęliśmy prowadzić prace wolontariackie. W 2017 r. państwo polskie przekazało naszej fundacji 100 mln zł jako fundusz żelazny. W Polsce to rzadkie rozwiązanie, zastosowane m.in. w przypadku Fundacji Auschwitz-Birkenau. Pieniądze są inwestowane, a zyski przeznaczamy na konserwację nagrobków na cmentarzu żydowskim.

Model funduszu żelaznego jest ciekawy, ale sama forma przyznania tak znaczących środków publicznych bez konkursu jednej organizacji może budzić wątpliwości.

Rozumiem wątpliwości co do okoliczności, w jakich ten fundusz powstał. Środki przyznał jednak parlament. Ustawę w tej sprawie poparło 416 na 426 posłów, którzy uczestniczyli w głosowaniu. Wiadomo było, że instytucje publiczne nie mogą zarządzać funduszem żelaznym. Zarazem nie ma wielu organizacji pozarządowych z tego sektora, które mają do tego potencjał.

W przypadku cmentarza żydowskiego same środki sprawy nie załatwią. Potrzebny jest czas.

To projekt na długie lata, bo to jeden z pięciu najważniejszych, ale i największych polskich cmentarzy. Prace konserwatorskie są żmudne. Chcielibyśmy działać szybko, ale często się nie da. Nie można sprowadzić koparek do usuwania ziemi, trzeba to robić ręcznie. I każdy miesiąc przynosi niezwykle odkrycia. Niedawno odkryliśmy pozostałości dwóch oheli, czyli żydowskich grobowców wznoszonych nad grobami cadyków. Nie jedynych.

Ważna jest też edukacja. Często mieszkańcy polskich miast nie zdają sobie sprawy, że ich miejscowości były ważnymi żydowskimi ośrodkami religijnymi, w których rezydowali istotni przywódcy duchowi. Chciałbym, aby odkrywali te historie. Na cmentarzu przy ul. Okopowej pochowanych jest kilkudziesięciu cadyków z terenu Polski i obecnej Białorusi. Marzy mi się projekt, że burmistrzowie miejscowości, w których mieszkali ci pochowani, przyjadą i sfotografują się przy ohelach „swoich” cadyków.

© Rozmawiali PIOTR KOSIEWSKI
i WOJCIECH KONOŃCZUK

HANNA

Krall:

Ktoś inny



SZANOWNI PANOWIE STRAŻACY!

Brygadierzy starsi i młodszy, nadbrygadierzy, może nawet generałowie.

Będzie rocznica.

Okrągła: czterdzieści lat.

Uroczyscie będzie.

Przemówienia, goście, stół prezydialny. Za stołem dawny związkowy działacz i kobieta, która była ranna. Nic groźnego, szyby i rozbite szkło, ale zabrali ją do swojego szpitala. Poszliście w kilku, z ludźmi z Huty i FSO, lekarz nie stawiał oporu. Nazwano to nieco szumnie odbiciem rannej.

Odbicie zarządził człowiek z regionu Mazowsze. Ten, który odradzał wam strajk.

Mówił – jesteście wojskową uczelnią, może być gorąco, może połać się krew. Nie strajkujcie.

Poprosiliście, żeby opuścić aulę.

Wyszedł.

Czekał na korytarzu. Modlił się. Prosił Boga, żeby nie było strajku. Dosyć rozlewu krwi w naszej historii, przekonywał, ale i Bóg, i studenci byli innego zdania.

Po północy otworzyły się drzwi.

Było głosowanie, będzie strajk.

Wysoki, z bródką, grzywką, w dzinsach i szarym swetrze. Już pamiętacie?

Był z wami przez cały czas.

Nie chciał strajku, ale był z wami.

Krzyż, spowiedź, ksiądz Popiełuszko. Żadnych gitar, brama zamknięta, jak śpiew, to „Jeszcze Polska”. Strajk to strajk.

(Po porwaniu księdza będzie czuwał w kościele z nocną strażą. Po śmierci dopilnuje cegieł na grób. Cegły mogą być różne, mogą nawet wybuchnąć i grób rozwalić).

Przyjechali nad ranem, ciężarówkami. ZOMO, antyterrorysty i jednostki specjalne. Atak na bramę, helikoptery nad dachem, po linach, przez okna, przez drzwi, tu pot biegnących nóg...

Wszyscy do auli. Siadamy. Hymn. Nie stawiamy oporu. Koniec strajku.

Stan wojenny. Podziemne struktury Solidarności – i ucieczki. To Podhale, u dawnej łączniczki „Ognia”, to Gdańsk albo Warszawa.

Sceny jak z kina akcji. Podwórka, dworzec (dworce są pierwszorzędne do uciekania). Przez peron, przez tory,

do góry, na dół, jednak do góry, tramwajem, jakiś płot, jakieś wykopy, płot za wysoki, wykopy za głębokie, cztery samochody, w każdym po czterech, szesnastu razem, no, niestety.

Więzienie.

Cela z kryminalnymi, prycza pod oknem, od okna wieje.

Modlił się. Najbardziej, żeby mrozu nie było. Poza tym uczył się francuskiego z samouczka.

Est-ce que le ciel est bleu?

Oui, le ciel est bleu.

Est-ce que le monde est beau?

Oui, le monde est beau.

Est beau... powtarzał sobie. Est beau...

Że co? pytali kryminalni.

Że nic. Że świat jest piękny.

I żona była piękna – duże oczy, włosy do pasa. Piękny głos, koloratura. Maria Fołtyn proponowała jej chór. Nie chciała do chóru. Chciała być solistką i śpiewać w operze. Pojechała do Wiednia kształcić głos.

Rozwód.

Najgorsze było, że oszukiwał.

Synów. Żonę. Swoich profesorów, swoich studentów, strażaków na strajku, przyjaciół z Solidarności. Wszystkich. Cały świat.

Myśleli, że jest mężczyzną.

Nie wyprowadzał ich z błędu.

Kłamał.

Miał męskie ciało, ale był kobietą.

Jak długo można ze wstrętem patrzeć na swoje ciało. Oglądać w lustrze zniechęconą twarz.

Chciał umrzeć.

Synowie nie powinni mieć ojca samobójcy. Postanowił upozorować wypadek. Miał kilka pomysłów, najlepsza była Wisła. Mógłby spaść z mostu samochodem, mógłby wjechać do rzeki... Wszystko jedno. Chciał umrzeć.

Ukląkł przed ikoną Matki Włodzimierskiej. Żeby się zwierzyć. Żeby prosić o przebaczenie.

Coś się z nim stało. Nie potrafił tego racjonalnie wytłumaczyć. Chociaż ma taki ścisły umysł – fizyka i inżyniera.

Tyle rzeczy rozumiał i umiał zmierzyć. Szyny kolejowe w ruchu, wilgotność gruntu neutronami, a nawet podwójne układy ciał niebieskich.

Co stało się przed ikoną włodzimierską – nie zrozumiał.

Poza jednym:

kazano mu żyć.

Operacja trwała dwanaście godzin.

Była rocznica strajku.

Powitania, przemówienia i stół prezydialny.

Nikt jej nie przywitał.

Nikt nie zaprosił.

Poszła i tak, i usiadła naprzeciw stołu. Naprzeciw kobiety, którą wyciągnęła ze szpitala. Spojrzały na siebie.

Kobieta podniosła się i wyszła z sali. Nie wróciła, podobno zasłabła.

Za stołem siedział dawny działacz Solidarności.

To ja, dlaczego się ze mną nie witasz? spytała, kiedy mi ją już bez słowa.

To nie ty, odpowiedział.

To ja, upierała się. Razem na strajku byliśmy. Ja nie umarłam.

Nigdzie z tobą nie byłem. Nie ma cię, rozumiesz? Kimś innym jesteś.

Kimś innym powtórzył dobitnie, głośno, kilka razy.

Nie chcą jej i nie chcą tych nielicznych, którzy ją akceptują.

Jakby inność była zaraźliwą chorobą.

Upiera się.

Mówi, że jest.

Na dowód, że jest, wyjmuję z plastikowej torebki małe czerwone pudełeczko. Otwiera. Wyjmuje medale, ordery i krzyże zasługi. Do tego legitymacje, z imieniem i nazwiskiem, JEJ imieniem, proszę bardzo.

Nie szkodzi. Ordery mogą być, a jej nie ma.

Dawna żona przyjeżdża do synów.

Nadal ma piękny głos i kocha Gershwiną.

*...your daddy's rich
your mamma's good lookin'
Wasz tata jest bogaty
a mama piękna...
Któregoś ranka
wstaniesz ze śpiwem
rozłożysz skrzydła
i ulecisz w niebo...*

śpiewa żona, której nie udało się, niestety, zrobić kariery w operze wiedeńskiej.

Panowie Strażacy,

będzie rocznica i ona przyjdzie.

Nie robi na was wrażenia jej metr osiemdziesiąt pięć, jej niski głos i duże ręce.

Nie zgorszycie się innością.

Nie zasłabniecie jak dawna przyjaciółka i nie miniecie jej bez słowa jak dawny działacz.

Będziecie wiedzieli – wtedy była i jest dzisiaj. Tu jest jej miejsce.

Może nawet za prezydialnym stołem.

Strajk w Wyższej Oficerskiej Szkole Pożarniczej trwał osiem dni, od 25 listopada do 2 grudnia 1981.

Bohaterką tekstu jest Ewa Hołuszko.

©

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**Podkast
Powszechny**

Zapraszamy do słuchania autorskich cyklów podkastów „Tygodnika Powszechnego”

Własny pokój

rozmowy Katarzyny Kubisiowskiej
o kobiecej niezależności

#DOM

rozmowy Krzysztofa Storego
o małej ojczyźnie

Miesiąc w nauce

z autorskim przeglądem newsów
naukowych Łukasza Lamży

Punkt zwrotny

Katarzyna Kubisiowska i jej goście

Opowieści z Izraela

korespondencje
Karoliny Przewrockiej-Aderet

Sztuka powszechnie nieznana

Magdalena Łanuszka odkrywa dla nas
na nowo średniowieczne dzieła

weź, słuchaj!

Więcej na powszech.net/podkast



SALESmanago
marketing automation

RODZINNE ŻYCIE DINOZAUROW

Ich świat nie był bezpiecznym miejscem dla gatunków o małych rozmiarach. Być może dlatego niektóre dinozaury zaczęły się troszczyć o swoje potomstwo.

MARTA ALICJA TRZECIAK

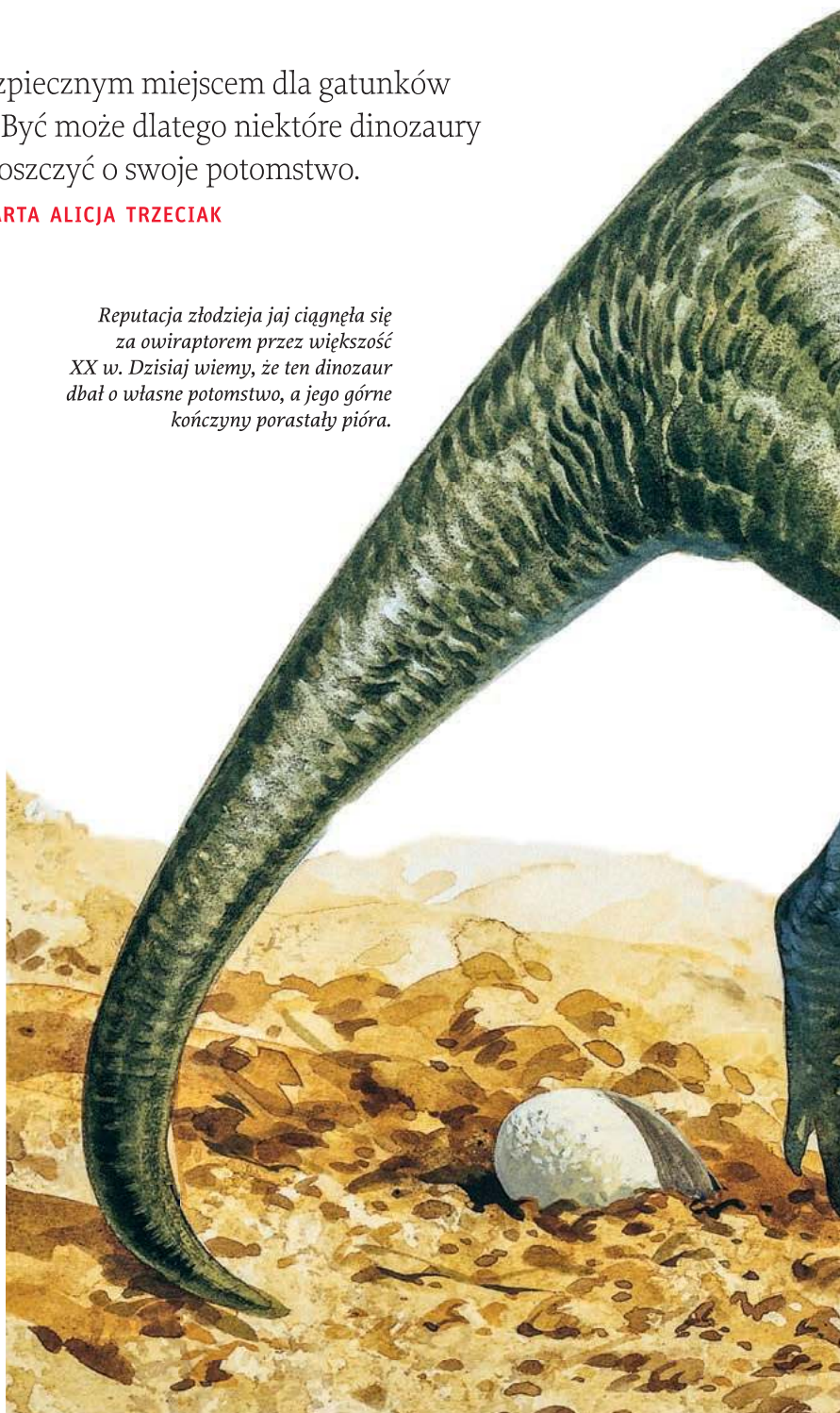
OWIRAPTORY TO BYĆ MOŻE NAJBARDZIEJ NIESprawiedliwie ocenione dinozaury w historii paleontologii. Te niewielkie (ważące mniej niż 40 kg), opierzone, dwunożne gady żyły ok. 70-80 milionów lat temu m.in. na terenach współczesnej Mongolii. Ich nazwa rodzajowa *Oviraptor* oznacza „kradnący jaja”, a epitet gatunkowy *philoceratops* – „lubiący ceratopsy”. Dinozaur ten został nazwany złodziejem jaj tylko dlatego, że na jego pierwszą odkrytą skamieniałość składała się zmiażdżona czaszka, która znajdowała się na szczycie gniazda wypełnionego jajami – jak sądzono – należącymi do *protoceratopsa*. Przypuszczano więc, że owiraptor próbował pożreć jaja swojego odległego kuzyna i został przez niego zabity.

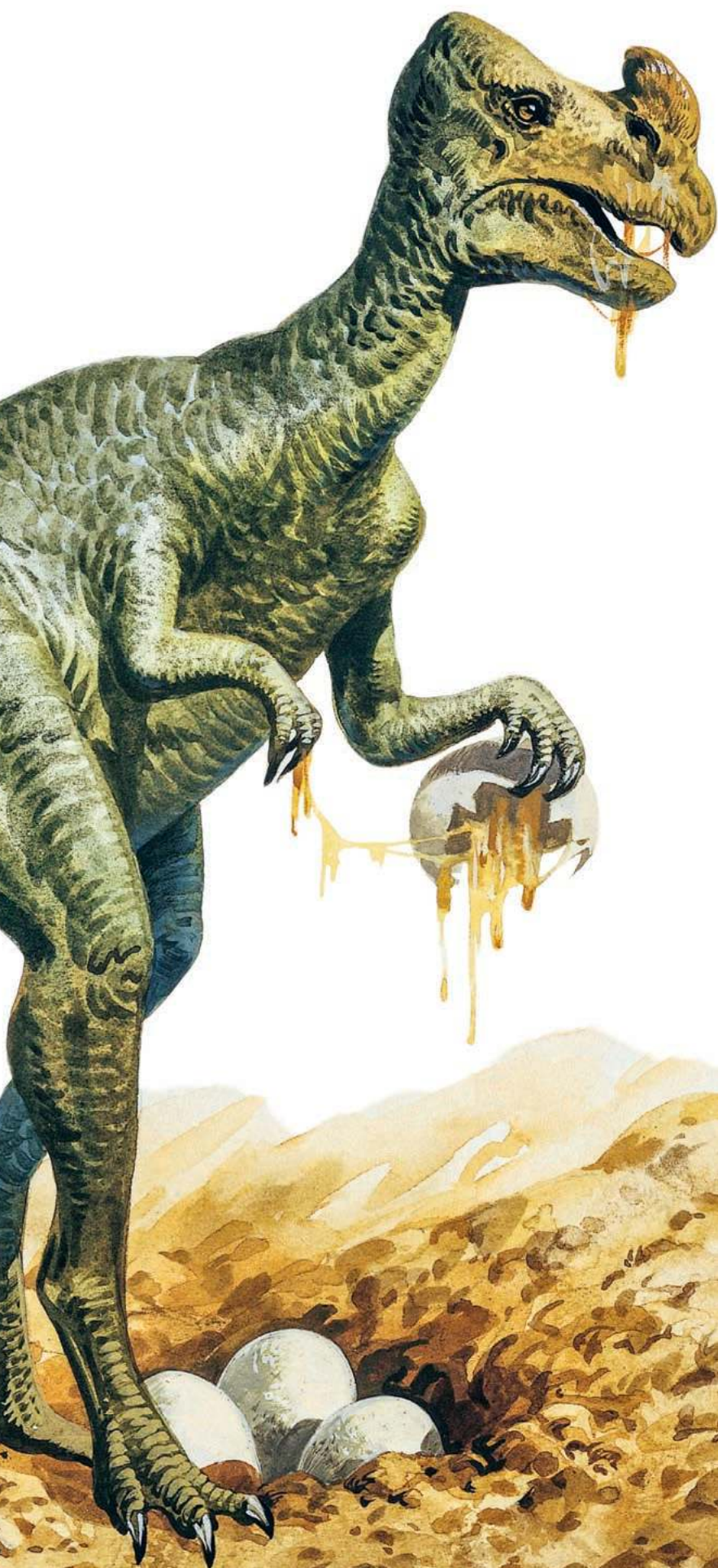
Podejrzana reputacja ciągnęła się za „złodziejem jaj” przez niemal siedem dekad. Co ciekawe, w 1923 r., gdy po raz pierwszy znaleziono skamieniałość owiraptora, paleontolodzy nie wiedzieli jeszcze, jak wyglądają jaja większości dinozaurów – w tym jaja samego owiraptora. Mimo to zakładano, że zwierzę znalezione w gnieździe jaja kradło, a nie wysiadywało. W przypadku kręgowców opieka rodzicielska zdawała się wówczas być zachowaniem zarezerwowanym dla ewolucyjnie młodszych stworzeń, o bardziej rozwiniętych mózgach – przede wszystkim ptaków i ssaków.

Zamrożone zachowanie

Dopiero w latach 90. XX w. owiraptory zostały oczyszczone z zarzutów. Stało się to za sprawą ekspedycji naukowej, w czasie której

Reputacja złodzieja jaj ciągnęła się za owiraptorem przez większość XX w. Dzisiaj wiemy, że ten dinozaur dbał o własne potomstwo, a jego górne kończyny porastały pióra.





DEAGOSTINI / UIG / EAST NEWS

odnaleziono takie same jaja jak te, przy których została odkryta pierwsza czaszka tego dinozaura. Tym razem w jajach zachowały się jednak embriony małych dinozaurów. Wyglądały jak małe owiraptory. Naukowcy zrozumieli więc, że kilka dekad wcześniej popełniono błąd. Owiraptor nie kradł jaj innych dinozaurów, lecz prawdopodobnie dbał o własne. Kolejne odkrywane skamieniałości potwierdzały taki wniosek – wyglądało na to, że śmierć często przychodziła po „złodziei jaj”, gdy strzegły one lęgu.

Jednak jak bardzo owiraptory angażowały się w opiekę rodzicielską? Czy dinozaur ten pilnował lęgu i dbał o gniazdo, jak czynią to najbliżsi żyjący kuzyni dinozaurów, krokodyle, czy też aktywnie ogrzewał lęg swoim ciałem, jak współcześnie żyjące dinozaury – ptaki? A może skamieniałości pozostawiły jednak mimo wszystko osobniki, które po prostu przechodziły w pobliżu jaj, ale zbytnio się nimi nie interesowały? Pytania te są istotne, bowiem dotyczą ewolucyjnych korzeni opieki rodzicielskiej – najbardziej podstawowej formy altruizmu spotykanej w przyrodzie.

Odpowiedzi przyniósł opublikowany kilka miesięcy temu przez Shundonga Bi i współpracowników w „Science Bulletin” raport z wykopalisk przeprowadzonych w Chinach. Odnaleziono wówczas skamieniałość, w skład której wchodził świetnie zachowany szkielet dorosłego owiraptora siedzącego na ponad dwudziestu jajach. Co więcej: przynajmniej siedem z nich zawierało w pełni uformowane młode osobniki, które – jak uważają autorzy znaleziska – były o krok od wyklucia. Owiraptor nie siedział na gnieździe w przypadkowy sposób. Został utrwalony w dokładnie takiej samej pozycji, w jakiej współczesne ptaki nie-łoty inkubują jaja: z podbrzuszem przylegającym do lęgu, tylnymi kończynami podkulonymi, a przednimi rozłożonymi jak dwa wachlarze (przypomnijmy – owiraptor miał pióra) nad gniazdem.

W tym przypadku mamy więc bezspornie do czynienia z dorosłym owiraptorem, który wysiadywał swoje jaja. Odnaleziona przez chińskich badaczy skamieniałość należy do najrzadszych i najcenniejszych – określić ją można jako „zamrożony behavior”. Ciało zwierzęcia zostało utrwalone podczas wykonywania konkretnej czynności, co daje nam bezpośrednią wiedzę na temat jego zwyczajów. Większość skamieniałości zwierząt nie niesie bogatych informacji o zachowaniu – co skazuje nas na spekulacje.

Przez długi czas nie mogliśmy być nawet pewni, czy wszystkie dinozaury składały jaja. Oczywiście, wiele za tym przemawiało: ➔

→ wszystkie gady oraz ptaki rozmnażają się w ten sposób, ale faktem jest, że do lat 80. XX w. znajdowano bardzo niewiele jaj dinozaurów. Kiedy w latach 20. po raz pierwszy odkryto skamieniałość jaj (wspomniany już łęg przypisany protoceratopsowi), niektórzy badacze sądzili, że są one tworem geologicznym, a nie biologicznym. Jak podaje Amerykańskie Muzeum Historii Naturalnej, kierujący wykopalskami paleontolog George Olsen nie mógł uwierzyć, że coś tak kruchego jak jajko mogło przetrwać kilkadziesiąt milionów lat. Dopiero po wnikliwej i bardzo sceptycznej analizie przyznał, że nie mogło być inaczej – trzymał w rękach skamieniałości jaja, które złożono w epoce kredy.

Po roku 1980 znaleziska skamieniałych jaj, a także świeżo wyklutych i nieco podrośniętych dinozaurów stały się powszechniejsze i przestały dziwić. Coraz częściej dokonywano również odkryć, które sugerowały, iż sposób rozmnażania się niektórych dinozaurów mógł przypominać rozród ptaków. Wyglądało np. na to, że część dinozaurów (jak choćby znalezione w Montanie hadrozaury) tworzyło kolonie łęgowe, w których wiele dorosłych osobników budowało gniazda obok siebie, składało jaja, a następnie opiekowało się lęgiem i młodymi przez kilka pierwszych miesięcy ich życia.

Wzrosty i inwestycje

Przez długi czas zastanawialiśmy się nie tylko nad tym, czy dinozaury na pewno były jajorodne oraz czy dbały o swój łęg, ale również jak duże były ich jaja i młode.

Wiemy, że u ptaków kolibry znoszą najmniejsze jaja, a strusie czy nandu – największe. Choć zdarzają się anomalie, takie jak kiwi, które składają ogromne jaja w stosunku do swoich rozmiarów ciała, to generalnie sprawdza się prosta zależność: duże ptaki mają duże potomstwo wykluwające się z dużych jaj, małe ptaki zaś – odwrotnie.

Okazuje się, że analogiczna reguła wcale nie musiała obowiązywać u dinozaurów. Zauropody – czworonożne giganty o wielkich szyjach – były największymi zwierzętami lądowymi, jakie kiedykolwiek chodziły po ziemi, ale wcale nie powstawały z jaj o gigantycznych rozmiarach. Świeżo wykluty zauropod był rozmiarów gęsi, a jego masa ciała wynosiła ok. 5 kg – taką wagę osiągała zaś wślad ludzkie noworodki! Masa ciała dorosłego człowieka to jednak średnio dwu-

dziesiątkrotność masy ciała noworodka, podczas gdy dorosły zauropod ważył ponad dziesięć tysięcy razy więcej niż jego świeżo wyklute młode.

Taki stan rzeczy niesie za sobą ciekawe konsekwencje. Specjaliści ze wspomnianego już Amerykańskiego Muzeum Historii Naturalnej podają, że przeciętny zauropod osiągał dojrzałość płciową w wieku 20 lat, a rośł jeszcze przez kolejną dekadę. W wieku 30 lat ważył ponad 50 ton. Jeszcze bardziej niezwykła jest krzywa wzrostu, która – jak podają badacze na podstawie analizy dotychczasowych skamieniałości – rosła bardzo szybko głównie w pierwszych latach życia zauropoda. Młode osobniki przybierały rocznie nawet dwie tony. Żadne inne zwierzę – żyjące lub wymarłe – nie rosło w takim tempie. Powstaje zatem pytanie: dlaczego te dinozaury dorastały do takich rozmiarów, a przy tym składały tak nieproporcjonalnie małe jaja? Czy nie mogły sobie pozwolić na produkcję większych „egzemplarzy”? Przynajmniej częściowych odpowiedzi na te pytania należy szukać we właściwościach ówczesnych ekosystemów – oraz w prawach fizyki.

Najprostsza odpowiedź na pytanie, dlaczego niektóre dinozaury rosły tak duże, brzmi: bo mogły. Jeśli miały wystarczająco dużo pożywienia, to opłacało im się inwestować zasoby we wzrost, ponieważ gabaryty zapewniały im ochronę przed drapieżnikami, nawet tymi ważącymi kilkanaście ton (jak słynny T. rex). Nie mogły jednak rosnąć w nieskończoność. Limit wzrostu wynosił – jak sądzimy – przynajmniej dwa czynniki. Pierwszy wiąże się z ewolucyjnym kompromisem – przy

pewnych rozmiarach koszty utrzymania dużego ciała przewyższają korzyści, które ono niesie. Ponadto, nawet jeśli nie brakuje pokarmu, to osobnikowi może zycząjnie zabraknąć czasu, by go pozyskać i strawić. Drugi hipotetyczny czynnik wiąże się z ograniczoną wytrzymałością kości. Uważa się, że powyżej 100 ton masy ciała szkielet zwierząt lądowych przestaje spełniać swoje funkcje – zaczynają się problemy z poruszaniem.

Zatłoczone nisze

Co jednak z jajami? Dlaczego i one nie osiągały ogromnych rozmiarów? Jedno z ograniczeń wielkości jaj związane jest ze skorupką. Aby mogła ona spełniać swoje funkcje, musi być zarazem wytrzymała, jak i przepuszczalna. Znajdują się w niej mikroskopijne pory, które umożliwiają zarodkowi wymianę gazową, a także pomagają w kontrolowaniu wewnętrznej wilgotności. Im większe jajo, tym grubsza musi być skorupka, by zapobiec pęknięciu. Jednak bardzo gruba skorupka uniemożliwia efektywną wymianę gazową i kontrolę wilgotności.

To m.in. dlatego wśród dinozaurów znaleźć można tak wiele przykładów na gigantycznych rodzicach oraz małeńkie dzieci. Ten rozstrzał rozmiarów rzutował również na życie rodzinne poszczególnych gatunków. U tych dinozaurów, u których rozmiar rodziców niewiele się różnił od rozmiaru świeżo wyklutych młodych (jak np. u owiraptorów), dorosłym osobnikom łatwiej było zapewnić bezpośrednią opiekę – najpierw jajom, potem młodym. U gatunków, u których świeżo wyklute młode było dziesięć ty-

SABENA JANE BLACKBIRD / ALAMY STOCK PHOTO / BEW



Przekrojowy model jaja owiraptora

sięcy razy mniejsze od dorosłego osobnika, taka opieka była niemal niemożliwa.

Dorastające młode największych dinozaurów przechodziły przez bardzo wiele stadiów rozwoju – co oznacza, że bezpośrednio konkurowały one o zasoby z dorosłymi osobnikami gatunków o mniejszych rozmiarach. Szybki wzrost mógł być jednym z rozwiązań problemu z konkurencją – choć jeszcze większym wyzwaniem musiała być obecność drapieżników. Badacze uważają, że lęgi największych dinozaurów miały skrajnie niską przeżywalność, ponieważ ogromna liczba młodych ginęła w szczękach ich mięsożernych kuzynów. To kolejny po cechach skorupki powód, dla którego nawet gigantom prawdopodobnie bardziej opłacało się składać wiele małych jaj niż kilka dużych (w gniazdach diplodoków czy argentyzaurów, zaliczanych do zauropodów, mogło znajdować się nawet po sto jaj). Taka strategia zwiększała szanse na przeżycie przynajmniej części potomstwa.

Co pozostawiało mniejszym dinozaurom, takim jak owiraptory, dla których złożenie wielkiej liczby jaj byłoby ogromnym wydatkiem energetycznym? Być może złożone życie rodzinne, w ramach którego dorosłe osobniki opiekowały się młodymi, dopóki te nie stały się w miarę samodzielne. Takie gatunki mogły składać jaja relatywnie rzadko, i to względnie nieliczne, ale za to z większym oddaniem ich pilnować i wysiadywać, a potem zajmować się młodymi.

U dinozaurów drapieżnych niewielki rozmiar jaj miał jeszcze bardziej wyraźne konsekwencje ekologiczne. Katlin Schroeder i współpracownicy dowodzili niedawno w „Science”, że dorastające młode największych gatunków (wających w dorosłości po kilkanaście ton) całkowicie zdominowały te same nisze ekologiczne, które mogłyby zajmować drapieżniki średniej wielkości (czyli takie, których dorosłe osobniki ważą od 100 do 1000 kg). Wyraźnie odbija się to w zróżnicowaniu drapieżników – znamy wiele gatunków o małych rozmiarach i wiele gigantów, ale zaskakująco mało „średniaków”.

Zagłądanie przez pory

Widzimy więc, że rodzinne życie dinozaurów wpływało na kształt całych ekosystemów – i odwrotnie, czynniki środowiskowe decydowały o tym, w jaki sposób dinozaury opiekowały się swoimi młodymi. I chociaż śledzenie tych powi-

zań w odniesieniu do wymarłych zwierząt jest znacznie trudniejsze niż w przypadku żyjących gatunków, naukowcy mają swoje sposoby, by zajrzeć do tego prastarego świata. A zaglądają do niego często przez mikroskopijne okienka.

Jak pamiętamy, skorupki jaj dinozaurów miały porowatą strukturę. Znając funkcję, jaką pełniły te otwory, naukowcy są w stanie stwierdzić, w jakich warunkach przechowywane były jaja podczas rozwoju zarodków. Jeśli skorupka zawiera wiele dużych porów, to jaja były przez rodzica składane w zagłębieniu, a następnie przykrywane otuliną na kształt kopca. Zakopane jaja potrzebowały więcej „otworów oddechowych”, umożliwiających embrionom wymianę gazową. Ponadto, gdyby bardzo porowate skorupki pozostać bez przykrycia z kopca, to zawartość, którą one chronią, bardzo szybko utraciłaby wodę. Duża porowatość prawdopodobnie oznacza zatem, że jaja zakopywano, a następnie pozostawiano: rodzic mógł czasem doglądać gniazda, jednak sam nie wysiadywał lęgu.

Z kolei skorupki wyposażone w niewielką ilość wąskich porów sugerują, że jaja nie były zakopywane. Pozostawiano je w odsłoniętych gniazdach – tak jak to czyni większość współczesnych ptaków. Takie jaja prawdopodobnie były wysiadywane.

Analizowanie struktury mikroskopijnej skorupki jaj nie daje niepodważalnych informacji, ale stanowi ważną wskazówkę, która często potwierdzana jest przez znalezione skamieniałości. Np. porowata struktura skorupki jaj zauropodów sugeruje, że nie były one wysiadywane, lecz zakopywane i zostawiane. Jaja owiraptorów z kolei cechują się niewielką porowatością – zatem nie mogły być niczym przykrywane.

Ale co sądzić o takich dinozaurach jak gigantoraptor? Był to dwunożny dinozaur z tej samej nadrodziny co owiraptor, cechujący się dość podobnym wyglądem: upierzenie, przednie kończyny przypominające niewielkie skrzydła, szczęki zakończone rogowym dziobem. Jedyna różnica to rozmiar. Gigantoraptor nie mógł wprawdzie mierzyć się z zauropodami, ale jak na zwierzę, które przypominało drapieżnego indyka, był ogromny: mierzył ponad 8 metrów i ważył około 1,5 tony.

Wydaje się, że przy takich gabarytach mogły wystąpić znaczne trudności w wysiadywaniu jaj – trudno wyobrazić so-

bie skorupki, które wytrzymałyby taki nacisk. Wyniki analiz opublikowanych w 2018 r. w „Biology Letters” wskazują jednak, że było to możliwe. Kohei Tanaka i współpracownicy doszli do wniosku, że wszystkie owiraptorozaurowi, zarówno tak małe jak owiraptor, jak i tak ogromne jak gigantoraptor, wysiadywały jaja w podobny sposób. Różniły się natomiast pod kątem rozlokowania lęgu w gnieździe. Dzięki niewielkiej masie ciała, owiraptory mogły siedzieć bezpośrednio na jajach, dlatego układały je w okręgach, w taki sposób, że w środku gniazda pozostawała niewielka powierzchnia pusta, w której rodzic mógł umieszczać tylne kończyny. Gigantoraptory musiały stosować inną technikę. Ich gniazda miały znacznie większą średnicę, jaja zaś składane były jedynie na obwodzie – w pojedynczym rzędzie. Dorosły osobnik siedział w środku gniazda, które było w zasadzie puste. Jego masa ciała rozkładała się przede wszystkim na gołym podłożu, natomiast jaja spoczywały na obrzeżach – stykając się z rodzicem w bezpieczny sposób.

Badania skamieniałości dinozaurów odkrywają przed nami nie tylko najbardziej rodzinne sekrety zwierząt, które panowały na lądach przez sto kilkadziesiąt milionów lat. Ujawniają także ekologiczne zależności, które często mają charakter ponadczasowy. © MARTA ALICJA TRZECIAK

Sprostowanie

W artykule Sebastiana Szybki o stałej Hubble’a („Problemy z ekspansją”, „TP” 14/2021) na etapie redakcyjnym wprowadziliśmy błąd. Większość obecnych metod pozwala oszacować aktualną wartość tej stałej z dokładnością do kilku (km/s)/Mpc (kilometrów na sekundę na megaparsek), a nie do ok. 0,1 (km/s)/Mpc. Za pomyłkę przepraszamy.



**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
goszczą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”. Słuchaj nas
w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM | Nowy
Sącz – 90,0 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM
| Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0
FM | Zakopane – 100,0 FM | Andrychów
– 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM | www.radiokrakow.pl

KOBIETY SAMOTNE

AGNIESZKA HOLLAND, REŻYSERKA:

W III RP ludzie, którzy znaleźli się za burtą transformacji, nie mieli się do kogo zwrócić.

Do momentu powstania Radia Maryja.

Nagle okazało się, że tam mogą szukać pocieszenia.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Pamięta Pani kolaudację „Kobiety samotnej”?

AGNIESZKA HOLLAND: Pamiętam kolaudację w Zespole Filmowym „X”, kiedy pokazałam film Andrzejowi Wajdzie i kolegom. Działo się to w 1981 r., w przeddzień mojego wyjazdu do Szwecji – przez osiem następnych lat nie było mnie w Polsce.

A ten dzień?

Zajęty, zagoniony. Miałam próbę z zastępstwem sztuki Pam Gems „Dusia, Ryba, Wal i Leta”, którą zrobiłam w Teatrze Ateneum na małej scenie. Grali ją długo, była popularna. Potem jeszcze coś załatwiałam przed wyjazdem, dalej ta kolaudacja. Nie miałam gdzie i z kim zostawić Kasi, ciągnęłam ją ze sobą. Właściwie cały ten dzień pamiętam poprzez córkę.

A sama kolaudacja?

Koledzy byli zaskoczeni, że pokazuję taką rzeczywistość. Według Wajdy ona nie istniała, a ja przesadzałam.

Wajda nakręcił wtedy „Człowieka z żelaza”.

Andrzeja interesowało to, co widoczne i co było bohaterską wersją życia.

A „Kobieta samotna” to opowieść o listonoszce mieszkającej w nędzy i próbującej zapewnić elementarny byt sobie i synowi. Wszyscy ją zawodzą – zarówno ludzie Solidarności, jak i działacze PZPR.

Tlił się we mnie rodzaj buntu przed zachwytem Solidarnością i nieuświadomieniem, że tworzy się właśnie kolejna elita. I że dla ludzi skrzywdzonych i poniżonych – by użyć tytułu powieści Dostojewskiego – Solidarność nic nie zmieni. Skrzywdzeni i poniżeni nawet nie wiedzą, że ona istnieje, a Solidarność też się nimi nie interesuje.

Zresztą w III RP okazało się, że ludzie, którzy są za burtą, właściwie nie mają się do kogo zwrócić. Aż do roku 1991 – powstania Radia Maryja. Nagle okazało się, że tam mogą szukać pocieszenia.

Kobieta samotna w 2021 r. byłaby słuchaczką Radia Maryja?

Ono by mówiło o jej problemach, także ekonomicznych.

W „Kobiecie...” jest scena, którą wycięła cenzura, kiedy moja bohaterka przeciwstawia się przez demonstrację Solidarności na drugą stronę ulicy z walizką i Bogusiem, którego chce – czy raczej musi

– zostawić w domu dziecka. Zrobił się z tego symboliczny obraz – oni jej nie widzą, a ona w nich nie widzi siły, z którą chciałaby się utożsamić. Głoszone hasła w ogóle jej nie dotyczą.

To były hasła postulujące uwolnienie więźniów politycznych.

„Kobieta samotna” oskarżała cały mit państwa chłopów i robotników – pokazywała, jak ludzie żyją, jakie mają per-



Agnieszka Holland podczas konferencji prasowej filmu „Szarlatan” na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym Berlinale. Berlin, 27 lutego 2020 r.

spektywy, co się dzieje w ich duszach. Że państwo, że partia, że opozycja nie są dla tych ludzi szansą. Nikt i nic – pustka. W sumie nie dziwię się, że „Kobieta...” trafiła na półki. Premiera, i to wersji okrojonej, odbyła się dopiero w 1987 r.

Które jeszcze sceny ocenzurowano?

Irena wraca kolejką z pracy do domu – w przedziale rozsiadli się żołnierze radzieccy, a ona stoi z siatkami, zmęczona

do imentu. Ta scena powstała przypadkiem – wynajęliśmy wagon, by kręcić zdjęcia, okazało się, że to był skład z żołnierzami jadącymi do bazy sowieckiej. Przyszliśmy, przeprosiliśmy, że my tu kręcimy, a oni – po prostu pany – powiedzieli, że nigdzie się stąd nie ruszą. Dlatego rozsadziliśmy między nimi aktorów oraz statystów i skreśliśmy zdjęcia. Ocenzurowana też została scena, w której Irenę wyrzucają z komitetu woje-

wódzkiego, gdzie przyszła prosić o jakąś pomoc.

W sumie to też była cenzura dla mnie – stałam się *persona non grata*. Kiedy w stanie wojennym znalazłam się za granicą i zaczęłam udzielać wywiadów, moje nazwisko stało się jeszcze gorsze niż teraz. Obecną władzę też irytuję.

III RP wydała dwóch zręcznych i charakterystycznych biznesmenów: ➔

→ **księdza Rydzyka z Radiem Maryja i Jerzego Urbana z tygodnikiem „Nie”.**

Tu widzę różnicę – sieroty po PRL-u i byli funkcjonariusze partyjni niższego stopnia żyją w historycznym momencie, który mija. Mówiąc krótko, to pokolenie umrze i nie pozostawi po sobie następców.

Nie znikną natomiast ludzie biedni, nieporadni, skrzywdzeni przez los albo nie dość wyposażeni kulturowo. W zapale neoliberalnym wydawało się, że wystarczy im podać wędkę i oni już sobie poradzą. Nieprawda, nawet z tą wędką mogą sobie nie poradzić. Problem też w tym, że oni jej nawet nie dostają.

Biedę powinno zagospodarować w dużym stopniu dobre państwo socjalne, którego nigdy u nas nie było. Raz – z powodów finansowych; dwa – z powodów inaczej pojętych priorytetów.

Jak pojętych?

Opierających się na tym, jak ważny jest rozwój ekonomiczny oraz PKB, i na przekonaniu, że „przyływ podnosi wszystkie łódzie”. W związku z tym nie warto zaprzęcać się myśleniem o ludziach, którzy sobie nie radzą. Bo jak będziemy w większości bogaci, to reszta też się wzbogaci.

Co by dziś jeszcze robiła „kobieta samotna”?

Może znalazłaby też drogę do Rodziny Radia Maryja? Bo nie chodzi tylko o to, by słuchać radia, ale by zebrać się, porozmawiać, podzielić, pobyc. To terapeutyczne formy wspólnotowości, których w latach 80. kobieta była pozbawiona. A dziś, poza Rydzykiem i paroma innymi, również Kościół nie wymyślił, jak zagospodarowywać tę silną potrzebę wspólnoty. Rydzyk to człowiek, który ma na sumieniu mnóstwo złego, jest bezwzględny, skorumpował ogromną część i klasy politycznej, i Kościoła. Jego biznesowe działania są co najmniej mocno podejrzane. Ale faktem jest, że to on, a nie demokratyczna Polska, odpowiedział na potrzeby ludzi spoza nawiasu sukcesu.

Nie daje mi jeszcze spokoju Pani rezerwa wobec Solidarności, która na początku lat 80. włąła nadzieję w serca milionów ludzi, nawet sceptyków.

W Solidarność byłam i zaangażowana, i jednocześnie zachowałam dy-

stans. Sądzę, że moje czeskie doświadczenie – Praska Wiosna, wejście radzieckich wojsk i szybka po tym „normalizacja” – spowodowało, że hurraoptymizm rewolucyjny wydawał mi się mało realistyczny. Widziałam, jak łatwo ludzie się dezintegrują i konformizują. I jak łatwo zryw narodowy zmienia się w swoje przeciwieństwo. Obserwowałam, jak Solidarność tworzy po trosze nowy socrealizm. Byłam dość pesymistyczna – wydawało mi się, że tak czy inaczej, prędzej czy później to zostanie zdławione.

Zawsze miałam poczucie solidarności z kobietami, którym jest trudniej.

Zdawałam sobie też sprawę, czym jest kobieca codzienność – podwójne etaty, dom, dzieci, mężowie, starzy rodzice, którymi trzeba się zająć.

W latach 80., już na emigracji, Adam Zagajewski pisze „Solidarność i samotność”, gdzie dzieli się wątpliwościami poety, dla którego wspólnotowość opozycji jest budująca i jednocześnie zapędzająca w ślepą uliczkę braku twórczej swobody.

Adam pisał w latach 80. to, co wcześniej wielokrotnie wyrażał Czesław Miłosz. Polska presja wspólnotowości narodowej jest dławiąca. W filmie, ze względu na twórczy kolektyw, odbywa się to inaczej.

Pani nie miała pokusy, by uciec od wspólnoty?

Nie. Chociaż z natury jestem osobna, nie lubię sytuacji wieców, w ogóle masówek. Wolę przyglądać się temu indywidualnie, niż brać aktywny udział, mimo że decyduję się czasem z obywatelskiego obowiązku.

A wtedy, w karnawale Solidarności, chodziło mi o jeszcze coś innego: o natychmiast tworzącą się nierówność. Bo

my jesteśmy hierarchiczni, od średniowiecza, od podziału na szlachtę i chłopów, od pańszczyzny. Dodatkowo, jako społeczeństwo klasowe, długo byliśmy pozbawieni klasy średniej, a w rodzimym kapitalizmie miała ona wątpliwą reprezentację. Nasza hierarchiczność wyklucza całe grupy.

Kogo szczególnie?

Kobiety. Już w latach 80. zdawałam sobie sprawę, że gdyby nastąpiła zmiana polityczna i Solidarność by wygrała, to los kobiety samotnej nie zmieni się na lepsze, bo dla elit jest ona po prostu niewidzialna. Po 1989 r. to się niestety sprawdziło. Elity nie mają pojęcia o sytuacji kobiety samotnej. Tak naprawdę w ogóle nie widzą praw i interesów kobiet i nie chcą słyszeć ich głosu.

A Solidarność od początku utwierdzała tradycyjne miejsce kobiet w społeczeństwie. Z 21 sierpniowych postulatów jeden dotyczy zwiększenia liczby miejsc w przedszkolach dla dzieci matek pracujących, drugi – przedłużenia urlopu macierzyńskiego do trzech lat.

Do tego dochodzi brak miejsca w historii dla wszystkich kobiet, które odegrały dużą rolę i w KOR-ze, i w Wolnych Związkach Zawodowych. Orzecz w trakcie sierpniowych strajków. Anna Walentynowicz, Henryka Krzywonos i Alina Pienkowska nie dopuściły do tego, by je zakończyć po spełnieniu pierwszych postulatów. Przeciwnie: naciskały, by przemienić je w strajk solidarnościowy z innymi zakładami. To właśnie kobiety postawiły do pionu Wałęsę.

Przeżyłam szok, gdy uświadomiłam sobie, że nie ma u nas żadnej książki historycznej o ich roli w opozycji demokratycznej. I że musiała przyjechać do Polski amerykańska historyczka Shana Penn, by napisać o nich w „Sekrecie »Solidarności«”. Shana pisze, że w latach 80. w podziemiu kobiety wykonywały 90 procent pracy, gdy w tym czasie faceci siedzieli w utajnionych mieszkaniach, nieraz przypominających złote klatki. Spotykali się od czasu do czasu, by konspirować, a wtedy kobiety parzyły im kawę. To wielki temat: dlaczego polskie kobiety dłużej niż inne na świecie godziły się i godzą nadal na podrzędne role, na to, by ich działalność kredytowała męczyzna.

Dlaczego?

Chyba jest to głęboko zakorzenione kulturowo. Z jednej strony pokutuje przekonanie, że synowie są najważniejsi i trzeba usunąć się w cień. I że kobieta jest szyją, ale głowa to mężczyzna. Z drugiej strony uważa się, że właściwie mężczyzna jest kruchy i kobieta musi być dla niego poślizgiwa. Wie, że trzeba go dowartościować, że trzeba mu odpuścić, że trzeba mu dla świętego spokoju przytaknąć i dać to, na czym mu tak zależy – funkcje, sławę, medale... Wie swoje i to robi.

Ale najnowsze pokolenie kobiet jest już inne – widać, że nastąpiła w nich rewolucyjna zmiana mentalna, są asertywne i nie dadzą się łatwo zagnać za kulisy.

Czyli...

Ostatnio czatowałam z licealistkami, które chórem mówiły: w Polsce nie zajdę w ciążę. Bo heroizmem jest zachodzenie w ciążę, jeśli się liczy z tym, że można urodzić głęboko niepełnosprawne dziecko. Dlatego rodzić się będzie jeszcze mniej dzieci i kobiety będą uciekać za granicę.

A przy tym – co jest największą hipokryzją tych rządów – aborcje będą dalej wykonywane, tylko że z większym ryzykiem i za ciężką kasę. Okropne jest to, że w Polsce pod rządami PiS-u przyjęło się mówić o kobietach bez udziału kobiet.

W 1990 r. odbył się II Zjazd Solidarności – kobiety stanowiły 10 proc. delegatów, choć w szeregach członkowskich była ich połowa. Zjazd przyjął rezolucję w sprawie ochrony prawnej nienarodzonych. Sekcja Kobiet zaprotestowała: uznała, że delegaci nie mają do tego prawa, bo nikt nie skonsultował rezolucji z kobietami. Sekcję zdelegalizowano, obwiniono ją o uprawianie polityki frakcyjnej i próby rozbicia związku od wewnątrz.

Tak, cała III RP zdradziła kobiety – prawa kobiet zostały przehandlowane z Kościołem za poparcie dla różnych niezbędnych kroków, czy to ekonomicznych, czy politycznych, jak wejście do Unii. Odbywały się protesty, ale dość mierne. Sojusz Kościoła i państwa jest obciążeniem III RP, włącznie z latami, kiedy rządziła lewica. Ale kobiety przebudził dopiero PiS. Świadomość feministyczna zeszła w lud. To widać i po sondażach, i po skali protestów. Z tego punktu wi-



JAKUB WŁODEK / AGENCJA GAZETA

AGNIESZKA HOLLAND (ur. 1948) jest reżyserką i scenarzystką. Skończyła Wydział Reżyserii na praskiej FAMU, po inwazji wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację była więziona z przyczyn politycznych. Po powrocie do Polski należała do kierowanego przez Andrzeja Wajdę Zespołu Realizatorów Filmowych „X”. Była trzykrotnie nominowana do Oscara. Od 2014 do 2019 r. przewodnicząca Rady Europejskiej Akademii Filmowej, w grudniu 2020 r. została jej prezydentką.

dzenia to jest inna Polska, tego się już nie da odwrócić.

Czy kobiety samotne odnajdą się w coraz bardziej radykalnych postulatach Strajku? Kobiety, dla których realnym problemem jest brak etatu, świadczeń socjalnych, niepłacone alimenty. Słowem, dzień w dzień walczą desperacko o to, by się utrzymać na powierzchni.

Ale te kobiety też mają poczucie bycia w pułapce – czy są biedne, czy bogate, czy z dużego miasta, czy z prowincji. Każda dziewczyna, która zaszła w ciążę chcianą czy niechcianą, ma wyobrażenie i wie, co to znaczy. A słabe poczucie bezpieczeństwa kobiet niezamożnych i z małych ośrodków jest przez ustawę aborcyjną jeszcze bardziej zagrożone.

Ciekawi mnie, czy w latach 80. spotkała Pani pierwowzór kobiety samotnej?

Wcześniej, już w latach 60. Jeżdżąc na wieś do rodziny mojej mamy widziałam, w jakiej nędzy żyją kobiety. A „Nowa Wieś” – redakcja, w której mama pracowała – stanowiła dla mnie kopalnię wiedzy o świecie. Znajdował

się tam ogromny dział kontaktu z czytelnikami, do którego trafiały listy i pamiętniki. Pochłaniałam je z zaciekawieniem – to była dla mnie szkoła życia. Poza tym byłam uważnym obserwatorem wychowanym na literaturze socrealistycznej – sprawy klasowe były mi od dawna bliskie. Miałam też nianię – kochaną i mądrą – źródło informacji o proletariacie, który ze wsi właśnie przeniósł się do miasta.

A kobiety, które poznawała Pani w Polsce w latach 70.?

W tym czasie właściwie nie miałam przyjaciółek, otaczali mnie mężczyźni. W liceum było podobnie. Na studiach w Pradze miałam bliskie koleżanki. Po powrocie do Polski zaprzyjaźniłam się z jedną dziewczyną, ale ona potem uwiodła mi męża, to nie było specjalnie miłe doświadczenie. Więc zaprzyjaźniłam się z mężczyznami – Staszkiem Latałą, Krzyśkiem Kieślowskim...

A te przyjaźnie z kobietami?

Pojawiły się w Paryżu i z czasem stały się najmocniejszymi związkami. Szczególnie mówiąc, faceci nie zawsze dobrze radzą sobie z przemijaniem. Gdy są młodzi, to pociągają intelektualnie, gdy się starzeją – sztywnieją i klapki im się na pewne sprawy zamykają. Teraz wokół siebie widzę znacznie więcej ciekawych kobiet.

A te ważne?

Mama. Choć to skomplikowany związek, w każdym razie nie nieustanna sielanka. W pewnym momencie mama zaczęła się starzeć, a ja zaczęłam być bardziej jak mama swojej mamy – to zawsze trudny moment, kiedy te role się zamieniają. Mama była inspirująca i dawała mi to, co jest najważniejsze, czyli pełne zaufanie i wiarę w to, że mogę i powinnam zrobić, co zechcę. Oczywiście nie raz się o mnie bała, miewała inny pogląd na to, jak powinnam się zachować, nie szczędziła krytyki. Potem, już w dorosłym życiu, komplementów nie dostawałam, ale w dzieciństwie miałam poczucie, że nie ma dla mnie ograniczeń. To na pewno dało mi dużo siły. Mama ma też piękne cechy – ciekawość świata oraz wielkoduszny stosunek do ludzi.

Jednocześnie ona i ojciec dość wcześnie pokazali słabości – swoją kruchość w niedobranym małżeństwie. Już jako 11-latk

→ musiałam wziąć to na swoją psychikę, ale jakoś mnie to nie zламalo. Moze nawet pozwolilo szybciej zrozumiec swiat.

A niania?

Kosmos miłości – oparty na innym doświadczeniu, języku, regułach rządzących światem. Moi rodzice to byli niby komuniści, ale w ich domu była gospoia. Mieszkała z nami do śmierci, ale nigdy nie siadała z nami przy stole do posiłku. Reprezentowała mądrość ludową i mądrość serca. Dobry i ciepły człowiek, jednak z charakterkiem, na pewno nie przeźroczyły. Była moim oknem na świat, dzięki niej wychodziłam ze swojej bańki. Miała te różne swoje kumy i bardzo biedną rodzinę spod Sandomierza. Jedną z jej siostrzenic u nas zamieszkała i skończyła szkołę, potem studia.

A Pani droga do sukcesu?

Sporo kobiet z mojego pokolenia, którym się udało, zaprzecza istnieniu szklanego sufitu i temu, że kobiecie jest trudniej, że ma pod górkę i że jest wykluczona. Od zawsze wiedziałam, że jeżeli odnoszę sukces w sferze zawodowej, to nie znaczy wcale, że jestem lepsza od moich koleżanek, którym się nie udało. Po prostu mam szczęście. Plus tę siłę od mamy. I zawsze miałam poczucie solidarności z kobietami, którym jest trudniej. Zdawałam sobie też sprawę, czym jest kobieca codzienność – podwójne etaty, dom, dzieci, mężowie, starzy rodzice, którymi trzeba się zająć.

Powiedziała Pani, że w dzień kolaudacji „Kobiety samotnej” nie miała gdzie i z kim zostawić córki.

To był wyjątkowy dzień – najpierw była ze mną na próbie w teatrze, potem na projekcji „Kobiety samotnej”. Nie jest to film dla dziecka – zasłaniałam jej oczy ze dwa razy. W filmie jest scena, w której Boguś Linda dusi swoją kochankę, potem chwyta radio, rozwala i konstruuje z niego bombę. Jak on radio rozwalał, to Kasia się nachyliła i powiedziała: „Mam nadzieję, że to radio nie było prawdziwe...”. A wiecześnie, już w domu: „Wiesz, ciekawą masz tę pracę”. To był moment, kiedy ziarenko się zasiało.

Kasia Adamik jest teraz reżyserką, dodajmy. Jaką Pani była matką?

Na dzisiejsze standardy średnią bardzo. Podrzucałam dziecko, nie zrezygnowałam z ambicji. Gdy dziś patrzę na moich młodych przyjaciół, dla których dziecko jest centrum, a całe mieszkanie staje się wielkim pokojem dzieciennym, to sobie użmawiam, że byłam liberalna i wspierająca, ale mniej oddana i opiekuńcza. I bywałam niekonwencjonalna w metodach wychowawczych.

Proszę o przykład.

Gdy znalazłyśmy się we dwójkę w Paryżu, to zauważyłam, że Kasia, jak to dzieci emigrantów, konformizuje się – stara się za wszelką cenę przystosować do otoczenia. Więc poddawałam ją eksperymentom: w godzinie szczytu w metrze brałam ją za rękę i zaczynałam bardzo głośno pisać. Ludzie na nas patrzyli, ona potwornie się wstydziła.

Nieźle.

Kiedyś wzięłam ją do Monoprix. Ukradłyśmy patelnię i kazałam jej nieść ją w koszyku. Albo rano budziłyśmy się, a ja rzuciałam: „Wiesz, Kaśka, nie idź dzisiaj do szkoły, wybierzemy się do kina”. Muszę powiedzieć, że była asertywna i tłumaczyła, że nie, bo będzie miała zaległości, albo „nie, bo dzisiaj taka ciekawa lekcja”. To mnie zupełnie zaskakiwało, bo ja przez całą szkołę w Polsce uważałam, że żadna lekcja nie jest ciekawsza od pójścia na wagary. Jak to wszystko opowiedziałam kiedyś znajomym psychologom w Londynie, to właściwie zerwali ze mną stosunki. Moje metody wychowawcze uznali za potworne, niebezpieczne, niemoralne. Ale Kaśce jakoś bardzo nie zaszkodziły.

Czuła się Pani samotną matką?

Dopiero w Paryżu. I kiedy Laco Adamik zdecydował, że zostaje w Polsce, że nie będziemy razem. Wtedy stałam się samotną matką na full, do tego w obcym środowisku, bez mieszkania, babci, cioci. Bez środków do życia, musiałam o byt zawalczyć. Tak, miałam przyjaciół, którzy bardzo pomagali. Ale prawdę powiedziawszy, głównie musiałam liczyć na siebie.

©© Rozmawiała

KATARZYNA KUBISIOWSKA

Głęboka cisza, głęboki czas

KAJETAN PROCHYRA

Państwo Adamsowie opuścili już Alaskę, tak bardzo się zmieniła. Mieszkają obecnie na zboczu góry na północnym krańcu pustyni Chihuahua – największej pustyni w Ameryce Północnej.

JOHN LUTHER ADAMS WSPOMINA: „Wędrowaliśmy po arktycznej równinie. Dennis szedł przede mną. Widziałem, jak jego nogi rytmicznie unoszą się i zapadają się w śniegu. Po chwili można było mieć wrażenie, jakbyśmy chodzili w miejscu: zatopieni w przestrzeni pozbawionej jakichkolwiek punktów orientacyjnych. Straciliśmy poczucie odległości i skali. Dryfowaliśmy po nieodróżnialnej przestrzeni, zawieszeni w czasie. Tego właśnie szukałem w swojej muzyce”.

Stanie się Ocean

Adams jest zdobywcą nagród Pulitzera i Grammy za symfoniczny utwór „Become Ocean” – niespełna 45-minutowe dzieło, w którym słuchacz może mieć wrażenie, że jest świadkiem końca świata. Apokalipsa wydarza się bez jednego wystrzału, krzyku czy wybuchu. „Życie na ziemi wyłoniło się z morza. Teraz, gdy polarny lód topnieje i podnosi się poziom wód, my ludzie znowu, całkiem dosłownie, możemy stać się oceanem” – zapisał w partyturze kompozycji Adams.

Duża orkiestra symfoniczna została tu podzielona na trzy zespoły, zdominowane odpowiednio przez instrumenty dęte drewniane, dęte blaszane i smyczkowe. Kompozytor najchętniej widziałby je rozmieszczone nie przed – jak w tradycyjnych salach koncertowych – ale wokół słuchaczy. Zespoły, niczym fale lub



HIROYUKI ITO / GETTY IMAGES

John Luther Adams na występie perkusistów wykonujących utwór „Inuksuit” na *Making Music New York*. Nowy Jork, czerwiec 2011 r.

dzielący się lodowcem, zachodzą na siebie. Ale nawet gdy wydaje się, że dochodzi tu do jakiejś kulminacji, spod spodu cały czas dobiegają nas krople wody, spadające z kryształów lodu arpeggia fortepianu, czterech harf, celesty, wibrafonu i marimby. Muzyka się nie zatrzymuje. Sunie bezkresnie, jednocześnie delikatna i zwalista – napędzana siłą jakiegoś innego porządku: oceanu, pogody, natury.

Utwór jest przeciwieństwem słynnego eksperymentu Johna Cage’a, który chcąc usłyszeć absolutną ciszę, wszedł do dźwiękoszczelnej komory bezechowej w laboratorium na Uniwersytecie Harvarda. W dźwiękowej próżni do uszu kompozytora zaczęły dobiegać dwa nieznanne mu tony: wysoki i niski. „Ten pierwszy to twój układ nerwowy, drugi to układ krwionośny” – miał powiedzieć asystujący mu naukowiec. Pokłósiem tego eksperymentu jest utwór „4’33”” (1952), w którym choć pianista nie gra ani jednej nuty, słuchaczy zewsząd dobiegają dźwięki – Cage każe nam słuchać nieciszy dokładnie przez cztery minuty i trzydzieści trzy sekundy. John Luther Adams w „Become Ocean” robi coś przeciwnego. Cage wszedł do wewnątrz naszego doświadczenia, Adams stawia słuchacza poza jego własnym ciałem i jednostkowością: ocean i tak się stanie, nawet gdy nie będziemy go słuchać.

„Become Ocean” miało swoją premierę w Seattle w czerwcu 2013 r. Orkiestrę Seattle Symphony poprowadził świeżo upieczony dyrektor artystyczny instytucji, młody francuski dyrygent Ludovic Morlot. To była odważna decyzja: wcześniej nazwisko Johna Luthera Adamsa nawet bardziej obcy melomani mogli mylić z siedem lat starszym Johnem Adamsem – kompozytorem m.in. opery „Nixon w Chinach”. Tymczasem „Become Ocean” stało się sensacją. O utworze rozpisywali się opiniotwórczy krytycy. Taylor Swift – jedna z najpopularniejszych amerykańskich gwiazd muzyki pop – była pod tak wielkim wrażeniem dzieła, że na konto Seattle Symphony przelała swoje wyrazy uznania: 50 tysięcy dolarów.

Warizi

John Luther Adams urodził się w 1953 r. w Meridian w stanie Mississippi. Jego ojciec pracował w firmie telekomunikacyjnej. Obowiązki służbowe wymuszały na rodzinie Adamsów kolejne przeprowadzki. Nastoletni bunt zastał Johna w New Jersey. Tam 14-latek założył z kolegami zespół, z którym wykonywali covery spod znaku 3B: The Beatles, Beach Boys i The Birds. Ich muzyczny horyzont poszerzył się znacznie, gdy trafili w świat Franka Zappę, przekraczający ga-

tunkowe podziały na jazz, rock czy awangardę. Obok nagrań, Adamsa zaintrygowała inskrypcja towarzysząca okładowi płyty Zappy: „Kompozytor dnia dzisiejszego nie godzi się umrzeć – Edgard Varèse”.

Kto to jest ten Warizi? – zastanawiał się Adams. W końcu, po drugiej stronie rzeki, w jednym z nowojorskich sklepów płytowych trafił na album „The Music of Edgard Varèse vol. 2”. Z głośnika popłynęły dźwięki niepodobne do niczego, co nastolatek mógł słyszeć kiedykolwiek wcześniej. Nagranie stało się przepustką do świata muzyki eksperymentalnej, a dalej – do CalArts, nowej uczelni artystycznej na przedmieściach Los Angeles.

Młody Adams studiował pod opieką Jamesa Tenneya, współpracownika Johna Cage’a, Steve’a Reicha i Philipa Glassa. Równolegle nauczycielami Adamsa zostały ptaki. Kompozytor godzinami słuchał oraz spisywał ich głosy i pieśni. Tak powstało jego pierwsze poważne dzieło: „songbirdsongs”. Adams jednak nie czuł się do końca dobrze ani w Kalifornii, ani w świecie sztuki.

Głęboka cisza

„Nieustatkwane dzieciństwo pozostało we mnie dojmujące pragnienie odnalezienia domu i rodziny: miejsca, do którego mógłbym naprawdę przynależeć, ludzi, z którymi mogłyby połączyć mnie więzy głębsze od krwi. Na Alasce, gdzie spędziłem 40 lat mojego życia, odnalazłem oba te elementy” – pisze Adams w wydanych niedawno wspomnieniach „Silences So Deep: Music, Solitude, Alaska” („Cisze tak głębokie. Muzyka, samotność, Alaska”).

Na Alasce stanął pierwszy raz latem 1975 roku. Kajak, wędrowka brzegiem Zatoki Lodowcowej, tundra. Ledwie 16 lat wcześniej Alaska stała się pełnoprawnym stanem USA. Obszar pięciokrotnie większy od Polski zamieszkiwało wtedy niespełna 400 tys. ludzi. Do żyjących tam od wieków rdzennych społeczności Inupiat, Yupik, Aleut, Eyak czy Tlingit dołączali Amerykanie: geolodzy, ekolodzy, artyści i hipisi.

Adams dostał pracę w jednej z organizacji zajmującej się ochroną przyrody. Zamieszkał w drewnianej chacie w lesie opodal Fairbanks w środkowej części stanu. Szybko jego najbliższymi przyjaciółmi – towarzyszami wędrowek

→ i członkami nieformalnego Towarzystwa Saunowego Jeziora Ace – zostali poeta John Haines i dyrygent Gordon Wright. „Istnieją ciszę tak głęboką / że możesz usłyszeć w nich / wędrowkę duszy / olbrzymie ślady stóp / w głębi zamrażającej ziemi” – napisał w wierszu „Listening in October” John Haines.

„Pragnąłem usłyszeć więcej takich cisz, doświadczyć tych wędrowek i spróbować oddać je w mojej muzyce” – Adams komponował później wielokrotnie muzykę do słów Hainesa. Z tego wiersza zaczerpnął tytuł swojej książki. Gordonowi Wrightowi zawdzięcza zaś Adams angaż do Fairbanks Symphony i jej kameralnej siostry Arctic Chamber Orchestra. W zamian za wkład wykonawczy w roli kotlarza (salą prób Adamsa była jego chata, w której ćwiczył, uderzając zamiast w kotły – pałkami w poduszki) kompozytor mógł rozwijać z muzykami orkiestry własne kompozycje.

Utwory Adamsa były swoistymi dźwiękowymi pejzażami Alaski – „Sen biało na białym”, „W miejscu bez drzew, tylko śnieg”, „Najdalsze miejsce”. Były to pejzaże nie tylko materialnych, ale też metafizycznych krajobrazów, czerpiące z praktyk żyjących tam ludzi i ich obrzędów: inspirowane rytmem Eskimosów perkusyjne „Sauyatugvik”, „Strange and Sacred Noise” czy „Inuksuit” na 99 bębnow.

Naalagiagvik

Jednak najbardziej alaskańskim utworem Adamsa jest kompozycja w pełni elektroniczna – „The Place Where You Go to Listen”. *Naalagiagvik* to w języku inupiat miejsce, do którego idziesz, by słuchać. Wiatr znad tundry i fale uderzające o brzeg oddają tu swoje głosy żywym i umarłym, duchom przeszłości i temu, co wciąż żyje wokoło: rzece, roślinom, zwierzętom. *Silam inua* – jak nazwać to miał stary szaman: głos wszechświata. John Luther Adams, wspólnie z Jimem Altierrim – geologiem i twórcą muzyki elektronicznej – wykonali dla Muzeum Północy w Fairbanks instalację, która tworzy muzykę i wypełnia pokój barwami, generując je na podstawie natężenia światła, fazy Księżyca, wibracji sejsmicznych Ziemi w danej chwili. Siedzący na ławeczce słuchacz nie rozpoznaje tu żadnych znanych mu dźwięków tradycyjnych instrumentów. Dana struktura, faktura nigdy się nie powtórzy, tak jak nigdy nie powtarza się dana chwila na Ziemi.

Muzyka Adamsa nie zatrzymuje się.

Sunie, jednocześnie delikatna i zwalista, napędzana siłą jakiegoś innego porządku: oceanu, pogody, natury.

„»The Place...« nie ilustruje tego, co widzialne, ani nie amplifikuje tego, co słyszalne, lecz rezonuje z tym, co niesłyszalne i niewidzialne – pisze Adams. – Pewnego razu nad środkową Alaską przeszła potężna burza magnetyczna, której efektem były spektakularne zorze polarne. W tym czasie w Fairbanks było pochmurno i padał śnieg, nie widzieliśmy więc ani ułamka tego spektaklu, ale w »The Place...« mogliśmy go wysłuchać”.

Z czasem alaskańska ekologiczna utopia zaczynała blaknąć. Zmianie ulegał krajobraz – zarówno geograficzny, jak i ludzki. W „Ciszach tak głębokich” Adams wspomina pożegnanie ze swoją pracownią w drewnianej chacie: wylizał partytury, kolekcję nagromadzonych przez lata nagrań terenowych, płyt artystów, którzy mieli na niego wpływ, książki – w tym tę najważniejszą: „Walden, czyli życie w lesie” Henry’ego Davida Thoreau. W 2014 r., po 40 latach, John i Cynthia Adamsowie opuścili Alaskę.

Głęboki czas

Państwo Adams mieszkają obecnie na zboczach góry na północnym krańcu pustyni Chihuahua – największej pustyni w Ameryce Północnej.

„To pustkowienie. Naszymi jedynymi sąsiadami są muły, grzechotniki, pekarowce i wspaniała różnorodność ptaków – pisze w mailu do „Tygodnika” John Luther Adams. – Widok z mojego studia zapiera dech w piersiach, a podczas moich codziennych wędrowek nigdy nie spotkałem drugiego człowieka. Pandemia, zawirowania polityczne w moim kraju i utrata jednego z moich najdroższych przyjaciół... miniony rok był prawdopodobnie najbardziej przygnębiającym, jakiego kiedykolwiek doświadczyłem.

Jednocześnie był to chyba najbardziej produktywny i głęboko refleksyjny czas w moim życiu”.

Jednym z tych dokończonych utworów jest rozpoczęty w 1992 r. cykl „Arctic Dreams” na skrzypce, altówkę, wiolonczelę, kontrabas i kwartet wokalny. Za ostateczne brzmienie muzyki, pełne pogłosu, przestrzeni i nakładających się wzajemnie brzmieniowych warstw, odpowiada wieloletni towarzysz sonorystycznych podróży kompozytora: Nathaniel Reichman – inżynier dźwięku, który pracował m.in. przy filmach „Zjawa” Alejandra Gonzáleza Iñárritu czy „Naqoyqatsi” Godfreya Reggio. Tytuł dzieła to nawiązanie do najsłynniejszej książki przyjaciela kompozytora, zmarłego 25 grudnia ubiegłego roku amerykańskiego pisarza i ekologów Barry’ego Lopeza. Lopez, obok Alaski, opisywał przez lata przyrodę stanu Oregon, w którym żył w pustelni podobnej do tej Adamsa. W 2020 r. pożary, które trawiły zachodnie wybrzeże USA, pochłonęły całe archiwum pisarza.

„To okrutna ironia losu, że las, w którym osiadł Barry, by chronić drzewa, został wycięty, aby uratować przed pożarem kolejne połacie ziemi. Nie mniej tragiczne, że człowiek, który tak wyraźnie i stanowczo ostrzegał przed zagrożeniem globalnym ociepleniem, zmarł jako uchodźca klimatyczny” – pisał Adams w pożegnaniu przyjaciela opublikowanym na łamach „Harper’s Magazine”.

Na cykl „Arctic Dreams” składa się siedem onirycznych pejzaży-litanii, inspirowanych arktycznymi miejscami, roślinami, ptakami, pogodą i porami roku. Śpiewane słowa zaczerpnięte są z tradycyjnych języków Alaski. Dzieło ukaże się już 28 maja na płycie nakładem wydawnictwa Cold Blue. Już teraz możemy sięgnąć po trzy płytowy box zawierający trylogię „Become River”, „Become Ocean” i „Become Desert”, który wydała oficyna Cantaloupe Music.

John Luther Adams pracuje właśnie nad kolejnym utworem symfonicznym. Kompozycja będzie nosić tytuł „A Brief History of Deep Time” („Krótka historia głębokiego czasu”).

„W zeszłym roku zająłem się bliżej studiami geologicznymi. Uczyłem się czytać skały z mojego podwórka – pisze w mailu. – Świadomość własnej małej i ulotnej obecności wobec 4,57-miliardowej historii Ziemi przynosi mi ukojenie”.

© KAJETAN PROCHYRA



MAREK ZAKRZEWSKI DLA „IP”

Maciej Płaza, Poznań, 2016 r.

Pełne zanurzenie

MACIEJ PŁAZA, PISARZ:

Dziś chasydyzm uważa się za ultrakonserwatywny odłam judaizmu, ale kiedyś miał potencjał wywrotowy i traktowany był przez tradycyjny judaizm niemal jak herezja.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Jesteś pisarzem niedzisiejszym?

MACIEJ PŁAZA: Niektórzy tak twierdzą. Próbuję wskrzesić i zrehabilitować dawne style i języki, ale też związane z nimi konwencje opowiadania. Gdy opisuję jakiś wycinek minionego świata – jego kulturę, geografię i socjologię – przy okazji zgłębiam materię językową, z której był zrobiony. Nie umiem inaczej.

Twój debiutancki „Skoruń” to była rzeczywistość polskiej wsi z lat 80.

Czyli przeszłość nie aż tak odległa, bo sam ją dobrze pamiętam. Wybrałem stylistykę gawędy ludowej, zapośredniczonej nieco przez literaturę chłopską lat 60. i 70. Na początku ciężko mi się pisało,

długo szukałem drogi dojścia do tamtego świata. Dopiero gdy dobrze się wśluchałem w jego język, opowieść ruszyła z miejsca.

Mówisz wymarłymi językami?

Raczej prowadzę z nimi świadomy dialog.

Chodzi o szacunek?

Tak właśnie, nie uciekam od tego słowa. Do spuścizny minionych epok podchodzę sektorowo – wycinek, który mnie interesuje, zgłębiam, jak tylko mogę, starając się uczciwie go zrekonstruować. Oczywiście przy pomocy literatury. Na materiał swojej prozy wybieram mikrokosmosy, wobec których nie czuję potrzeby gestów wywrotowych.

Teraz w „Golemie” wskrzeszasz rzeczywistość kresowego sztetla z początku XX wieku. To szczególnie trudny temat – z jednej strony retroaktywna świadomość Zagłady, z drugiej olbrzymie archiwum pamięci.

Dlatego pisałem bardzo ostrożnie, przede wszystkim starannie dobierając język. Zależało mi bardzo, żeby uniknąć już skonwencjonalizowanych, a czasem wręcz skompromitowanych sposobów mówienia o żydowskości.

Czyli?

Na przykład naśladowania żydowskiej składni czy intonacji w dialogach. Wielokrotnie i skrupulatnie przeglądałem swój tekst pod tym kątem. I nie chodzi mi oczywiście o świadomy antysemityzm, bo chyba o to nikt by mnie nie posądzał. Mówię raczej o odruchowej stereotypizacji, która przecież nie jest tym samym, co użycie określonej konwencji literackiej.

Powieść kończy się słowami carskiego oficera: „Dajecie sobie radę, Żydzi”.

Z perspektywy czytelnika wybrzmiewa w tym gorzka ironia, ale zależało mi na tym, żeby na fabularnym horyzoncie nie było jeszcze widać zbierających się →

→ ciemnych chmur XX wieku. Nawet niekoniecznie Holocaustu, ale już I wojny światowej, która, szczególnie na terenie Cesarstwa Rosyjskiego i Galicji, spustoszyła świat sztetli. „Golem” to nie lament nad światem bezpowrotnie spalonym i pogrzebanym, tylko próba wskrzeszenia go, zatrzymania w kadrze.

Jak się wchodzi w taki świat?

Barierą była oczywiście wiedza, którą musiałem posiąść. Przeczytałem o świecie sztetli i w ogóle kulturze żydowskiej tyle, ile tylko dałem radę. Bez tego nie byłbym w stanie go poczuć i rozgryźć. Poczynając od samego języka i słów, które na początku brzmiały dla mnie obco, a teraz pewnie będą sprawiać trudność czytelnikom „Golema”, aż na zawiłych i niezwykle subtelnych wątkach żydowskiej mistyki kończąc.

Nauczyłeś się sztetla?

Raczej nasiąknęłam nim w trakcie lektur. Potem, już w trakcie pisania, po prostu wiedziałem, jak go odtworzyć. Trwało to kilkanaście miesięcy. W tym czasie nie czytałem niczego spoza tematyki żydowskiej. Oglądałem filmy, albumy i wystawy. Słuchałem też najróżniejszych odmian muzyki żydowskiej. Pełne zanurzenie.

W pewnym sensie przetłumaczyłem moją powieść z jidysz, choć znam z niego jedynie kilkadziesiąt słów i wyrażen. A przecież moi bohaterowie musieli rozmawiać ze sobą w tym języku. Co więcej, narrator zbiorowy powieści również nie wykracza poza tę zamkniętą wspólnotę. To stuprocentowy Żyd i nie bardzo interesuje się tym, co dzieje się poza jego sztetlem.

To jak sobie z tym poradziłeś?

Co do samego mechanizmu międzykulturowej translacji, wzorami byli dla mnie pisarze, którzy o świecie sztetla pisali w jidysz, a potem przekładano ich na polski – choćby bracia Singerowie, Icchok Perec, Szolem Alejchem czy Szalom Asz. W ten sposób mogłem śledzić poszczególne wybory podejmowane przez tłumaczy, którzy często wyciągali pomocną dłoń do polskich czytelników – robili przypisy, układali słowniczki, ale też dokonywali zabiegów językowych w samym tekście. Bardzo pouczającą była lektura Juliana Strykowski, który stworzył oryginalną żydowską polszczyznę literacką, nasyconą jidysz-

zmami i hebraizmami, ale pozbawioną egzotyki. Nie ma u niego typowych żetonów językowych używanych przez polskich autorów, piszących o świecie żydowskim z zewnątrz.

Budujesz panoramę społeczną sztetla, w której pojawiają się jednak elementy magiczne. Po co Ci właściwie ten golem?

To on był pierwszy i tylko dzięki niemu trafiłem do sztetla. Na początku planowałem jedynie niewielkie opowiadanie o golemie. Chciałem dotrzeć do źródeł legendy, odrzeć ją z ezoterycznego płaszcza. Kusiło mnie, by pociągnąć dalej kanoniczną tradycję, tę rozbudowywaną w kulturze żydowskiej przez wieki. Opowieści o golemie mają wiele wariantów i ewoluowały w najróżniejsze strony. Zafascynował mnie ten labirynt sensów i znaczeń.

Co można w nim znaleźć?

W świecie nieżydowskim postać golema jest dziś interpretowana jako symbol nieposłuszeństwa i buntu sztucznej istoty przeciw człowiekowi, w żydowskim zaś jako nadprzyrodzony obrońca prześladowanych Żydów. Wzięto się to z legendy o Jehudzie Löwie ben Becalelu, zwanym Maharalem. Był to naczelny rabin Pragi z XVI wieku, któremu później, jak zresztą wielu innym wybitnym żydowskim uczonym i kabalistom, przypisywano stworzenie golema. Jednak w przypadku Maharala wątek ten pojawił się dopiero na przełomie XIX i XX wieku, i to w środowisku warszawskim.

W tym czasie na terenie Cesarstwa Rosyjskiego, w tym także na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej zabrzanych podczas zaborów, szerzyły się pogromy. Żydom potrzebna była opowieść ku pocieszeniu serc. Nie przypadkiem legenda była tak popularna w sztetlach przełomu XIX i XX wieku – to właśnie tam Żydzi żyli w ciągłym zagrożeniu. Mój golem najwyraźniej uznał, że to jest właściwe dla niego miejsce, i zaprowadził mnie tam. Jednak ulga, którą przynosi jego interwencja, jest chwilowa, bo też nie gości on w tym świecie długo.

W powieści są jakby dwa golemy – zanim pojawi się ten z legend, do sztetla przybywa Rafael, kulejący olbrzym i niemowa, który próbuje pomagać mieszkańcom.

Jego też ulepiłem z różnych tradycji. Golem w apokryficznej opowieści o rabinie Maharalu traktowany jest jak sługa – nosi wodę, pomaga w polu, ale też przeżywa, na ile jest to dla niego możliwe, egzystencjalne rozterki. Nie rozumie, kim jest ani w jakim świecie przyszło mu żyć, ale stara się wypełnić powierzoną mu misję.

Rafael to także heretyk – trochę szaleniec, trochę święty – który burzy zinstytucjonalizowany porządek sztetlowej metafizyki.

Rafael uosabia kilka postaci archetypicznych dla żydowskiej wyobraźni religijnej. Może być mesjaszem. Niewykluczone też, że jest jednym z trzydziestu sprawiedliwych, którzy w każdym pokoleniu krążą nierozpoznani po świecie. Do tej roli bez wątpienia by pasował, bo jest, jak wymaga tego tradycja, człowiekiem niepozornym: skromnym, kalekim i ubogim. Niektórzy, szczególnie chasydzi, zapewne podejrzewają, że może być właśnie golemem – ułomnym stworem, który uciekł swojemu panu i teraz błąka się po świecie. Jego tożsamość jest niejasna, pełno tu domysłów i niedopowiedzeń. Każdy widzi w nim tego, kogo chce zobaczyć. Dlatego udaje mu się znaleźć miejsce w sztetlowej wspólnocie.

Wyraźnie widać też pęknięcie na tradycyjny rabinizm i chasydyzm.

Akcja powieści dzieje się w miasteczku chasydzkim, jakich pełno było wówczas na terenach Ukrainy, Podola i Wołynia, także Galicji. Dziś chasydyzm uważa się za ultrakonserwatywny odłam judaizmu, ale wtedy miał potencjał wywrotowy i przez tradycyjny, rabiniczny judaizm był traktowany niemal jako herezja. Chasydzi przywiązywali mniejszą wagę do litery prawa i studiowania Tory, a większą do mistycyzmu, czyli indywidualnego kontaktu z Bogiem. Swoją radością i ekstatycznością doprowadzali rabinów do szału. Często wręcz celowo ich prowokowali, na przykład ostentacyjnym paleniem fajki w szabas. Konflikt między judaizmem talmudycznym a chasydzkim był niezwykle silny wśród wschodnioeuropejskich Żydów aż do Zagłady.

Ostry spór na tym tle pojawia się także w „Golemie”.

Jednym z poważniejszych zarzutów wobec chasydów było zaniedbywanie rodzin. Chasydyzm był czymś w rodzaju

męskiego bractwa, w których zawiązywano bardzo silne relacje. Chasydzi pielgrzymowali do swoich cadyków, przesiadywali w besmedryszach, gdzie nie tylko modlili się, ale pili gorzałkę i filozofowali. To wszystko działo się często kosztem ich rodzin, dla których już nie mieli czasu. Można o tym przeczytać w literaturze pięknej, ale też w pamiętnikach, np. wydanych niedawno po polsku wspomnieniach Jecheskiela Kotika, ukraińskiego Żyda żyjącego w drugiej połowie XIX wieku, który został przez ojca wychowany na chasyda, ale odszedł od chasydizmu właśnie ze względów rodzinnych.

Mieszkańcy sztetli, choć mówimy tu o wschodnich rubieżach Europy sprzed ponad wieku, żyją w kulturze pisma. Niby oczywiste, bo to trzon wszystkich odmian judaizmu, ale jednak wciąż zaskakujące.

To prawda, wszyscy Żydzi umieli czytać i pisać, przynajmniej w podstawowym stopniu, mimo że przecież była to epoka powszechnego analfabetyzmu na prowincji. Oczywiście ludzi dobrze obeznanych ze świętymi tekstami i prawem żydowskim, całą tą wielowiekową tradycją, było niewiele, ale w uniwersum pisma i języka zanurzeni byli niemal wszyscy. Wyrafinowany i złożony system żydowskiego prawa i kultury był na tyle spójny i rozbudowany, że pozwalał całociśmowo poznać świat. Nie chodzi oczywiście o poznanie w rozumieniu zachodniego paradygmatu naukowego, ale o system metafizyczny na tyle gęsto oplatający całą rzeczywistość, że w jego ramach można w satysfakcjonujący sposób zrozumieć wszystko, co ważne.

Zdumiewające jest też to, że światy sztetla i polskiego miasteczka do końca były zupełnie rozłączne. Dziś w naszej kulturze ciężko znaleźć nawet ślady tamtego uniwersum.

Żydzi i Polacy żyli ze sobą blisko, powiązani różnymi relacjami, ale zarazem robili wiele, żeby nie mieć ze sobą nic wspólnego. W pamiętnikach i wspomnieniach żydowskich z przełomu XIX i XX wieku o Polakach właściwie się nie pisze. Podob-



MAREK ZAKRZEWSKI DLA „TP”

MACIEJ PŁAZA (ur. 1976) jest pisarzem i tłumaczem. Za debiutancką powieść „Skoruń” (2015) został laureatem Nagrody Literackiej Gdynia i Nagrody Fundacji im. Kościelskich. Za „Robinsona w Bolechowie” (2017) otrzymał Nagrodę Europy Środkowej Angelus. Nakładem wydawnictwa W.A.B. ukazała się właśnie kolejna jego powieść „Golem”.

nie w polskiej literaturze – gdy pojawiają się w niej Żydzi, to zwykle jako postaci nienickie i odrażające. Ostatnio przeczytałem sobie po latach „Przedwiośnie” Żeromskiego i byłem zszokowany: opis warszawskich Nalewek jest przepełniony obrzydzeniem typowym dla organicznego antysemity. Lepsza już jest ta wzajemna niewidzialność.

Wróćmy do golema – a konkretniej tego, z czego jest zrobiony. To połączenie pierwotnej materii i czystej metafizyki.

Dlatego golem jest wspaniałą figurą człowieczeństwa. Z jednej strony wyraźnie unaocznia materialność stworzenia, i to bardzo dosłownie – golem, podobnie jak człowiek, powstaje z gliny. Zarazem jest to istota powołana do życia za sprawą wiedzy kabalistycznej, czyli głębokiej mistyki.

Golem to zwierciadło, w którym człowiek może się przejrzeć?

Owszem, pytanie tylko, co zobaczy. Gdy ostatnio rozmawialiśmy z Piotrem Pazińskim, spieraliśmy się o ogólną kondycję golema. Piotr interpretuje takie postacie – golem, lalki, manekiny – jako metaforyczny dowód na ułomność bytu i fundamentalną, immanentną niedoskonałość każdego stworzenia.

Ty nie idziesz tak daleko.

Zatrzymuję się na stwierdzeniu, że to świetna figura człowieczeństwa. Akt powołania do życia golema jest niezwykle doniosły, to przecież powtórzenie boskiego gestu stworzenia. Kto stwarza golema, niejako podsuwa sobie dowód na to, że życie nie powstało przypadkowo, tylko jest świadomym aktem woli istoty wyższej. Nawet jeśli człowiek nie jest w stanie zrozumieć jej motywacji.

Czyli daje nadzieję?

W religijnej interpretacji – moim zdaniem tak. Ale zarazem golem wzbudza w nas egzystencjalny lęk, trwogę istnienia. Wedle tradycji można go przecież jednym gestem obrócić w nicłość.

Rodzi się dzięki słowu, z porządku logosu. Nawet jeśli ktoś przyjmuje niereligijny, agnostyczny pogląd na świat, mit o golemie może ochronić przed wpadnięciem w pustkę nihilizmu. Golem potrafi zapytać, podobnie jak my sami, skąd się wzięliśmy. A możliwość zadania tego pytania ma doniosłe znaczenie filozoficzne i egzystencjalne, nawet jeżeli nigdy nie będziemy w stanie poznać na nie odpowiedzi.

Golem jest pierwowzorem dla wielu późniejszych pozaludzkich świadomości, szczególnie w prozie i filmach science fiction.

Legenda o golemie powstała już w bardzo wczesnym średniowieczu i jej długowieczność dowodzi, że jest to bardzo nośna, uniwersalna metafora, bo wciąż rodzą się nowe jej warianty. Uległa zresztą częściowemu zeświecczeniu i opuszczając macierzysty żydowski grunt, stała się jednym z mitów założycielskich europejskiej nowoczesności. Postać doktora Frankensteina i jego stwora to chyba najlepszy przykład. Albo robot HAL 9000 z „2001: Odysei kosmicznej” Stanleya Kubricka. Każda usamodzielniona sztuczna istota, także komputer czy robot, która zaczyna kwestionować porządek rzeczy, zadaje sobie fundamentalne pytania czy wypowiada ludziom posłuszeństwo, ma swoje korzenie w micie golema.

©© Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

Mamy to

ANITA PIOTROWSKA

„Czarny niedźwiedź” ma wiele z intelektualnej zabawy i zamiast naskórkowo łaskotać, woli drażnić nasze połączenia nerwowe.

NIE BARDZO WIADOMO, CZYM JEST TYTUŁOWY czarny niedźwiedź. Może być jedynie imaginacją zrodzoną w głowie autorki niszowych filmów, zamkniętej w domku nad jeziorem. Albo wręcz przeciwnie – jedynym realnym elementem w tym pomieszaniu życia i fikcji. Może też być symbolem chaosu, który rządzi niezależnie od tego, czy wspomniany domek letniskowy jest po prostu domkiem, czy planem filmowym z drugiej części „Czarnego niedźwiedzia”. Jednak każda z tych interpretacji wygląda niczym wytwór taniej taksydermii.

Dzikie zwierzę pozornie ma tutaj status typowego McGuffina, czyli fabularnego pretekstu. Ma zaciągnąć widza do czegoś na kształt leśnej gawry zasklepionej w wieloznacznościach i umownościach. Tymczasem jedna z kulminacyjnych scen (bo takich w filmie mamy kilka) przynosi właściwą odpowiedź – aktorka nazywa czarnym niedźwiedziem reżysera i zarazem swojego męża. Za szorstką czułością kryć się może zarówno słodki miś, jak i groźny drapieżca. Albowiem bizarny komediodramat Lawrence’a Michaela Levine’a to także całkiem poważna opowieść o przekroczeniach, jakich często twórcy filmowi dokonują w relacjach z aktorami, żeby po nakręconym ujęciu mogli wreszcie zawołać triumfalnie: „Mamy to!”.

Zaczyna się niczym typowe amerykańskie kino niezależne z ograniczonym budżetem, chociaż sceneria ma w sobie coś z horroru i od razu zyskuje poziom „meta”. Oto w chacie na odludziu para młodych nowojorczyków, ciężarna Blair (Sarah Gadon) i jej partner Gabe (Christopher Abbott), pragnie urządzić dom pracy twórczej, a ich pierwszym gościem jest Allison, offowa reżyserka w kryzysie (w tej roli fenomenalna Aubrey Plaza). Podczas wspólnej wieszery suto podle-

wanej winem nowo przybyła bohaterka, głodna soczystych inspiracji, najwyraźniej usiłuje gospodarzy sprowokować i rozdrażnić, wyciągając ich w mało bezpieczne rejony światopoglądowych sporów. Na dodatek między nią a Gabe’em zaczyna erotycznie iskrzyć, co nie umyka uwadze jego dziewczyny.

Levine oraz aktorzy uprawiają w tych scenach wysokiej jakości werbalną batalistykę, aczkolwiek z góry wiadomo, że inteligentna szermierka musi wcześniej czy później skończyć się zwykłą jatką. Troje narcyzów pod jednym dachem, razem z pretensjami do bycia artystą, z wewnętrznymi blokadami, wielopiętrowymi oszustwami i wzajemną zazdrością, musi stworzyć mieszanekę wybuchową.

Ale nie o banalnych kłamstwach życia traktuje „Czarny niedźwiedź”, lecz raczej o wyrafinowanych kłamstwach sztuki. Amerykański reżyser dokonuje bowiem brutalnego przepełnienia filmu i w jego drugiej części znajomy domek, przystań, las, jezioro zamieniają się nagle w plan zdjęciowy, podczas gdy w scenariuszu dla trojga aktorów następują zasadnicze przetasowania ról. I tak Gabe z byłego muzyka przemienia się w ambitnego reżysera, Allison jest tym razem jego żoną i główną aktorką, a potencjalną kochanką (oraz również aktorką) staje się Blair.

Czemu służy ta kobieca zamiana miejsc, łatwo się domyślić, bo przecież w centrum wydarzeń nadal pozostaje Gabe, jego neurozy i fantazje. Tym razem związane są z dziełem, nad którym pracuje, a włożył weń ponoć wszystkie swoje pieniądze (ot, uroki niezależności), i które ma przynieść mu sławę. Wiadać, że Levine dobrze zna tego typu bolączki. Atmosfera na planie ma niewiele wspólnego z chaosem kreatywnym; jest beładną bieganiną, potykaniem się o własne nogi i zażegnaniem kolej-

MATERIAŁY PRASOWE



nych kryzysów. Niechby chociaż aktorzy spróbowali dać z siebie wszystko. Kiedy Allison mimo kolejnych dubli nie osiąga zamierzonego przez reżysera efektu, Gabe postanawia dyskretnie podkreślić jej grę.

Brzmi znajomo? Levine bezpardonowym gestem dotyka w „Czarnym niedźwiedziu” kwestii głośno dziś dyskutowanych, a związanych z nadużywaniem władzy w filmie, teatrze czy szkolnictwie artystycznym. Jego protagonista w imię „dobrej sceny” napuszcza na siebie aktorki, manipuluje ich emocjami, toleruje stany bliskie alkoholowemu zamroczeniu. Preferuje pracę na żywych tkankach i jeśli zajdzie potrzeba, pozwoli nawet upuścić trochę krwi.

W pierwszej części filmu, kiedy to Allison była reżyserką, w pewnym momencie pada pytanie o jej mało spektakularne aktorskie początki. Słyszymy, że przestano ją angażować, bo uchodziła w branży za „trudną”. Wygląda więc na to, że w drugiej części oglądamy albo napisany przez nią scenariusz, albo wcześniejsze wciele-



Aubrey Plaza i Christopher Abbott w filmie „Czarny niedźwiedź”

nie tej postaci, czyli aktorkę sprawiającą ongiś kłopoty mało spolegliwą postawą. W pierwszej odsłonie Allison była zatem samodzielnią twórczynią, która niejako brała odwet na Gabie, Blair i całym systemie. Darujmy sobie jednak poszukiwanie sztywnych łączy między dwoma aktami filmu. To raczej luźne powiązania i nawiązania. W ten sposób Levine nie tyle unieważnia dopiero co opowiedzianą historię, ile ustawia ją w innym świetle – jako opowieść o tworzeniu opowieści z udziałem (czytaj: kosztem) innych żywych ludzi.

„Czarny niedźwiedź”, przebój ubiegłorocznego American Film Festival, ma przy tym wiele z intelektualnej zabawy i zamiast naskórkowo łaskotać, woli drażnić nasze połączenia nerwowe. Psychologicznie czuje się w tym patronat Johna Cassavetes, choć bez właściwego mu ciężaru – guru amerykańskiego kina niezależnego chętnie pokazywał rozmaite międzyludzkie przekroczenia w show-biznesie, a i w swym burzliwym związku z aktorką Geną Rowlands miał niejedno na sumieniu.

Prócz tematu, jakim jest nadmierne eksploatowanie aktorskiej psyche, współczesny reżyser zastanawia się także nad kategorią normalności, ściągając artystów z ich piedestałów. I szkoda, że bywa chwilami aż tak dosłowny. Bo największą frajdę w tym filmie sprawia to, co wymyka się językowi czy racjonalnym porządkom. Nie ma też jedynej wykładni, która tłumaczyłaby, która opowieść jest szkatułką, a która jej zawartością, kto tu kogo śni lub opowiada. Gdyby porównać „Czarnego niedźwiedzia” do egzystencjalnych matrioszek Charliego Kaufmana, zdecydowanie więcej u Levine’a ludzkiego ciepła i empatii. A powszechne do niedawna wyobrażenie, że prawdziwa twórczość musi karmić się rzeczywistym cierpieniem, ulega tu co najmniej podwójnej kompromitacji. ©

CZARNY NIEDŹWIEDŹ (*Black Bear*) – reż. Lawrence Michael Levine. Prod. USA 2020, Cinemax, 19 IV, 20.00, 20 IV, 12.15, HBO GO, od 19 IV.

WARTO ZOBACZYĆ

1. Echa Katynia



Festiwal filmowy,
15 – 18 IV,
www.totalitaryzmy.pl

II Międzynarodowy Festiwal Filmowy o Totalitaryzmach, organizowany przez IPN, pokaże 20 filmów z całego świata. Wśród nich są „Droży towarzysze” Andrieja Konczałowskiego, „Zwyczajny kraj” Tomasza Wolskiego czy „Dziennik Diany” Dany Budisavljević. Dostęp bezpłatny, ale wymaga rejestracji. Liczba miejsc ograniczona.

2. Shtisel 3



Serial,
reż. Alon Zingman,
Izrael 2020, Netflix

Kolejny sezon z życia jerozolimskich ultraortodoksów, mówiony po hebrajsku i w jidysz, przynosi nie tylko nowe komplikacje i dylematy natury sercowej, lecz także zmiany obyczajowe. Ich zarzewiem w konserwatywnej społeczności są przede wszystkim kobiety, podejmujące samodzielne decyzje. Ale dają o sobie znać również duchy zmarłych.

3. Malarka i złodziej



Dokumentalny,
reż. Benjamin Ree,
Norwegia 2020,
mdag.vod

Co mogło połączyć wrażliwą czeską artystkę i obcego człowieka, który skradł z galerii w Oslo jej obrazy i ślad po nich zaginął? W tej opowieści nic nie jest oczywiste. Stosując ciekawe zabiegi narracyjne, norweski dokumentalista podąża tropem pogmatwanej relacji, w której bohaterowie, mimo dzielących ich różnic, portretują siebie nawzajem.

4. Syn



Dramat, reż. Mehdi Barsaoui, Francja/
Tunezja/Liban/Katar
2019, HBO GO

Ostre zderzenie tradycji z nowoczesnością staje się udziałem zeuropeizowanego małżeństwa z Tunezji. Rodzinna tragedia ujawnia kłopotliwe zdarzenia z przeszłości, uruchamiając zakorzenione w islamie przesady i prawne restrykcje. Do tego świetna rola Samiego Bouajili, który gra ojca rozdartego między swoimi uczuciami a religijną mentalnością.

JAN

Klata:

Metafizyczne ciżemki



IM BARDZIEJ NIEREALNE NASZE ŻYCIE, TYM bardziej konceptualne koncepty twórców. Nie jestem pewien, czy to dobra tendencja, nie sądzę, po prostu pozwalam sobie zaobserwować.

Konkrety? Proszę bardzo: „osobowość internetowa” niejaki Lil Nas X obmyślił ze swoim kreatywnym kolektywem (słów w gębie nie staje), żeby w ramach promocji swego tiktokowego hitu muzycznego podgrzać nieco atmosferę. Jak wiadomo, nic tak dobrze nie podgrzewa, jak piekielny Szatan oraz sportowe obuwie. Sześć, sześć, sześć i cześć – nie zgadnienie Państwo, ile „ściśle limitowanych egzemplarzy” butów typu „sportowy sneakers” wykonano. Nazwa? Szatańskie Ciżemki, oczywiście. Dlaczego? Gdyż krople

krwi zawierają. Całe czarne, ze znaczącym napomknieniem nad podeszwą: Łukasz 10:18. I wszystko jasne: Lil Nas X widział szatana jak błyskawica spadającego z nieba, który mu kazał sprokurować sportowe pegegi. Co prawda, następnego wersu już nie doczytał, bo mu nie pasował, ale buty i tak się sprzedały.

Ani Lil Nas X, ani jego konceptualna świta nie posiadają w realu umiejętności szewskich, gdyż są ponad to. I tutaj niestety wzbudził się problem, gdyż – z powodu braków warsztatowych – przerobili po prostu obuwie sportowe koncernu z Samotraki (tak, tego z łyżwą). Korporacja wysłała prawników, hit Lil Nas X'a na TikToku tym bardziej wypromowany, klikalność mu wzrosła, a korporacja zachowała moralną nieskazitelną, nie będzie kojarzona z obuwniczym satanizmem. Wilk syty i owieczka cała.

Ale, ale – dwa lata temu pojawiło się 15 (???) sztuk białego obuwia sportowego opatrzonego ową łyżwą: Ciżmy Jezusowe. Białe, oczywiście, z krzyżykiem pod sznurówkami, oraz „wodą święconą z rzeki Jordan”. Buty były tanie jak barszcz: jedyne pięć par, teraz już chodzą na aukcjach po dychu. Może Daniel O. zainwestował, kapitał ulokował, kto wie? Zwłaszcza że napisano na nich: Mateusz 25:14. I o to chodzi. ©

Lektor:

Tryptyk



■ Andrzej Stanisław Kowalczyk
FELICE. MILENA. DORA
Biblioteka Więzi,
Warszawa 2021, ss. 184

LOLA KATZ WRĘCZYŁA MI książkę: „Przeczytaj, więcej zrozumiesz”. Lola była krakowianką, która po '68 roku stała się wiedeńską. Rozmowa w jej mieszkanku na Taborze dotyczyła obozów – Lola zaliczyła pięć, od Płaszowa po Bergen-Belsen. A książka? Margarete Buber-Neumann „Milena, Kafkas Freundin”. Milena Jesenská była dla mnie tylko adresatką listów Kafki, o Margarete Buber-Neumann – synowej filozofa Martina Bubera, później żonie niemieckiego

komunisty zabitego podczas sowieckich czystek, więźniarce łagrów przekazanej w 1939 r. na moście na Sanie w ręce Gestapo – nie wiedziałem wtedy (rok 1983) nic. Lola wiedziała, co mi polecić: niesamowite świadectwo obozowej codzienności w Ravensbrück i zarazem portret kobiety, której nie da się zredukować do przypisu w dziełach wielkiego pisarza. Margarete była zafascynowana Mileną od pierwszego spotkania,

w obozie stworzyły sojusz przeciw wszystkim, nie tylko przeciw oprawcom. Niemieckie komunistki wykleły Buber-Neumann, bo opowiadała o łagrach, czeskie komunistki wykleły Jesenską, bo przyjaźniła się ze zdrajczynią. Jesenską – urodzona buntowniczką, świetna dziennikarka, pierwsza czeska tłumaczka prozy Kafki, uwięziona za antyhitlerowską konspirację – nie przeżyła, Buber-Neumann sama musiała zrealizować ich wspólny projekt, książkę o dwóch totalitaryzmach. Milena znajduje się w centrum tryptyku, który Andrzej Stanisław Kowalczyk poświęcił kobietom w życiu Kafki. Bo celem tej niewielkiej książki jest nie tylko analiza ambiwalentnego stosunku autora „Procesu” do erotyzmu i w ogóle do wikłania się w związki, ale przede wszystkim ożywienie

postaci, które stawały się jego partnerkami. Narzeczeństwo z Felice Bauer skończyło się zerwaniem, o Kafce nigdy potem nie opowiadała, zachowała jednak jego listy – ponad pięćset! – i w latach 50. sprzedała je wydawcy, by zdobyć pieniądze na leczenie. Biografia pochodzącej z Będzina Dory Dymant (Diamant), która opiekowała się Kafką podczas jego ostatniej choroby, jest równie burzliwa jak życie Mileny: zauroczenie komunizmem, stalinowska Rosja, z której uciekła w 1938 roku, Anglia, internowanie na wyspie Man, Izrael... A w przypisach Kowalczyk umieścił Żalobną Klepsydę – przypomnienie losów sióstr Kafki. Gabriele (Elli), Valerie (Valli) i Ottilie (Ottla) zamordowane zostały przez Niemców – dwie pierwsze w Chełmnie nad Nerem, trzecia w Auschwitz. ©®

PAWEŁ

Bravo:

Wierne dwie dziurki



CZTERDZIEŚCI JEDEN PROCENT OSÓB, U KTÓRYCH zdiagnozowano COVID-19, dotyczy utrata węchu. Tyle wynika z metaanalizy dostępnych już rzetelnych badań ankietowych, w których porządkuje się aspekty najważniejszego doświadczenia zbiorowego

pierwszej ćwierci obecnego stulecia. Zanik powonienia, jak pocieszają przekrojowe dane, trwa przeważnie od 8 do 9 dni, nie dłużej jednak niż cztery tygodnie. To znaczy, że jeśli po miesiącu dalej możesz sobie podetknąć pod nos otwartą butelkę octu i do twojego mózgu nie dotrze sygnał, że lepiej nie brać tego do ust bez rozcieńczania, to pora się zacząć na serio martwić i szukać pomocy. Węch bowiem, jakkolwiek dziennikarze lubią o nim pisać w związku z ulotnymi rozkoszami życia wśród kosztownych pachnideł i przypraw, to przede wszystkim nasz najbardziej zaufany sygnalista. Pleśń, gnicie i wszelkie zatrute odory, kwas i gorzkie migdały – są znacznie bardziej obecne w horyzoncie życia codziennego, niż się wydaje. Tyle że dzięki naszym wiernym dwóm dziurkom zwykle wymijamy zręcznym slalomem źródła zagrożenia.

Ża wcześniej, by wiedzieć, jak wielu zostanie na długie lata z trwale przetrąconym węchem. Albo na tyle osłabionym, żeby to znacznie pogarszało jakość życia. Na pewno już zaś wiadomo, że sprawa ta może spowodować rehabilitację węchu – zdarcie z niego etykietyki pośledniego, zwierzęcego zmysłu, któremu nie warto poświęcać uwagi. Jako późne dzieci oświecenia nadal bezwiednie idziemy za rączką z Kantem, który oprócz rzeczy fundamentalnie słusznych wypisywał też głupoty. Na przykład: „który ze zmysłów jest najbardziej niewdzięczny, a zarazem, jak się zdaje, najmniej nieodzowny? Będzie to zmysł powonienia. Nie oplaca się go pielęgnować, a już na pewno nie ma co go uszlachetniać, by móc za jego sprawą doznawać przyjemności”. Dlaczego tak? Jedna z prostszych odpowiedzi brzmi: o doznaniach węchowych najtrudniej rozmawiać, szatkować w kategoriach. Nasz nos i mózg potrafią mnóstwo rzeczy wyczuć (choćby właściwego partnera do rozmnażania), ale trudno nam się o tym opowiadać. Dlatego nie poddawał się „uszlachetnieniu”, przynajmniej w tej cywilizacji, gdzie klejnotem duchowego szlachectwa jest wyszlifowane na błysk słowo.

Nawet oczywiste powiązanie węchu ze smakiem, z rozkoszą jedzenia, nie pomogło. Jeśli mamy sparaliżowany węch, doznania smakowe redukują się do tych paru najbardziej podstawowych. Odróżnimy co prawda wodę posłodzoną od posolonej lub zakwaszonej, ale dobre sancerre będzie nam

smakować równie nijako jak tani sauvignon blanc z Nowej Zelandii. Jak bardzo podrzędnie traktujemy węch, znać po pierwszym zdaniu dowolnej słownikowej definicji anosmii: otóż jest to, wedle encyklopedystów, „ślepotą węchową”... Porządne badania nad narządem węchu i odpowiednimi obszarami w mózgu to dopiero lata 90. zeszłego wieku (dwójka ich autorów dostała siedemnaście lat temu Nobla). Można mieć nadzieję, że teraz znajdzie się na nie więcej pieniędzy. Anosmia bowiem przestaje być niszową ciekawostką medyczną. Instytucje zajmujące się rehabilitacją węchu – nie tą kulturową, tylko tą dosłowną – przeżywają obłędzenie, a ich poradniki stają się wiralami w sieci. Jeśli znacze angielski, to najsensowniej moim zdaniem wygląda brytyjska organizacja abscent.org. Znajdziecie tam sporo porad, moderowane fora wymiany doświadczeń, a także tutorial treningu odzyskiwania węchu. Zaczyna się od trzymiesięcznej serii sesji z czterema olejkami zapachowymi. Typowy zestaw to róża, goździk, eukaliptus i cytryna, ale można sobie dobrać inne, zwłaszcza takie, które umiemy dobrze sobie „zakotwiczyć” w pamięci przez mocne skojarzenia z przeszłości.

Sporządziłem taki optymalny zestaw dla siebie. Nikomu nie pokażę tej listy, jest zbyt moja, powiązana z najbardziej czułymi wspomnieniami. Kartka z zeszytu w trzy linie zapisana koślawym pismem wewnętrznego dziecka, chociaż zawiera momenty i doznania, jakie się zdarzają dopiero ludziom całkiem dorosłym. Na użytek publiczny mogę np. powiedzieć, że bolałoby mnie bardzo, gdybym stracił zdolność wachania burgundzkich grand cru, tych arcydelikatnych pinotów z wiosek, gdzie pospolite w regionie nazwisko Chopin wisi na szydach mechaników i masarzy. Nigdy nie było i nie będzie mnie na nie stać, ale czasami los mi ich udziela dzięki szczodrym przyjaciółom. A zresztą, mniejsza o wino, jeśli przyjaciół stanie, to i zinfandel z marketu będzie smakował bosko. ©P

Dom pachnący rano kawą. Oraz jabłkami prażonymi z cynamonem na owsiankę. Dla mojego mózgu to jest sygnał początku dnia ważniejszy od bodźców wzrokowych (słońce) i słuchowych (radio). Znam jeszcze jeden zapach, nieco bardziej pracowitość – pieczonego naleśnika z tradycji amerykańskiej o nazwie Dutch Baby. Warto mieć do niego żeliwną patelnię lub podobną w kształcie formy, którą można wstawić do pieca, ale od biedy może być też szklane żaroodporne naczynie – o średnicy ok. 25 cm. Wstawiamy je do nagrzanego do 200 stopni piekarnika z 4 łyżkami masła, aż się całkiem stopi. W tym czasie mieszamy szybko mikserem albo trzepaczką 3 jajka, 150 ml mleka, 80-100 g białej mąki, 2 łyżki brązowego cukru, szczyptę soli, ćwierć łyżeczki mielonego cynamonu i kardamonu, kropelkę esencji waniliowej. Uwaga! Składniki muszą mieć temperaturę pokojową (mleko można nawet trochę podgrzać). Wlewamy do rozgrzanej formy, pieczemy ok. 25 minut, aż się porządnie zrumieni, zwłaszcza na brzegach, i zacznie „wstać”. Gorące masło, cynamon i kardamon... tak samo pachnie w szwedzkiej kafejce, gdzie podają bułki kanellbullar – ale tych nie da się zrobić z marszu na śniadanie.



łyżeczki mielonego cynamonu i kardamonu, kropelkę esencji waniliowej. Uwaga! Składniki muszą mieć temperaturę pokojową (mleko można nawet trochę podgrzać). Wlewamy do rozgrzanej formy, pieczemy ok. 25 minut, aż się porządnie zrumieni, zwłaszcza na brzegach, i zacznie „wstać”. Gorące masło, cynamon i kardamon... tak samo pachnie w szwedzkiej kafejce, gdzie podają bułki kanellbullar – ale tych nie da się zrobić z marszu na śniadanie.

KSIEGI DŁONI

Niepokoi nas wszystko, co nieuchwytnie.

Chwytny się jak tonący brzytwy.

Chwytny sensy, nie chwytny chemii
albo całek. Jakie doświadczenie stoi u źródła
tej metafory, tak elementarnej,
że wszyscy ją chwytny?

MACIEJ TOPOLSKI

DŁONIE TWORZĄCE NARZĘDZIA ALBO CISKAJĄCE KAMIEŃ. Podpisujące dokumenty, wyciągane w geście porozumienia, zamknięte w pięści. Dłonie unoszone w geście ślubowania, wysunięte do ucałowania, odciskające pieczęcie. To jasne, historię ludzkości tworzą dłonie. Wymienić wszystkie czynności, które może wykonać ludzka dłoń, to zadanie szalone. Ponoć angielskie słowo *man*, to jest „człowiek”, wzięło się od łacińskiego *manus*, czyli „dłoń”.

Pokaleczone rzeźby

Casimir Stanislas d'Arpentigny, autor „La Chirognomonie”, publikacji, która w 1839 r. dała początek nowoczesnej europejskiej chiromancji, sztuce czytania znaków z dłoni, jest też autorem stwierdzenia: naczelną wywodzą się z dłoni, człowiek zaś z kciuka. To frapujące: różnica między dłonią a kciukiem okazuje się nie tylko różnicą dzielącą człowieka od zwierzęcia, ale i argumentem za wyższością jednego nad drugim. Tym samym dłoń uzupełniona kciukiem pełni, zdaniem Arpentigny'ego, nie tylko funkcję narzędzia, które „ogniwo krzesi, las trzebi, zwierzyńnię zabija i przed nieprzyjacielem broni”, ale i miejsca walki o dominację (w tym przypadku gatunkową).

Słowa Arpentigny'ego otwierają opublikowaną w 1939 r. książkę „Ręka pracująca. 120 tablic fotograficznych” Henryka i Janiny Mierzeckich. Publikacja złożona jest z dwóch części: tekstowej przygotowanej przez Mierzeckiego, działającego w Warszawie dermatologa, oraz fotograficznej – wykonanej przez Mierzecką, która była aktywną od lat 20. minionego wieku i znaną w środowisku lwowskim fotografką.



Część tekstową warszawski dermatolog rozpoczyna od ogólnych, filozoficznych refleksji na temat dłoni jako „narzędzia nad narzędziami”, które pełni funkcję „obcę i rogu, pazura, lancetu i miecza”, następnie – jak na naukowca przystało – przytacza dotychczasowe badania dotyczące higieny pracy, badań dermatologicznych, wreszcie opisuje cel książki: przebadanie wpływu, jaki na dłoń wywiera praca, biorąc pod uwagę tylko te zawody, które „uwydatniają się na skórze”. I to jest najciekawszy moment wywodu Mierzeckiego, nadaje on bowiem przebadanym dla potrzeb publikacji pracownikom konkretne miejsce w hierarchii moral-



GETTY IMAGES

nej i społecznej. To miejsce znajduje się – uwaga – pomiędzy zwierzętami, które są niżej względem człowieka, a grupami społecznymi, których dłonie nie noszą żadnych widocznych znaków zawodowych – jak wytworne damy o „nieczynnych rękach”. Obie grupy charakteryzuje przecież to, że nie wykonują pracy wcale.

„Ręka pracująca” ma również być archiwum, które posłuży medycynie sądowej i kryminologii praktycznej. Mierzecki sprawia więc, że chiromancja zaczyna działać na usługach kryminologii, a ślady na dłoniach stają się potencjalnymi śladami zbrodni: „umożliwiają ustalić zawód, a co za

tym idzie, zidentyfikować nam osoby żyjące lub zwłoki osób nieznanych, lub też osób usiłujących dla celów zbrodniczych ukryć swoją identyczność”. I przygotowuje z lekarską – czasami wręcz detektywistyczną – skrupulatnością opis znamion zawodowych. Poświęca im 59 stron.

U młynarza zauważa zgrubienie naskórka, które jest „wynikiem ucisku sznurów przy wiązaniu worków”, u kelniera skórę zgrubiałą, lekko obrzękłą o „zapachu kuchennym”, u kilimkarza nie tylko wypryski na skórze, ale też resztki „tkanin i nici” pod paznokciami, u praczki paznokcie miękkie i oddzielające się „w całości lub częściowo” itd.



→ Za całym tym wywodem warszawskiego dermatologa stoi proste, a zarazem bolesne myślenie: tylko pracownicy fizyczni mogą dopuścić się zbrodni lub być ich ofiarami. Ci, którym bliżej do zwierząt niż do „wytwornych pań”.

W drugiej części dłonie pracowników fotografowane przez Janinę Mierzecką pojawiają się na ciemnym lub białym tle, układają się na zdjęciach, jak to opisuje Małgorzata Radkiewicz, „niczym karty otwartej książki”. Raz ukazują głęboką ranę na kciuku, innym razem szerniałe, poorane wnętrza lub owrzodzenia w pobliżu nadgarstków. W grze światłocieni przypominają pokaleczone rzeźby – estetyczne narzędzia do pracy fizycznej.

Obrazy dłoni pracowników, oderwane od właścicieli, funkcjonują jako samodzielne obiekty – tak zresztą potraktowali je autorzy wystawy „Fotoblok. Europa Środkowa w książkach fotograficznych” prezentowanej w Międzynarodowym Centrum Kultury w Krakowie w 2019 r.: „Stworzona przez fotografkę kolekcja zdjęć (...) wciąga wizualną ekspresję i zaskakuje jako sekwencja surrealistycznych gestów”. Tak widziane fotografie Mierzeckiej przestają odnosić się do realiów pracy fizycznej. Wszystkie dni kopania dołów, przekręcania śrub, mycia naczyń, strzyżenia włosów czy dojenia mleka, które zapisują się w ciele anonimowych pracowników, tracą znaczenie. Wykonywana w fabrykach, zakładach, zapleczach restauracji, korytarzach sprzątanym domów praca na powrót staje się niewidoczna.

„Ręką pracującą” Mierzeckich rządzi dwojakość. Z jednej strony ukazuje troskliwe podejście do pracowników fizycznych, uwidaczniające ich pracę, traktujące dłoń – nie zaś twarz – jako miejsce rozpoznawania tożsamości. Z drugiej strony niebezpiecznie wyklucza i stygmatyzuje, czy to poprzez estetyzację, czy to poprzez potencjalne zrównanie zbrodni z pracą fizyczną, czy to wreszcie uznanie pracowników noszących blizny, ślady, znamiona zawodowe za ludzi „niższej kategorii”.

Niewidzialna siła

W 2011 r. Andrew Norman Wilson nakręcił film zatytułowany „Workers Leaving The Googleplex”. Nawiązywał on bezpośrednio do jednego z pierwszych filmów w historii kinematografii – stworzonego przez braci Lumière „La sortie de l'usine Lumière à Lyon” (1895) oraz nakręconego w stulecie tego wydarzenia filmowego eseju Haruna Farockiego „Arbeiter verlassen die Fabrik” (1995). Wszystkie te filmy powtarzają tę samą scenę wyjścia z miejsca pracy, „jak dziecko, które – powie Farocki – powtarza przez sto lat swoje pierwsze wypowiedziane słowo, żeby unieśmiertelnić przyjemność, jaką czepie z pierwszego wypowiedzianego słowa”. Wszystkich tych pracowników, doda niemiecki reżyser, wypycha z fabryki niewidzialna siła.

Według Casimira Stanislasa d'Arpentigny naczelnie wywodzą się z dłoni, człowiek zaś z kciuka.

Różnica między dłonią a kciukiem nie tylko dzieli człowieka od zwierzęcia, ale jest też argumentem za wyższością jednego nad drugim.

Andrew Norman Wilson pokazuje w swoim filmie fabrykę Google'a, w której istnieje kilka klas pracowników, określanych kolejno – w związku z barwą symbolu, jaki jest im przypisany – białymi, czerwonymi, zielonymi oraz żółtymi. Ci ostatni stanowią tajną grupę pracowników odpowiedzialnych za digitalizację, to znaczy skanujących książki w fabryce o numerze 3.1459. Pracownicy z żółtym symbolem zaczynają pracę o godzinie 4.00 i kończą ją, wraz z wybiciem dzwonka, o 14.15. Nie mają, w przeciwieństwie do pracowników posiadających symbole w innych kolorach, wolnego dostępu do różnorodnych części przed-

siębiorstwa i wielu innych przywilejów, poza tym są w przeważającej części reprezentantami mniejszości rasowych i etnicznych. Andrew Norman Wilson zatrudniony był w Google'u na kontrakcie, stracił jednak pracę, gdy zaczął przeprowadzać wywiady z pracownikami noszącymi żółte symbole.

Film amerykańskiego artysty powstał w momencie, w którym Google Books był jednym z najambitniejszych projektów giganta informatycznego. Projekt zakładał przeniesienie w przestrzeń internetową wszystkich książek na świecie i tym samym powołanie do życia kompletnej biblioteki ludzkości.

Po 15 latach funkcjonowania – pierwszy pokaz projektu odbył się podczas Targów Książki we Frankfurcie w 2004 r. – zeskanowano ponad 40 milionów tytułów. Jeszcze w 2010 r., zanim sędzia federalny Denny Chin odrzucił porozumienie między przedstawicielami rynku książki a korporacją, przyczyniając się w znacznym stopniu do zwolnienia tempa rozwoju projektu, zakładano zeskanowanie 130 milionów publikacji. Dla tych potrzeb stworzono specjalne stanowiska, z roku na rok udoskonalane, umożliwiające w pewnym momencie zeskanowanie tysiąca stron na godzinę i wymagające od operatorów nauczania się wydajnych technik przerzucania. „Jest to podobne do szarpania strun gitarowych – wyjaśnia Stephane Jaskiewicz, inżynier pracujący dla Google Books. – Dlatego też znaleźliśmy osoby, które są świetne w przekładaniu stron; dużą rolę pełnią w tym działaniu kciuki”.

W 2012 r. Andrew Norman Wilson przygotował projekt „ScanOps”, który prezentował wybrane obrazy z zasobów Google Books – te, które ukazywały dłonie pracowników odpowiedzialnych za digitalizację. Mówiąc inaczej: pośród milionów obrazów zeskanowanych książek wyszukał te, na których – przypadkiem lub nie – pojawiły się dłonie pracowników.

I tak w książce pułkownika Charlesa Ramusa Forresta (jej tytuł z języka angielskiego można przetłumaczyć mniej więcej „Malownicza wycieczka wzdłuż rzek Ganges i Jamuna w Indiach: zawierająca dwadzieścia z dokładnością i w kolorze oddanych krajobrazów, mapę oraz winiety; z oryginalnymi rysunkami wykonanymi na miejscu; z ilu-

stracjami historycznymi i opisowymi”) pojawia się koścista dłoń kobiety o brązowej skórze. Trzy palce – kciuk, wskazujący, środkowy – są obleczone różowymi gumowymi nasadkami, które używane są również przez zegarmistrzów i konserwatorów sztuki, chroniąc rzeczy przed tłuszczem, jaki wydziela ludzka skóra. Co więcej, nasadki ułatwiają przewracanie stron i przenoszą mniej kurzu niż białe bawełniane rękawiczki. Dwa pozostałe palce kobiety są nagie. Dłoń zasłania jedną czwartą szkicu mapy przedstawiającej Ganges.

Inaczej ma się rzecz z książką wydaną w 1709 r. przez Johna Morphew (zatytyłowaną „Dokładna relacja z wielu zaskakujących zdarzeń bezsprzecznie dokonanych przez złego ducha lub duchy w domu mistrza Jana Smagge – w liście z Malden w hrabstwie Essex do dzentelmena w Londynie), gdzie na ósmej stronie pojawiają się trzy palce przytrzymujące prawy dolny róg. Jeden palec o płaskim i krótkim paznokciu, należący prawdopodobnie do czarnoskórego mężczyzny, jest widoczny, dwa pozostałe zostały „zasłonięte” przez przeklejony na nie fragment tekstu.

W 2011 r. Krissy Wilson rozpoczęła podobny projekt, nazwany „The Art of Google Books”, w jego ramach kolekcjonowała liczne „anomalie i dziwiny” odnajdywane w wielkiej bibliotece Google’a. Obok rozdarcie stron, pieczętów bibliotecznych, pokolorowanych kredkami ilustracji, śladów po zasuszonych liściach, notatek typu „Czytelniku, utrzyмай w dobrym stanie”, komentarzy na marginesach, adresów dawnych właścicieli książek, pojawiają się obrazy dłoni pracowników odpowiedzialnych za skanowanie. Raz są zasłanianie przez Google’a, innym razem zasłaniają treść książki.

Wyodrębniając takie obrazy, Andrew Norman Wilson i Krissy Wilson przemienili – w genialnie prosty sposób – jedną z największych bibliotek internetowych w bodaj najnudniejsze archiwum fotografii na świecie. Trzeba bowiem przyznać, że archiwum, które zawiera niemal wyłącznie zdjęcia nieskończonych ciągów liter, pod względem wizualnym jest przerażająco nijakie. W tym kontekście obecność dłoni pracowników, jak również innych „anomalii i dziwów”, jawi się w przepastnym i pozbawionym życia archiwum jako fascynująca, a zarazem niechciana. Fascynująca, bo wprowadza do książek życie. Niechciana, bo ujawnia niewidzialną siłę tworzącą książki.

Dziwnie bezużyteczne

We wrześniu 2020 r. „New York Times” opublikował cykl zdjęć zatytyłowany „The Hands of Labor” wykonanych przez amerykańskiego fotografa Damona Wintera. Cykl był częścią szerszej zakrojonej projektu „The America We Need”, którego celem było podjęcie refleksji nad kryzysem, z jakim mierzą się Stany Zjednoczone w czasie pandemii COVID-19.

„Obecny kryzys – przyznają redaktorzy pisma – pokazał, że USA są krajem, w którym zawodowy koszykarz może być szybko przebadany pod kątem obecności koronawirusa, a pracownicy służby zdrowia zostają zwolnieni z pracy; zamożni wycofują się do swoich posiadłości za miastem, polegając na pracownikach dostarczających żywność, którzy nie mogą skorzystać z płatnego zwolnienia chorobowego; dzieci

z rodzin o niższych dochodach mają trudności z uczestnictwem w zdalnych lekcjach”. Cykl fotografii przygotowany przez Wintera pokazuje dwie niesprowadzalne do siebie rzeczy: nierówności obecne w społeczeństwie amerykańskim, a zarazem poczucie wspólnotowości, na które składa się oczywisty fakt: dłonie są jak księgi, praca – którą wykonujemy – kreśli na nich znaki.

Na dłoni Lisy Heidelberg, szefowej kuchni, widać ślady skaleczeń. Craig Odell, mechanik pracujący 47 lat w zawodzie, ma krótkie palce, silny mięsień kciuka, smar pod paznokciami. Ron Salazar, hutnik z 11-letnim doświadczeniem, doznał poparzenia czwartego stopnia – we wnętrzu dłoni widać bliznę; przypomina kwiat w rozkwicie. Donte Allen pracował 15 lat jako kurier i asystent menadżera w FedEx. Przed pandemią miał również trzy inne prace: nauczyciela angielskiego w chińskiej szkole, pracownika restauracji odpowiedzialnego za wędliny oraz logistyka w japońskiej firmie elektronicznej. Każda z dłoni sfotografowana jest na białym tle, z narzędziem lub przedmiotem, które mają odnosić się do konkretnego zawodu. Stetoskop należy do pielęgniarki, grudę węgla ściska górnik, pustą dłoń otwiera bezrobotny.

Wraz z nadejściem pandemii zanotowano w Stanach Zjednoczonych najwyższy poziom bezrobocia od czasów wielkiej recesji. Jak pisze Jeneen Interlandi, redaktorka „New York Timesa”, ponad 40 milionów Amerykanów – a zatem więcej niż liczba ludności Polski – „złożyło nowe wnioski o status bezrobotnego od połowy marca do końca maja. Ustalenie pełnego wpływu tych strat na poziom ubezpieczenia zdrowotnego w kraju zajmie trochę czasu, ale wstępne wyniki badań przeprowadzonych przez Commonwealth Fund nie są zachęcające: 41 procent osób, które z powodu pandemii straciły pracę – lub których małżonek stracił pracę – zostało również pozbawionych ubezpieczenia zdrowotnego; 20 procent z tych osób nie zdołało zapewnić sobie alternatywnego ubezpieczenia”.

Pusta dłoń, pozbawiona przedmiotu lub narzędzia, to nie tylko symbol bezrobocia, ale i wszystkiego, co z bezrobociem się łączy: braku ubezpieczenia zdrowotnego, poczucia bezpieczeństwa czy tożsamości, którą zapewnia praca. W istocie wszyscy bohaterowie cyklu fotograficznego „The Hands of Labor” Wintera są określani przez zawód, jaki wykonują. Mówiąc inaczej: mają co trzymać w dłoniach i czego się trzymać. Dłoń bezrobotnego jest dłonią oczekującą, wyciągniętą niejako w geście prośby, zaświadczaającą o kryzysie tak jednostkowym, jak i ogólnosiwiatowym.

Michel Serres, francuski filozof, w książce „Variations sur le corps” stwierdził, że człowieka od zwierząt odróżnia jedna rzecz. Zwierzęta zamieszkują swoje ciało. Obleczone przez skórę, membranę czy powłokę są swoim domem, do którego wprowadzają się wraz z narodzinami i który stanowi o ich relacji ze światem. Człowiek, uzyskując postawę pionową, utracił tę elementarną relację: „dwie dłonie dziwnie bezużyteczne, dwie stopy potykające się o kamienie, głowa w powietrzu, naga, rodząca się, wychylona do przodu, wystawiona na wiatr, słońce, chłód, jest w stanie naturalnym zagrożona. Nagle zaczyna myśleć... Ale o czym?”. O chwytności narzędzia i zbudowaniu schronienia tymi dziwnie bezużytecznymi dłońmi.

© MACIEJ TOPOLSKI

STANISŁAW

Mancewicz: Natomiast



CZASY SĄ CIĘŻKIE, TO WIE KAŻDY, I Z CIĘŻKOŚCI TEJ WYNIKA PROBLEM BYĆ MOŻE DLA SZERSZEGO OGÓŁU NIEWAŻNY, ALE Z PEWNOŚCIĄ INTRYGUJĄCY DLA LUDZI BYSTRYCH, UTALENTOWANYCH GIMNASTYCZNIE I BARDZO ZNUŻONYCH GROZĄ CODZIENNOŚCI.

Oto zajmujemy się dziś – jak robimy to co jakiś czas – słowami szokująco nadużywanymi. Bo jakże inaczej nazwać tych kilka jedno- i dwusylabowych wulgaryzmów – uzusów, bez których po prostu polszczyzny by nie było, bo rozplynęłaby się ona jak kostka rosołowa w – dajmy na to – angielszczyźnie. Tak, hardo to od dawna głosimy, że tylko zestaw polskich brzydkich słów daje prawdziwe życie naszemu językowi i chroni go od strupieszenia, czyli od ostatecznego złącinnienia. Ot, weźmy jakiegokolwiek z sugerowanych tu słów, powszechnie znanych, używanych w każdej okoliczności, słyszanych od Bugu do ujścia Warty, i chwilę sobie z nim poćwiczmy. Rozciągnijmy je. Bardzo, albo tylko trochę. Zmieńmy rodzaj z żeńskiego na męski, albo na odwrot. Dodajmy jakiś przedrostek. Jakąś końcówkę. Zostawiając koniecznie owego słowa warczące trzewia, a zorientujemy się, że za pomocą tych paru zupełnie bezbolesnych zabiegów da się opisać świat spójniej, prędzej i precyzyjniej, niżli zrobili to – za przeproszeniem – p. Marco Polo bądź to niezapomniany p. Wincenty Kadłubek. Słowem: rola wulgaryzmu w kulturze polskiej jest – popatrzymy – najpoważniejsza, ale i absolutnie przez badaczy niedoceniana i nieokielznana. Niestety.

Jest lekceważona. Jest przez decydentów polityki kulturalnej od zawsze wstydliwie pomijana i świadczy to o bardzo głębokim, niewolniczym wręcz, przykłęku. O ślepotę nauki polskiej, jeśli idzie o prace analityczne i badawcze. Musi

to budzić zdumienie i niesmak, bo najnowocześniejsze i tętniące życiem laboratorium językowe zbudowało się poniekąd samo i jakby od nowa. Jest to architektura bez wymiarów. Zważmy, że mamy akurat do czynienia z formacją zawiadującą polityką i kulturą, tak wszechstronnie wulgarną. Jest to wulgarność samo się upowszechniająca, ale też popatrzmy, bo to ciekawe, idąca i spod strzechy, i pod strzechy. Jest to bowiem nowa jej – wulgarności – odmiana, a właściwie należałoby powiedzieć, że jest to wulgarność supernowoczesna. Zaiste, trzeba to uznać za wielki i jedyny rozpoznany wkład tej formacji w historię kultury polskiej, a tym samym może można spróbować wybaczyć jej projekty inne, nie wszystkim się podobające, weźmy dla przykładu beczelne i powszechne złodziejstwo publicznego grosza czy szereg barbarzyńskich decyzji dotyczących tutejszej przyrody. Kultura bowiem jest najważniejsza. To wie każdy.

Przejdźmy teraz do słów takż nadużywanych, też brzydkich, ale nie wulgarnych. Budzących nasze najwyższe zdziwienie, w czasach – bijemy się w pierś – w których powinniśmy się dziwić sprawom zapewne znacznie poważniejszym, groźniejszym, wręcz ostatecznym. Niestety, mimo wysiłków, nie możemy oderwać ucha od szeptów i krzyków współużytkowników naszego trudnego języka. Uspokajamy, że nie mamy dziś zamiaru zachwycać najszerzszych kręgów naszych Czytelników analizą słowa „pieczywko”. Weźmiemy na tapetę wybijające się frekwencją słowo „natomiast”. Jest to słowo przeżywające niewątpliwie renesans, dawniej nie ludowe, a dziś owszem. „Natomiast” jest wszędzie, „natomiast” nadużywa dziś każdy od ministra do ministranta. Tak nas to zaciekawiło, że odczytaliśmy sobie definicję w słowniku. Nie znaleźliśmy niczego, co by nas mogło zaskoczyć. „Natomiast” to spójnik i tyle. Niewinne słóweczko, bez żadnej wagi, przeźroczyste i puste, używanie go nie ma żadnego sensu. Zrobiliśmy jednak test prawdy – okazało się, że kapitalną zabawą na te okropne czasy jest puszczenie tzw. wiązki tak, by jej spoiwem było słowo „natomiast”. Ktoś powie, że to słabe, że nudziarstwo. Trudno, nie mamy lepszego pomysłu na rozweselenie rzesz po słuchaniu duetu polskiej kultury pn. „Czarnek & Gliński”.

© P

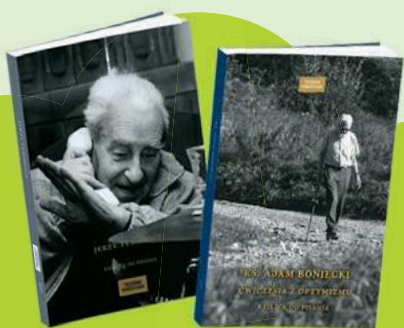
BARTOSZ MINKIEWICZ



Zostań w domu

odbierz „Tygodnik” prosto ze swojej skrzynki pocztowej!

Tylko teraz: prezent na 76. urodziny „Tygodnika Powszechnego”!
Kup dowolną prenumeratę wydania papierowego, a otrzymasz w prezencie 2 wyjątkowe notesy* – „Książki do pisania” Jerzego Turowicza i ks. Adama Bonieckiego



* Oferta dotyczy tylko zamówień realizowanych na terenie Polski i jest ważna do 15 kwietnia lub wyczerpania nakładu książek.



ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 660 692 101 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	420 zł	540 zł
Półroczna (26 numerów)	240 zł	300 zł
Kwartalna (13 numerów)	130 zł	160 zł
Pokolenia**	365 zł	
Karta Dużej Rodziny***	365 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY. WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	490 zł	610 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	430 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	430 zł	
4 wydania specjalne	75 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

weź, czytaj!

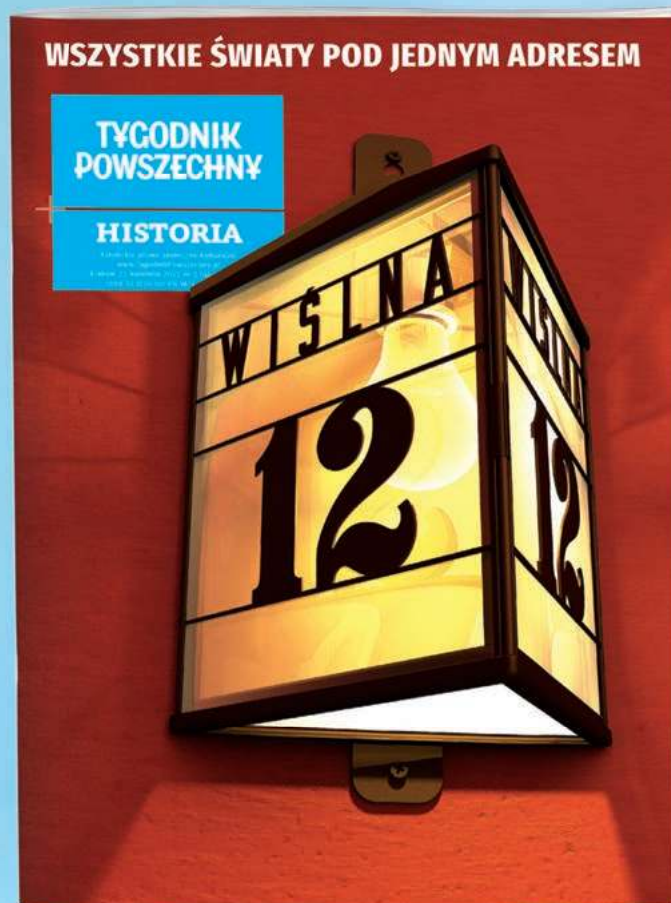
TP Historia: WIŚLNA 12

Opowieść na nowy początek

Pod koniec kwietnia 2021 roku redakcja „Tygodnika Powszechnego” opuszcza historyczną siedzibę, wynajmowaną od krakowskiej kurii od 1945 r. w kamienicy przy Wiślniej 12. Ponad 75 lat pod jednym adresem to 75 lat historii polskiej kultury, polskiego Kościoła, polskiej inteligencji i polskiego dziennikarstwa.

W tym wydaniu:

- prawdziwa historia „Tygodnika” i jego zespołu
- wiele niepublikowanych dotąd zdjęć
- piszą i rysują m.in.
ks. Adam Boniecki, Kalina Błazejowska,
Olga Drenda, Olga Gitkiewicz, Anna Goc,
Stefan Kisielewski, Ryszard Koziółek,
Michał Kuźmiński, Stanisław Lem,
Bartosz Minkiewicz, Sławomir Mrozek,
Michał Okoński, Stanisław Pagaczewski,
Paweł Sołtys, Ewa Szumańska,
Leopold Tyrmand, Marcin Wicha.



Od piątku 23 kwietnia
w punktach z dobrą prasą
i na powszech.net/wislna12

weź, czytaj!

